

# kulisy C.I.A.

# WIERSZE NAUCZYCIELI

## wspomnienia gazeciarsza

# ODGŁOSY

ROK XIX NR 42 (984)

14 PAŹDZIERNIKA 1976 R.

CENA 3 ZŁ



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

## HISTORIA

Noc z 16 na 17 grudnia 1968 roku była mroźna. Śnieg przejmująco popiaskiwał pod butami tłumu obiegającego kościółek parafialny w Kiernozii. Mili-cjanci z trudem powstrzymywali napór gawiedzi. Choć dochodziła północ setki ludzi chciały zobaczyć na własne oczy doczesne szczątki pani Walewskiej.

W niewielkiej zakrytych panowała nieprzyzwoita ciasnota. Łódzki blacharz, starszy Cechu Rzemiosł Metalowych — Józef Kopka, nie mógł swobodnie operować narzędziami by otworzyć elegancką trumnę nabijaną posrebrzonymi świeczkami. Część dziennikarzy i fotoreporterów nie zdołała się tu wcisnąć. Usiłowali obserwować rozpoczętą identyfikację zza okna, przegrodzonego kratami. Unęśliwie było otwarte. Dziełnie trwały aż do momentu, gdy wreszcie udało się unieść ciężkie wieko i współczesnym ukazały się

KONRAD  
TUROWSKI

## GDZIE JEST WALEWSKA?

zwłoki kobiety w białym czepku, ułożonej na pościelonych już atlasach...

Wszyscy przekonani byli, że to właśnie są doczesne prochy sławnej kiernozianki, która według słów Niemcewicza „chciała od Napoleona tylko, aby Polskę przywrócić”.

Marian Brandys nawet dopatrywał się na niezłe zachowanych złocistych szarfach napoleońskich pszczołek. Herbowe symbole majestatu cesarza Francuzów miały być ewidentnym dowodem zakończenia, upragnionym sukcesem poszukiwań „słodkiej Marii”...

Autor drukowanego na łamach tygodnika „Świat” eseju historycznego pt. „Co z tą Walewską?”, pisał w numerze z 26 maja 1968 roku:

„Rozpoczynając tę moją „antibiografię” Walewskiej zamierzałem ją zakończyć akordem reporterskim z otwarcia trumny „polskiej małżonki Napoleona”. Zapaliłem się do tego pomysłu pod wpływem rozmowy z pewnym konserwatorem zabytków, który zapewnił mnie najsolennie, że jeśli trumna jest szczelna i znajduje się w suchym miejscu — to po otwarciu jej, choćby po latach 150, można przez chwilę widzieć (a nawet sfotografować) osobę zmarłą w takim stanie w jakim ją pochowano. Trwa to oczywiście ułamek sekundy, potem zwłoki rozsypują się w proch.

Możliwość zobaczenia Walewskiej prawdziwej rozbudziła mi wyobraźnię i zmobilizowała całą moją energię. Niestety, sprawa okazała się trudniejsza niż myślałem. Pułkownik Teodor Łaczyński — po przewiezieniu zwłok siostry z Paryża do Kiernozii — pochował je 27 września 1818 roku w podziemiu kaplicy, specjalnie dobudowanej w tym celu do Kiernoskiego kościoła. Przed pierwszą wojną światową jeden z proboszczów kazął wejście do krypty grobowej zamurować. W rezultacie powstała taka sytuacja, że dla dostania się do trumny trzeba by

Dalszy ciąg na str. 8

## REPORTAŻ ZAGRANICZNY (1)

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

## 1700 metrów nad POZIOMEM MORZA

Samolot Lufthansy wylądował w Teheranie z godzinnym opóźnieniem.

— No, wszystko skończyło się szczęśliwie — odetchnął z ulgą Janusz Uptas. Mylił się jednak. Ledwieśmy bowiem przebrnęli przez kontrolę sanitarną, paszportową i celną, ledwieśmy wsiedli do czekającego nas mikrobusa, ledwieśmy ruszyli — kraksa. Mikrobus zderzył się z samochodem osobowym, jako że na parkingu przed dworcem lotniczym w Teheranie ścisk i hałas były niemożliwe.

— Ale to już się nie liczy — stwierdził Zdzisław Owsik. — Dziś już jest sobota, 14 sierpnia. Już jest po północy.

Dalszy ciąg na str. 5



## REPORTAŻ KRAJOWY

RYSZARD BINKOWSKI

## TRAKTORCROSS

Rano mleczny opar snuł się nad ziemią i na Aleksandrowskiej zderzyły się dwa tramwaje. O godzinie ósmej mgła opadła, zaświeciło słońce, pomyślałem więc, że orka pójdzie dobrze, a gdyby nawet mgła wróciła, to traktorzyści i tak się nie strykną, bo pracują na wyznaczonych boju placach. A prawidłowa orka i przedświeczne zabiegi to nie byle co: dzięki nim osiąga się znacznie wyższe plony.

Wysiadłem na przystanku PKP w Bratoszowicach i, ponieważ słaby jestem w nawigacji, a pytać nie lubię, poszedłem za ciągnącymi połą drogą ludźmi. W drodze reasumowałem to, co zdołałem na dany temat wy-

czytać, podsłuchać, obejrzeć osobiście i wychwycić z relacji naocznych świadków.

Dla Bratoszowic i województwa miejskiego zaszczyt i wielkie święto. W Bratoszowicach XIX KRAJOWY KONKURS ORKI.

Zaczęło się 24 września, kiedy to aktyw ZSMP, władze administracyjne i polityczne województwa miejskiego oraz uczestnicy konkursu spotkali się w Urzędzie Miasta. Podsumowano wyniki tegorocznej akcji „Każdy kłosa na wagę złota”. W województwie miejskim uczestniczyło w niej 7528 członków ZSMP, którzy pracowali w polu 270 tys. godzin, za co mogli otrzymać osiem milionów złotych, ale wzięli tylko proporcje państwowe i dyplomy, ponieważ pracowali społecznie. Później odbyły się spotkania traktorzystów z młodymi robotnikami, m. in. w „Fako” i „Olimpii”, wieczorem zaś najlepsi oracze oglądali spektakl w Teatrze Nowym.

Dalszy ciąg na str. 7

## ŁÓDŹ

Po dawną prasę, wspomnienia i kalendarze sięgają zarówno badacze — niespecjaliści jak i zwykli zjadacze chleba. Nie tylko z powodu mody retro trafiają dziś podobne źródła do masowego czytelnika. Nieco racji miał Karel Capek, kiedy żartował z gazety, rzekomo „wyrażającej wiecznie nową rzeczywistość w sposób ustalony i niezmienny”. Ignorując ten przytyk, można przecież dzięki wskazanym — jedynym niekiedy, a często najsumieniejszym — rejestratorom życia społecznego odrysować kształty minionych zdarzeń.

BOGDAN MAZAN

## KARTKA ze STAREGO ALBUMU

Obchodzimy w roku bieżącym dwie rocznice Sienkiewiczowskie (1846—1916). Nie będzie to zapewne pierwszy i ostatni powód do zastanowienia się nad fenomenem twórczości autora „Potopu”. W naszym mieście pierwsze żywe i różnorodne oznaki kultu pisarza wystąpiły u schyłku dziewiętnastego stulecia. Warto przypomnieć, jak na przełomie wieków utrwałała się w „polskim Manchesterze” legenda Sienkiewicza.

W 1900 roku obchodzony był oficjalnie w całym kraju jubileusz pracy piarskiej Sienkiewicza. Zatem i w Łodzi rozpoczęły się stosowne przedsięwzięcia i uroczystości. W lutym łodzianie odwiedzali tłumnie „salon artystyczny” Bartkiewicza, gdzie została zorganizowana wystawa obrazów Stanisława Batońskiego i Włodzimierza Tetmajera, ilustrujących sceny z „Potopu” i z „Pana Wołodyjowskiego”. We wrześniu tegoż roku, z równym zapalem, uczestniczyli w „wieczorach” Murycego Kisielnickiego, wojażującego deklamatora, który — zaproszony przez miejscowe koło żywego słowa — recytował wyjątki z „Krzyżaków” pod wspólnym tytułem „Bitwa pod Grunwaldem”. Aplauz, jakim kwitowano jego wystąpienie, brzmiał zapewne jak wyzwanie w środowisku „słnie jeszcze pozostającym pod wpływami niemieckimi”.

Dalszy ciąg na str. 10

## NAUKA

Kilka miesięcy temu w światowej prasie naukowej pojawiła się taka oto wiadomość:

„Celem sprawdzenia wreszcie słuszności teorii Einsteina, według której upływ czasu jest relatywny do prędkości, amerykańska agencja badań przestrzeni kosmicznej NASA postanowiła, iż niebawem zostanie wysłany w przestrzeń wokółziemską sztuczny satelita z zegarem atomowym na pokładzie”.

Wiadomość ta niewątpliwie wzbudziła w świecie fizyków spore zainteresowanie i ciekawość. Nie ma się zresztą czemu dziwić. Ze wszystkich teorii fizyki jedynie teoria względności pozostała jak dotychczas niezręczna, choć liczy sobie już sześćdziesiąt lat. Ani teoria powolnego czasu, ani termodynamika, ani elektromagnetyzm nie mogą się poszczycić podobnym sukcesem, aczkolwiek dotyczą one dziedzin równie szerokiej o kompleksowych. I tak, gdy dziś wiele z tych teorii zostało nowo i całkiem odmiennie interpretowane, ogólna teoria względności nadal pozostaje aktualna, a jej eksperymentalna sprawdzalność stale rośnie. Oczywiście nie sposób choćby nawet w największym skrócie ukazać istotę teorii Einsteina, jest ona bowiem bardzo skomplikowana i wymaga szerokiego omówienia. Ograniczmy się zatem z konieczności do przypomnienia tylko kilku jej najprostszych rysów charakterystycznych.

Jak powszechnie wiadomo, teoria względności pojawiła się na gruncie ogólnego kryzysu w obliczu, którego fizyka znalazła się na przełomie XIX i XX wieku. Stało się wówczas jasne, iż żadna rozsądna hipoteza dotycząca fizycznego mechanizmu rozchodzenia się promieni świetlnych nie będzie w stanie wytłumaczyć jednocześnie wyników doświadczenia Michelsona (które wykazało brak wpływu ruchu orbitalnego Ziemi na prędkość światła) oraz zagadnienia jedności sygnałów wysyłanych w chwili spotkania się dwóch źródeł znajdujących się względem siebie w ruchu. Kryzys wydał się całkowity i nie do przezwyciężenia. Ale oto w tej tak skomplikowanej sytuacji pojawiła się teoria, która dokonała rewolucyjnej zmiany w podejściu do zasygnalizowanych problemów utawiając zarazem źródło kryzysu. Jej twórcą, Albert Einstein, jako pierwszy podał rewizji newtonowską teorię grawitacji. Była ona przecież teorią mechaniczną, w której główną rolę odgrywały cząstki materialne oraz oddziaływujące na nie siły i która ignorowała rozwój teorii polowej opierającej się na badaniu zjawisk elektromagnetycznych.

Ta ostatnia zaczęła się silnie rozwijać w drugiej połowie XIX wieku i dała fizyce nowy punkt widzenia, a jej znaczenie wyrażało się w stwierdzeniu, iż wszelkie działania, wszelka siła rozchodzi się od źródła światła do ciała, na które oddziaływały, ze skończoną prędkością (w przypadku fal elektromagnetycznych z prędkością równą prędkości światła). Siła oddziaływania zmienia się więc zarówno w czasie jak i przestrzeni, a zatem przypuszczenie, iż działanie grawitacyjne nie zależy od czasu, okazało się bezpodstawne. Teoria polowa ujmuje to następująco: działania rozchodzą się ze skończoną prędkością, a prawa rządzące zachodzącymi w czasie i przestrzeni zmianami są prawami pola. Właśnie w tym stwierdzeniu kryje się zdecydowana wyższość tej teorii nad newtonowską, istotną są bowiem nie punkty materialne, lecz rozciągające się między nimi pole grawitacyjne i prawa nim rządzące.

Inny ważki zarzut, jaki Einstein wysunął przeciwko newtonowskiej teorii grawitacji, był fakt, iż ważna jest ona tylko, jak każda teoria klasyczna, w układzie inercyjnym, podczas gdy prawa fizyki winny pozostawać ważne w każdym układzie odniesienia. Oczywiście teoria względności przewiduje zasadniczo te same zjawiska co teoria Newtona, są one przecież na ogół zgodne z obserwacją i tylko w trzech przypadkach występują różnice między przewidywaniami obu teorii.

Z pierwszym mamy do czynienia podczas interpretacji ruchu planet. Jak powszechnie wiadomo i co wynika z teorii grawitacji, planety poruszają się dokoła Słońca po torach elip-  
tycznych. Ponieważ odchylenie od praw Newtona należy się spodziewać jedynie w przypadku silnych pól grawitacyjnych, przeto planeta, dla której spodziewane prawdopodobieństwo odchylenia będzie największe jest Merkury. Otóż z ogólnej teorii względności wynika, że nie tylko Merkury powinien poruszać się dokoła Słońca, ale również elipsa, którą zatacza powinna obracać się (wprawdzie bardzo wolno) względem układu związanego ze Słońcem. Ten właśnie obrót elipsy stanowi efekt ogólnej teorii względności, różniący ją od teorii newtonowskiej.

Drugi z kolei przypadek, odzwierciedlający wspomnianą różnicę, jest spowodowany efektem tzw. zakrzywienia promieni świetlnych. Jest to także efekt niezwykle mały, a jego istota polega na tym, że promień świetlny, jako niosący z sobą energię, ulega w polu grawitacyjnym zakrzywieniu. Odchylenie nie udało się wykryć podczas obserwacji drogi promienia świetlnego, biegnącego z gwiazdy w kierunku Ziemi, który, przebiegając w pobliżu skrajnej tarczy słonecznej ulega zakrzywieniu (można to zaobserwować zwłaszcza podczas zaćmienia Słońca). Również w trzecim przypadku wyniki doświadczeń prze-

wego spowodowanego ruchem względnym dwóch zegarów. Jest to właśnie zasada równoważności ogólnej teorii względności. Aby uwydatnić tę zmianę chodu zegarów satelita powinien zostać wysłany w wysokości 18.520 km tj. 10.000 mil morskich. We wnętrzu satelity miał być umieszczony zegar atomowy. Podczas 3,5-godzinnej lotu rytm tego zegara byłby porównywany z rytmem pracy dwóch identycznych zegarów zainstalowanych na Ziemi, a konkretnie na Bermudach. Niezgodność lub zgodność wskazań obu systemów miała być mierzona za pośrednictwem bardzo krótkich sygnałów radiowych. Celem eliminacji ujemnego wpływu efektu Dopplera na przeprowadzony eksperyment, satelitę wyposażono w specjalne urządzenie pozwalające automatycznie korygować sygnały czasowe.

Celem badacza było więc wykrycie odchylenia relatywistycznych przy założeniu, iż kontrakcja jest uzależniona od prędkości i równoważna do tej, jaka wynika z różnicy sił ciężkości między wysokością 18.520 km a Ziemią. Odchylenie te są tak małe, że aż do ubiegłego roku praktycznie nie było przysądu, którym można byłoby je wykryć. Ewolucja zegarów bazują-

jego wartość z punktu widzenia ewentualnych korzyści dla nauki, na pewno nie była to cena zbyt wysoka, zwłaszcza, iż wielu naukowców na Zachodzie wciąż jeszcze odnosi się krytycznie do posługiwania się teorią względności. Spora ich część przyjęła bowiem teorię bez dostatecznego zgłębienia jej istoty, wskutek czego nie chcą się poruszać po tym niepewnym dla nich gruncie, działając w myśl zasady: „osobiście nie z tego nie rozumiem, ale pionierzy teorii powinni mieć rację”.

Kształtowaniu się takiej postawy sprzyjała zresztą trzy dość rozpowszechnione mity, które notabene są mocno zakorzenione w mentalności pewnej liczby naukowców. Pierwszy z nich głosi, iż teoria została przyjęta tylko przez wszystkich wielkich badaczy, zgodnie z drugim jest ona zbyt głęboka, aby mogła być zrozumiała dla przeciętnych umysłów, zaś według trzeciego powinna zostać potwierdzona przez liczne eksperymenty. Analiza prac naukowych w pełni potwierdza ten stan rzeczy, przy czym sugeruje się, iż trudności w percepcji i rozumieniu teorii wynikają z jej dwuznaczności i niejasności oraz z tego, iż dotychczas nie podjęto właściwie żadnej próby zbadania podstaw aspektów relatywistycznych. Z tego punktu widzenia nie sposób nie docenić roli, jaka przypada w udziale obecnemu eksperymentowi.

Pozostaje jednak jeszcze pewien zasadniczy problem, to jest, czy rzeczywiście można wykaazać kontrakcję czasu, bowiem, jak twierdzi znany angielski fizyk atomowy profesor Essen, paradoksy ten faktycznie opiera się na błędzie. Teoria względności, jak wiadomo, zastrzega sobie, iż godzina oznaczona na zegarze obserwatora ruchomego jest opóźniona w każdej sekundzie o  $1/2x/V/c^2$  sekund w stosunku do godziny obserwowanej na zegarze stacjonarnym. Jednak implikacja praktyczna tego zastrzeżenia nigdy dotychczas nie została zrealizowana: istnieje tylko jedna metoda odczytu godziny na zegarze oddalonym od powierzchni Ziemi, zarówno stacjonarnym jak i ruchomym, to jest zliczanie impulsów, jakie są przez ten ostatni wysyłane. Na stacji odbiorczej powinny być więc zainstalowane dwie tarce — jedna, która odbiera impulsy zegara ruchomego, druga — która robi to samo dla zegara lokalnego.

Zgodnie z przewidywaniami teorii w przypadku pierwszym powinno się odebrać mniej impulsów niż w odniesieniu do zegara na stacji. Ale ponieważ zgodnie z definicją oba zegary są identyczne, więc wynika stąd, iż otrzymujemy mniej impulsów niż zostało emitowanych, w związku z czym wyłania się pytanie, co się stało z brakującymi. Nie mamy tu bynajmniej do czynienia z efektem Dopplera, według którego częstotliwość źródła jest pozornie wyższa, jeżeli źródło zbliża się do obserwatora, a niższa, jeżeli się od niego oddala (efekt relatywistyczny jest bowiem funkcją kwadratu prędkości i nie odgrywa jedynie V/c). Nie istnieją zatem wyjaśnienie faktu znikania pewnej części impulsów, co jest nie tylko paradoksalne, ale i dość kłopotliwe.

Problem jest tym bardziej skomplikowany, iż w teorii względności nie ma obserwatora „uprzywilejowanego” i wszystkie prędkości są względne: można zatem traktować zegar ruchomy jako stację, podobnie jak stację odbiorczą, co do której można uważać, iż się porusza. Ale ta odwracalność sytuacji powoduje, że jeśli dwa zegary A i B obracają się jeden względem drugiego, to teoria przewiduje, iż A spóźnia się wobec B, a B opóźnia się w stosunku do A.

Tak oto doszliśmy do nieprzewidywanej sprzeczności, chyba, żeby przyjąć, iż opóźnienie bądź jest równe zeru, bądź oba zegary wskazują tę samą godzinę, ale wówczas nie ma już mowy o względności. A zatem czy satelita relatywistyczny przyczyni się do rozwikłania tej skomplikowanej zagadki? Z odpowiedzią czekajmy na wyniki jego misji, a być może dostarczą one wreszcie klucza do wyjaśnienia licznych paradoksów ogólnej teorii względności, a w tym także owej intrygującej zagadki zasady równoważności.

### BOHDAN FELT

## WERYFIKACJA TEORII WZGLĘDNOŚCI?

mawiają za teorią względności, choć tak jak poprzednio — efekt znajduje się na granicy obserwacji. W czasie dokonywania analizy widmowej widać, że linie widmowe tego samego pierwiastka przesunięte są w silnym polu grawitacyjnym w kierunku czerwieni, co można zwłaszcza zauważyć porównując linie widmowe pierwiastka uzyskaną w miejscu, gdzie pole grawitacyjne jest słabsze (na górze) z tą samą linią widmową w silniejszym polu (bliżej Ziemi).

Widać więc, iż wszystkie zaprezentowane przypadki przemawiają wyraźnie na korzyść teorii względności, której słuszność, jak już powiedzieliśmy na początku, od lat nie jest zasadniczo przez nikogo kwestionowana.

Tym niemniej coraz częściej w świecie naukowców pojawiają się opinie, iż mimo wszystko teoria względności nie uzyskała, jak dotychczas, zdecydowanie przekonującego dowodu doświadczalnego. Niektórzy z nich są zdania, iż np. doświadczenie z zakrzywianiem się promieni świetlnych w sąsiedztwie Słońca jest niewystarczającym dowodem na teorię względności, jako że błąd pomiaru jest tutaj rzędu wielkości mierzonej. Chcąc zatem poznać jak się rzecz przedstawia w rzeczywistości, astronomowie i fizycy całkowicie zaaprobowali projekt NASA, aby umieścić na orbicie satelity relatywistycznego, którego zadaniem byłoby wyjaśnić ostatecznie ów słynny paradoks teorii względności: czy jest prawdą, iż zegary dwóch obserwatorów znajdujących się w ruchu względem siebie nie pokazują tej samej godziny? Inaczej mówiąc, czy gdy jeden z nich stwierdzi, iż od chwili startu upłynęło 20 minut, a drugi odczyta na tarczy swego zegara 10 minut lub dwa dni, to czy należy to od prędkości względnych i pola grawitacyjnego?

Zgodnie z teorią Einsteina chód zegara powinien być tym szybszy (zegar powinien się spieszyć), im jest on bardziej oddalony od Ziemi, ponieważ czasoprzestrzeń jest lokalnie niekształcona obecnością tak ogromnej masy, jaką jest Ziemia. To „skręcenie” (kontrakcja) czasu w polu grawitacyjnym jest równoważne do przesunięcia czaso-

wych na bardzo wysokich i zarazem bardzo stabilnych częstotliwościach drgań atomów, słowem, jedyną możliwością osiągnięcia wymaganej dokładności pomiaru. Satelita został więc wyposażony w 94-kilogramowy oscylator, który był maserem wodorowym, czyli, jak wiadomo, urządzeniem wzmacniającym elektromagnetyczne promieniowanie mikrofalowe. W konkretnym przypadku całkowita spójność emitowanego promieniowania i regularność oscylacji osiągnęły zadziwiająco dokładność  $2x10^{-14}$ . Odchylenie relatywistyczne sygnałów czasowych w zależności od sił ciężkości wynieść miało  $4x10^{-10}$ , a zatem mierząc tę wielkość z dokładnością  $2x10^{-14}$  otrzymujemy wartość  $2x10^{-4}$ . Dokładność względna eksperymentu wyniosłaby przeto  $2x10^{-4}$  czyli jedną 500-tysięczną, co w przypadku pomiaru wielkości 10 m daje dokładność do pół milimetra.

Przebieg doświadczenia miał być następujący: rakietą nośną Scout D umieszczą satelitę relatywistycznego na orbicie, której apogeum wynosi 18.520 km. W momencie startu zarówno zegar satelity, jak i zegary, które pozostawiono na Ziemi wskażą dokładnie ten sam czas. Później, w czasie trwania lotu, następuje wymiana umownych sygnałów między satelitą a Ziemią, w odstępie co 100 sekund. Umożliwia to porównywanie rytmu chodu zegarów przez system telemetryczny do pomiaru stopnia zbliżności fazy.

Jeśli teoria względności jest słuszna, to oba zegary nie powinny wykazywać tego samego rytmu, kiedy znajdują się względem siebie w ruchu i wówczas brak zgodności fazy winien być wykrywalny. Odnotujemy gwoźdźciska, iż niezgodność fazy jest wielkością bardzo, bardzo małą, w związku z czym należy usunąć wszelkie możliwe przyczyny jakichkolwiek zniekształceń pomiaru. Trzeba bowiem pamiętać, że teoria względności nigdy nie zyskała wśród fizyków pełnej jednomyślności, a to zwłaszcza wskutek braku próby eksperymentalnej. Próba, jaką zamierzano przeprowadzić, miała kosztować niemal 4,5 mln dolarów, można więc śmiało powiedzieć, że miał to być eksperyment raczej kosztowny. Ale, oceniając

## INICJATYWY

# BIESIADY SIERADZKIE

W pierwszym roku istnienia woj. sieradzkiego znacznie ożywiło się życie kulturalne Sieradza i regionu. Powstały nowe instytucje i stowarzyszenia kulturalne. Zorganizowano Biuro Wystaw Artystycznych. Powołano Oddział Wojewódzki Towarzystwa Kultury Teatralnej, Sieradzkie Towarzystwo Fotograficzne, Sieradzkie Towarzystwo Muzyczne im. Cypriana Bazylika. Podjęto się zorganizowania I Festynu Sztuki Ludowej i Folkloru woj. sieradzkiego, który odbył się w dniach 4-5-6 czerwca 1976 r. Oprócz imprez o charakterze ogólnopolskim, jak Konkurs Piosenki Radzieckiej — zorganizowano w województwie sieradzkim Konkurs Recytatorski o „Wstęgu Warty”, Przegląd Teatrów Lalkowych, Przegląd Orkiestr Dętych.

Spośród imprez środowiskowych autentycznym zainteresowaniem cieszą się tzw. „Biesiady Sieradzkie”, których inicjatorem jest Wojewódzki Dom Kultury w Sieradzu.

„Biesiady Sieradzkie” pomyślane zostały jako imprezy comiesięczne, podczas których prezentowane są sylwetki twórców z województwa sieradzkiego. Organizatory „Biesiady Sieradzkiej” pragną przyczynić się do rozbudzenia aspiracji twórczych mieszkających w województwie młodych pisarzy, plastyków i muzyków. W pierwszym programie, podobnie jak w następnych programach biesiad — podano informacje biograficzne o autorach, którzy wystąpili w zbiorowym wieczorze. W tymże programie (drukowanym) przedstawiono ponadto krótkie noty o pisarzach i poetach urodzonych w województwie sieradzkim. W następnych — noty o uczonych pochodzących z tego województwa (II Biesiada), wykaz twórców ludowych (III Biesiada). Wykonany z okazji IV Biesiady katalog zawiera regulamin Klubu Pracy Twórczej przy Wojewódzkim Domu Kultury, z okazji V Biesiady — wykaz członków Klubu. Jest ich już ponad 50.

W wydanych programach Biesiad zawarte są również wiersze członków Klubu Pracy Twórczej — Stanisławy Piaseckiej, Walentego Jareckiego, Zdzisława Kupczyka, Stanisława Romaniaka i Kazimierza Józwiaka.

Autorzy biesiad mówią o swojej twórczości, przedstawiają swoje obrazy, rzeźby, czytają wiersze, fragmenty prozy, wykonują swe utwory muzyczne bądź innych kompozytorów. Podczas III Biesiady wyświetlony został film amatorski członka AKF „Emdek” w Zdunskiej Woli — „Homo aquaticus” W. Pawłowskiego. Publiczność stawia pytania, rzuca uwagi, tworzy wspólną autentyczną biesiadę artystyczną o wyraznym zabarwieniu intelektualnym. Imprezy te dostęga prasa, ukazały się relacje z Biesiad. III Biesiada była nakręcona „na żywo” przez operatorów TV łódzkiej — w ogólnopolskim programie „Obiektyw” (program województwa) w dniu 7 maja 1976 r. ukazał się reportaż telewizyjny z tej imprezy.

Współorganizatorami dotychczasowych Biesiad byli: Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, Wojewódzka Rada Związków Zawodowych, Wojewódzka Biblioteka Publiczna, Zarząd Wojewódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, Wydział Kultury Urzędu Miejskiego w Sieradzu. W dalszej kolejności współorganizatorami biesiad będą: Towarzystwo Przyjaciół Sieradza, Związek Nauczycielstwa Polskiego, WZGS oraz zakłady pracy. Zamierza się organizować biesiady również w świetlicach zakładowych. W roku Przeglądu Aktywności Kulturalnej Ludzi Pracy współtwórcami biesiad będą także robotnicy, drukarze i twórcy ludowi.

E.R.

## PLYTY

### JUBILEUSZ „POLSKICH NAGRAŃ”

W bieżącym roku Przedsiębiorstwo Państwowe „Polskie Nagrania” obchodzi jubileusz trzydziestolecia istnienia. O działalności, zasługach, ale i o niepowodzeniach, tej najpotężniejszej w naszym kraju firmie płytowej pisano wielokrotnie, także na tych łamach. Obecnie jak twierdzi dyrekcja „Polskich Nagrań” — wkraczają one w nowe trzydziestolecie z bagażem doświadczeń, zasobne w nowoczesny sprzęt na światowym poziomie, a pracownicy odpowiedzialni za produkcję grających krążków zdecydowali się zrobić wszystko, aby melomani w całym kraju otrzymywali regularnie i terminowo nowe płyty polskich i zagranicznych wykonawców (przykładem niech będzie ubiegłoroczny eksperyment z licencyjnymi nagraniami szwedzkiej grupy ABBA) w estetycznych kopertach i wysokiej jakości.

Jeśli chodzi o muzykę rozrywkową, która stanowi połowę wszystkich produkcji firmy z ulicy Długiej, to finałową imprezą tych jubileuszowych obchodów zorganizowano w pierwszych dniach października w stołecznej Sali Kongresowej PKiN. Do udziału w galowym koncercie przygotowanym przez Stołeczna Estradę, a reżyserowanym przez Tadeusza Aleksandrowicza, zaproszono szereg piosenkarzy i zespołów, szczególnie tych, którzy na przestrzeni lat współpracowali z „Polskimi Nagraniami”, choć przynależą do innych firm, które czym jak czym, ale udanymi nagraniami płytowymi dotychczas nie błysnęły. Równocześnie zabrakło niektórych bardziej zasłużonych wykonawców np. przebywającego aktualnie na występach w Stanach Zjednoczonych, Mieczysława Fogga czy kontrowersyjnego Niemena lub ogłoszonych na plakacie „Ska-

ldów” oraz laureatów „Złotych Płyt” — pochodzących z Łodzi zespołów — „Trubadurów” i „No To Co”.

W tej sytuacji w prowadzonym przez dawno nie widzianego na naszych estradach — Lucjana Kydryńskiego, koncercie wzięli udział: Anna Jantar, Irena Jaroeka, Maria Koterbska (usatysfakcjonowana przez „Polskie Nagrania” specjalną jubileuszową „Złotą Płytą” za 25-lecie działalności piosenkarzkiej), Halina Kunicka, Alicja Majewska, Maryla Rodowicz ze swoim zespołem, Irena Santor, Krystyna Sienkiewicz, Krzysztof Krawczyk, Wiesław Michniowski, Jerzy Polomski, Jarema Stepowski, Zbigniew Wodecki a także grupa wokalna „Alibabki” (uczestnicząca anonimowo — co warto odnotować — w niezliczonej ilości nagrań płytowych innych wykonawców, gdzie sześć dziewcząt spełniało rolę chóru towarzyszącego i zespół instrumentalno-wokalny „Czerwone Gitary”).

Sama impreza w Sali Kongresowej była nieco nużąca, ponieważ ciągnęła się bez mała przez trzy godziny. Poszczególne wykonawcy prezentowali przed przerwą i po przerwie po jednym utworze ze swego repertuaru (jedynie świeżo upieczona laureatka „Złotej Płyty” — Maria Koterbska, przezywająca obecnie renesans piosenkarzkiej formy — Maryla Rodowicz oraz stale popularne „Czerwone Gitary” pozwoliły sobie na przedstawienie skromnego mini-repertuaru). Szkoda, iż w programie tego galowego widowiska zabrakło całkiem nowych, premierowych piosenek. Ale przypuszczalnie należy, że znajdziemy je na nowych longplayach wydawanych przez „Polskie Nagrania”. Oby ukazywały się one w wyższej niż dotąd jakości i częściej w zapowiadanych terminach.

## ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, WIESŁAW JA2D2YNSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

Operatywność wszelkiego działania zależy przede wszystkim od szybkiej i dokładnej informacji zarówno w układzie pionowym (od ogniw centralnych w dół i odwrotnie), jak i w poziomym (między poszczególnymi ogniwami tej samej instytucji). Tymczasem lawinowo narastający zasób wiedzy (informacji) zawartej w setkach różnorodnych czasopism fachowych krajowych i zagranicznych (tłumaczenia) oraz licznych tytułach publikacji książkowych powoduje, że przeciętny użytkownik (pracownik na określonym stanowisku pracy, nauczyciel, lekarz, inżynier) staje bezradny wobec tego zalewu wiadomości. Tę bezradność potęguje fakt, iż nie tylko trudno jest wyszukać z licznych i interesujących publikacji tę właśnie, która potrzebna jest określonej specjalności z danej dyscypliny wiedzy, lecz i stąd, że systematyczne śledzenie publikacji praktycznie przekracza możliwości jednego człowieka.

Jak podaje „Modern documentation and information practices” (The Hague 1963 s. 12) obliczono, że gdyby jakiś chemik, znający 30 języków, rozpoczął 1 stycznia studiowanie wszystkich publikacji w swoim zakresie, poświęcając lekturze 40 godzin tygodniowo i czytając po 4 artykuły na godzinę, to do 31 grudnia przeczytałby mniej więcej jedną dziesiątą prac wydanych w danym roku, nie mając więcej czasu na wykorzystanie zdobytej wiedzy. Od czasu, o którym mówimy powyżej, minęło dalszych wiele lat piodnych w produkcji piśmiennicza. Dziś zaspokoić potrzeby użytkownika może tylko wyspecjalizowana służba informacji naukowej.

Stąd też tak istotną staje się praca służb informacji naukowej, technicznej i ekonomicznej oraz przygotowanie przeciętnego obywatela do korzystania z usług informacji naukowej. To przygotowanie powinno zaczynać się od szkoły podstawowej. Im wcześniej dany młodemu człowiekowi umiejętność korzystania z usług informacji naukowej, tym szybciej przyzwyczajony obywateli do efektywnego działania i ograniczonymi ilościami czasu przeznaczonym na poszukiwanie, poruszanie się „po omacku”.

Jak wygląda problem przygotowania młodzieży do korzystania z usług informacji naukowej na poziomie reformowanej dziesięcioletniej ogólnokształcącej szkoły średniej? Jakim zasobem wiedzy mają dysponować przyszli absolwenci dziesięciolatki? Jakie nowe treści wnoszą nowa wersja programu?

Odpowiadając na te pytania, warto zestawić treści działu „Czytelnictwo oraz elementy informacji naukowej” w starym i propozycji nowego.

Dział dotyczący informacji naukowej znalazł się tu i tam w programie języka polskiego. Projektodawcy wyszli bowiem ze słusznego założenia, iż ten przedmiot faktycznie integruje elementy różnych dziedzin wiedzy, a więc — poza sensu strieto filologicznymi — historię, naukę o społeczeń-

stwie, filozofię, etykę, psychologię; a w odniesieniu do działu „Czytelnictwo oraz podstawy informacji naukowej” — elementy wiedzy o księżce, bibliotekoznawstwa, edytorstwa, technik pracy umysłowej itp.

Dział: Czytelnictwo oraz podstawy informacji naukowej realizowany był w starym programie od klasy V do VIII (szkoły podstawowe) i od I do IV/V (w szkołach średnich) w nowym zaś programie od kl. IV do X. Skrócony został zatem okres nauki przeznaczony na realizację omawianego działu z ośmiu do siedmiu lat, z jednoczesnym przesunięciem pewnych partii materiału do kl. IV (budowa zewnętrzna

blicznej. Pominięto typowe wydawnictwa informacyjne (np. express informację), nie umieszczono zagadnień związanych z siecią ośrodków „inte” i systemów informacyjnych, nie uczyniono nawet najmniejszej wzmianki o procesach automatyzacji przetwarzania i upowszechniania informacji naukowej itp.

Wydaje się, że autorzy programu nie przeprowadzili poprawnej korekty poszczególnych haseł programu, gdyż ujęcie niektórych haseł jest niejasne np. w kl. VIII nie bardzo wiadomo, co znaczyć może następujące hasło: Informacja i wstępne zapoznanie z rodzajami czasopism społeczno-

kowej” nosi cechy eklektyzmu przedmiotowego, nie jest argumentem zwalniającym twórców nowej wersji programu od konieczności zachowania przejrzystości i logicznego układu treści. W klasach młodzież (od IV do VIII) projektodawcy co prawda próbowali, zachować pewien logiczny klucz postępowania: od faktów i zjawisk najłatwiejszych i najbliższych uczniowi do trudniejszych i dalszych. I tak: w klasie IV wprowadza się zewnętrzną budowę książki i zapoznanie z prasą dziecięcą, w kl. V zaleca się zapoznanie uczniów z budową zewnętrznej książki, mówi się o procesie jej powstawania, omawia się technikę poszukiwania książek w bibliotece oraz elementy techniki pracy z książką, poznaje się z prasą młodzieżową, wprowadza się słowniki i encyklopedie, w kl. VI przechodzi się do uproszczonego zapisu bibliograficznego (i to jest logiczna kolejność) ale już przy wprowadzaniu różnych rodzajów słowników w tej samej klasie zaleca się pracę ze słownikiem wyrazów obcych i bliskoznacznych (kl. V) później zaś dopiero (kl. VI) wprowadza się słownik ortograficzny. Czyżby z problemami ortografii uczeń nie zapoznał się wcześniej? Ponadto nie wiadomo, czy projektodawcy powtarzając pewne hasło programu w klasie wyższej mają na myśli jego utrwalenie, czy też wzbogacenie o nowe treści. Tak ma się sprawa w przypadku realizacji hasła pod tytułem: „Wyszukiwanie książki na dany temat w bibliotece szkolnej i publicznej” w kl. VIII (w kl. V hasło to brzmi: „Technika poszukiwania potrzebnych książek w bibliotece — posługiwanie się katalogiem alfabetycznym”. Czy nie należało zatem pójść o krok dalej i zapoznać uczniów z różnymi rodzajami katalogów, kartotek i na te typy nowych treści kształtować dalsze bardziej skomplikowane umiejętności).

Dopiero w kl. VIII nowego programu wprowadza się szerszym strumieniem treści wiążące się bezpośrednio z informacją naukową. Wydawałoby się, że treści te będą zawarte, jak wytyczne MOJW dla kl. I—IV szkół średnich. Tymczasem o ile w programie (wytycznych) uchwycić można jakąś jednolitą, choć nie pozbawioną luk koncepcję, o tyle w nowym, poza rodzajami źródeł informacji, głównymi zadaniami informacji naukowej, sposobami jej przekazywania i upowszechniania — nie wprowadzono innych potrzebnych uczniowi treści. W kl. IX, poza siecią bibliotek, czytelników, rodzajami wydawnictw i serii wydawniczych zaleca się wdrażanie dalszych umiejętności korzystania z różnych słowników. W klasie X zaleca się rozszerzenie wiadomości ucznia o czasopisma społeczno-kulturalne (jak w kl. VIII), bibliografie ogólne i specjalistyczne, wiadomości z higieny pracy umysłowej. Zabrakło natomiast miejsca na wiadomości dotyczące typowych wydawnictw informacyjnych (poza bibliografiami), podstawowymi wiadomościami o systemach informacyjnych i hasła zalecającego wyrabianie określonych umiejętności korzystania inte. Wyodrębniono wprowadzenie w nowy programie tzw. wyniki nauczania (są nimi zawarte w programie umiejętności np. ćwiczenie ze słownikiem, sporządzanie bibliografii itp.) jednak i one potraktowały zagadnienie informacji naukowej po macoszemu (patrz kl. VIII). Analiza zawartości treściowej omawianego działu w kl. IV, V, VI wskazuje ponadto, iż proporcje między treściami nowymi wprowadzonymi po raz pierwszy do programów, a utrwaleniem ich w poszczególnych klasach jest bardzo zachwiana. Dla przykładu cały rok szósty nauki poświęcony jest doskonaleniu umiejętności pracy ze słownikiem i lekturą młodzieżową. Elementem nowym w tej klasie jest uproszczony zapis bibliograficzny. Przeciwnieństwem do klasy VI jest układ haseł w kl. VII: pięć haseł i pięć nowych problemów, a wśród nich tak obszerny problem, jak wiadomości z historii książki (to hasło ma ścisły związek z treścią lektury podstawowej sięgającej czasów średniowiecznych).

Wszystko to razem świadczy o braku jednolitej, zwartej koncepcji działu. Jak w dotychczasowych rozwiązaniach na doborze treści zaciężyła tu prawdopodobnie świadomość, iż całość pracy informacyjnej w resorcie oświaty prowadzona jest przez biblioteki. Fakt, że informacja naukowa wypracowuje swoje specyficzne formy i metody przekazu informacji, nie znalazł uznania u projektodawców nowej wersji programu. Myślę, że można byłoby uniknąć tego, gdyby autorzy nowej wersji programu języka polskiego, wykorzystując dotychczasowe, sięgnęli do bogatego dorobku wyodrębniającej się, nowej dziedziny wiedzy, jaką jest informacja naukowa.

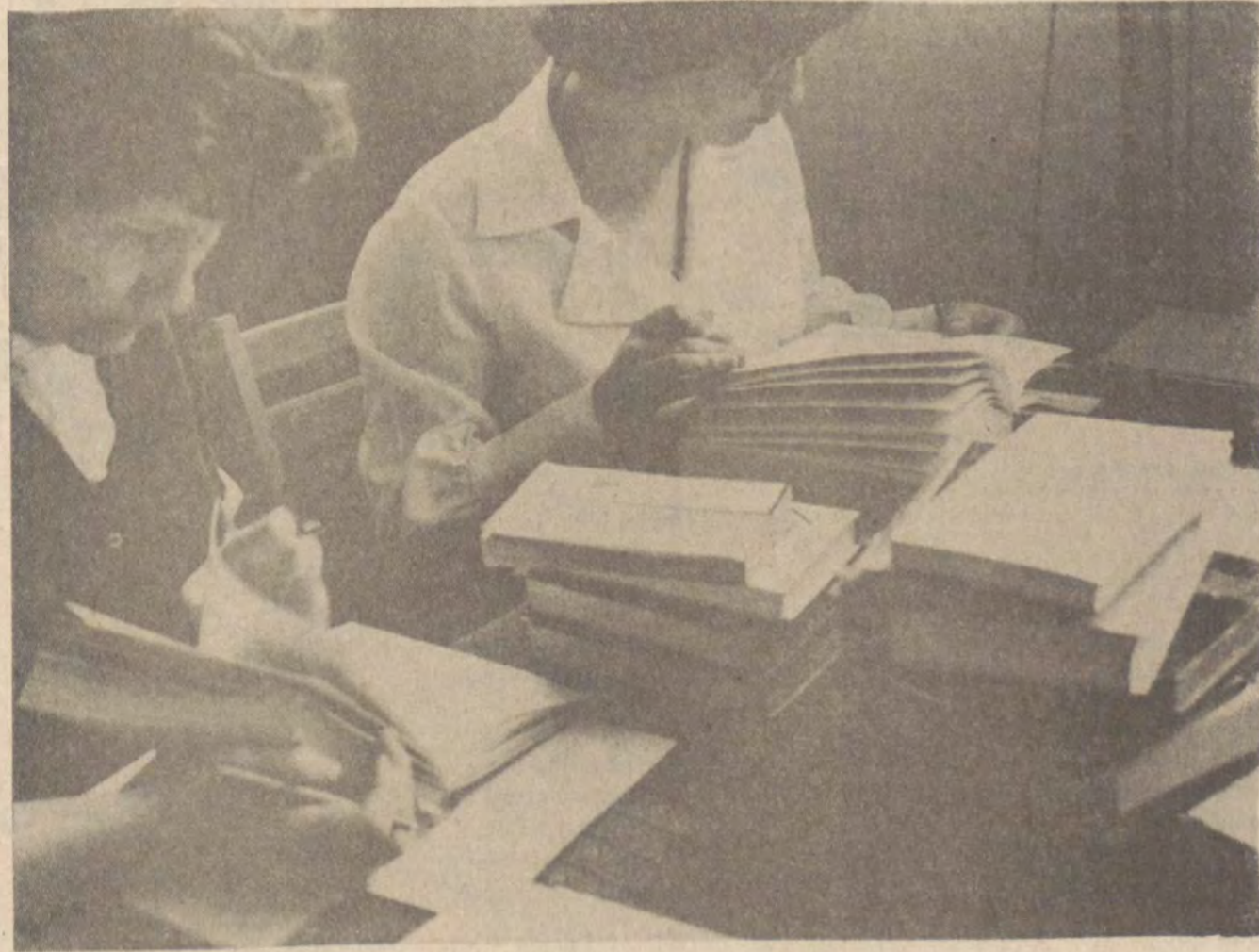
**HENRYK PIOTROWSKI**

# LEKCJA NAUKOWEJ INFORMACJI

książki, prasa dziecięca) oraz klasy I LO do VIII (źródła i zadania informacji).

Zmieniła się nazwa działu: drugi, człon „podstawy samokształcenia” zastąpiony został nowym elementem „podstawy informacji naukowej”. Treść haseł programowych działu: „Czytelnictwo oraz elementy informacji naukowej” pozostała jednak prawie identyczna aż do kl. VIII. Mimo wprowadzenia zmiany nazwy działu niewiele miejsca poświęcono informacji naukowej (poza klasą VIII). Nie weszło np. w ogóle do nowego programu wiele istotnych treści związanych z informacją naukową, a wśród nich takie jak: poznanie sposobów poszukiwania informacji za pomocą katalogów rzeczowych oraz kartotek zagadnieniowych (poza posługiwanie się katalogami alfabetycznymi w kl. V) itp. Być może realizować je będzie można w kl. VIII przy okazji realizacji haseł: Wyszukiwanie książek na dany temat w bibliotece szkolnej i pu-

kulturalnych i popularnonaukowych. Dlaczego zagadnienie informacji, które pojawia się tu po raz pierwszy realizowane powinno być z rodzajami czasopism; dalej — budowa zewnętrzna książki (kl. IV) to: karta tytułowa, wstęp, podział na rozdziały, spis treści, odsyłacze; w starym programie (kl. V) te same elementy budowy książki zaliczane zostały do budowy wewnętrznej. Nowy program wprowadzając budowę wewnętrzną książki (kl. V) wymienia już tylko przedmowę, posłowie, indeksy! Czy nie warto było sięgnąć w tej sprawie do normy polskiej (PN—65/N—01173. Przepisy bibliograficzne — kompozycja wydawnicza książki), a nie wprowadzać w zakłopotanie realizatorów. Nie zachowane w nowym programie chronologicznej kolejności zalecanych do realizacji zagadnień, na skutek czego poszczególne hasła zostały umieszczone jak gdyby przypadkowo w kolejnych latach programu. Fakt, że dział „Czytelnictwo oraz elementy informacji nau-



Fot. W. Parys

## POLSKO—FRANCUSKIE OŚWIECENIE

Dowodzilem przed kilkoma tygodniami, jak wiele tracimy na tym, że nie porafrimy docierać do zagranicznego czytelnika z tłumaczeniami naszych wybitnych dzieł naukowych na znane języki europejskie, wskazywałem, jak inna praktykę stosują pod tym względem nasi sąsiedzi. rzy okazji zauważyłem, że niemato jest takich prac humanistycznych, które w ogóle można by od razu drukować w obcym języku, dotyczą bowiem tego rodzaju zagadnień, że każdy, kto się nimi interesuje, musi znać dany język. Obecnie wpadł mi do ręki arcyciekawy tom, opublikowany przez Uniwersytet Wrocławski w całości w języku francuskim.

Zanim przejdę do przedstawienia jego treści, pozwolę sobie na jedną uwagę. W spisie wydawnictw wrocławskiej uczelni znalazłem listę tytułów serii „Romanica Wratislaviensia”, wśród których nierzadko zdarzają się pozycje obcojęzyczne, i to nawet włoskie. Trudno odmówić tej praktyce pełnego uzasadnienia: jeżeli ktoś będzie chciał zainteresować się studium Mieczysławy Sekreckiej o filozofii „Saint Martin’a” niechaj zna francuski, w którym zostało ono opublikowane, dzięki czemu może funkcjonować na świecie, jako polski głos w międzynarodowej dyskusji, toczącej się wokół poglądów tego przodźmiennego myśliciela. Na to, by rzecz o „Saint Martinie” publikować raz po polsku, drugi raz po francusku, z pewnością nas nie stać. Podobnie z książką, o której chciałbym dziś mówić.

Jest to opatrzony datą 1976 obszerny tom, zatytułowany (po francusku): „Litteratura Oświecenia we Francji i w Polsce. Estetyka — terminologia — wymiana”. Zawiera on materiały polsko-francuskiego kolokwium naukowego, zorganizowanego przez Uniwersytet Wrocławski przy współpracy Instytutu Badań Literackich PAN, z udziałem szeregu grona uczonych francuskich z rozmaitych ośrodków naukowych. Wydawnictwo przynosi teksty 24 referatów oraz materiały dyskusji.

Jest zupełnie zrozumiałe, że referaty te dotyczą rozmaitych zagadnień epoki Oświecenia, obejmują problemy różnego zakresu i znaczenia, że prócz tekstów o charakterze syntetycznym, znalazły się tu prace analityczno-przeznikarskie. Jest jednak bardzo znamienne, że polscy badacze częściej niż francuscy podejmowali na wrocławskim kolokwium problemy ogólne, że większość francuskich gości — poza Jean Ehrardem i Rogerem Lauferem — przedstawiła stosunkowo analityczne przyczynki, nieraz o spornym naukowym znaczeniu. Jest widoczne, że nasi znawcy Oświecenia nie mają żadnych kompleksów wobec swych francuskich kolegów, o tym zaś, że mieli się z czym pokazać, do-dawać nie potrzeba. Tego rodzaju referaty, jak Mieczysława Kilnowicza „Człowiek polskiego Oświecenia wobec historii”, Bogdana Suchodolskiego „Problemy antropologii filozoficznej wieku Oświecenia” przynosiły rzeczywiście szerokie, panoramyczne spojrzenie na zasadnicze zagadnienia kultury epoki.

Zupełnie zrozumiałe, że w centrum uwagi tego międzynarodowego kolokwium znalazła się problematyka wzajemnych związków polsko-francuskich, której poświęcono szczególnie wiele uwagi. Skupili się na niej uczeni obu stron: Jerom Verucyus mawiał więc o związkach polskiego oświeceniizmu z francuskim materializmem, Laurent Versini wygłosił referat o twórczości Stanisława Leszczyńskiego, Claire Nicolas arcyciekawy przyczynek „Jean — Paul Marat i Polska”. Ze strony polskiej zagadnienia związane z polsko-francuskimi były rozpatrywane w wystąpieniach Henryka Hinza, Mariana Skrzyпка, Zdzisława Libery, Teresy Kostkiewicz, Zofii Sinko, Ewy Rząd-kowskiej, Aliny Aleksandrowicz, Anny Niklibore i Lucjana Grobelaka. Nie znaczy to, by zabrakło i polskich referatów, dotyczących już ściśle problematyki Oświecenia we Francji: taki charakter miały m. in. wystąpienia Mieczysławy Sekreckiej, Krystyny Gabryjelskiej. Spośród referatów o charakterze informacyjnym, mającym na celu poinformowanie obcych badaczy o dorobku nauki polskiej, bardzo interesujący okazał się tekst Andrzeja Zahorskiego o współczesnych polskich badaniach historycznych nad Wielką Rewolucją Francuską.

Nie mam ani możliwości, ani zamiaru omawiać szczegółowo zawartości tego sporego, liczącego trzysta kilkadziesiąt stron tomu. Każdy zajmujący się Oświeceniem i tak będzie musiał do niego zaglądnąć. Na zakończenie chciałbym podkreślić, że w dobie prawdziwego zalewu coraz to nowych informacji, kiedy nie sposób jest przeczytać wszystkie choćby tylko najważniejsze prace, jakie ukazują się o czasach Oświecenia w świecie, międzynarodowe kolokwia służące wymianie poglądów i informacji mają doniosłe znaczenie naukowe. Właśnie dlatego — wiemy o tym z praktyki — jest ich coraz więcej i znowi, pod względem naukowego znaczenia, porównają one wypierać dawną i nieco już anachroniczną formę naukowych kontaktów w skali międzynarodowej, jaką jest wielki kongres. Kongress są tak olbrzymie, że doprawdy trudno, aby mogły być forum do podejmowania dyskusji na szczegółowe tematy, konfrontowania postaw i metod badawczych. Z trudnością mieszczą w sobie najogólniejsze problemy danej dyscypliny. Dla codziennej pracy nie tylko historyków, większe chyba znaczenie mają dziś mniej liczne, za to grupujące zainteresowanych specjalistów kolokwia problemowe.

MICHAŁ DALECKI

## WIDOK z SERCA

I — Noc

O tej porze tramwaje jadą kół ostatkiem, konduktorom szyny ciągną się do spania, zapach dnia obsiadł utrudzone ławki.

Jeszcze wszystko tak jak za oknem snu — jeszcze Widzew odwrócony ciszą od ulicy grzeje w pierzynach ochotę na jutro.

II — Ranek

Wychodzą stadem Białe Święte Ranka... jak welon bawelna tłumi szept niedobry. Kobiety z rodu, z twarzy noc zmęczenia, z serca daleki płacz dziecka w kokonie, z nóg długi spacer od krosien do domu, z żołądka muzyka kolacji i śniadań.

Święte Fabryczne moje matki siostry ich niebem kasztan w glorii kwiatów ich niebem światła w gwarnym cafe-express, obchodzą poetę same w poezji zapiekłe jak ciasto w formie na dzień uroczysty: Święte Fabryczne — metafora ranka.

III — Południe

Postne pola Grynbachu porastają w beton, domy szklane w kolorze żyta i lubinów.

Wiosennie kwitną dziewcząt suknie na niepokój matek na chłopców uciechę.

Ze śródmieścia mieszczuchy na spacer w nieznaną — skąd w tych stronach tyle wesołej muzyki.

Drobny kroczek nianiek kuleje w uliczkach ćwiczą od nowa krajobraz Grynbachu.

Tylko gołębiom żal postnego pejzażu — zawodzą w antenach smutny trel o grochu.



RAFAŁ ORLEWSKI

## Z WDZIĘCZNOŚCI

jestem ci wdzięczny za serca niepokój  
bo niepokoić się trzeba w spokoju  
za ogień w dłoni rzuconej wysoko  
po myśl przelotną by stała się moją

jestem ci wdzięczny za tykot zegara  
za to że zdjęto ten obraz ze ściany  
z którego żadna nie biła już wiara  
a który przyniósł czas nie odmierzany

bowiem nieprawdą jest że czas zatrzymać  
to osiąść boskie wcielenie na ziemi  
pełni się żadne z przemijań nie ima  
jeżeli z ludzkich wyrasta korzeni

WACŁAW KRAKOWSKI

## ŁÓDZKIE OBRAZKI

Oblazły ze skóry ściany domów ślaniały się z bólu, a płoty trzymały się za ręce, by nie runąć z wycieńczenia. Wkoło wisiały te same wyblakłe, łódzkie obrazki. Twarze przylepione do tekturowych ludzi ożywiały martwą naturę. Brama domu, przed którą stanąłem tylko jedną

trzymała się muru. Podwórko złośliwie podstawało nogi, a schody nieprzyjaźnie spychały w dół. Ściany korytarza do połowy zapisane były przez historię. W oknach izby, do której wszedłem, wisiały drukowane szyby. Szafera miała trzy ściany. Na jednej rosły kwiatki na drugiej wisiał kawałek nieba, a trzecia była drzwiami. Słoma

wylewała się z desek łóżka. Błat stołu dźwigał białe spojrzenia i równo ułożone kamienne lokcie. Poważnione deski podłogi oddziaływały się szparym. Nagi i wykrzywiony w kolanie piecyk czerwieniał się ze wstydu; nie mniej od matki witającej syna powracającego z wojny.

MARIA SZANIAWSKA-CZARNOCKA

## AKWARELA

Kropla nieba z pędzla spadła i zdziwieniem się rozlała zblękitniały oczy dziecka czarodziejskie magnetyczne z waniliowych snów wycięte. Dobre wróżki cichych pragnień zbiegły nagle dniem spłoszone nieuchwytnie cienie marzeń zatrzasnęły gród dzieciństwa swą czerwienią zdarzeń.

CZESŁAWA POLITAŃSKA



ten ból z lewego boku po tobie spłynął

w pajęczynę się zwinął brakuje mnie przędę do białego życia tyle byle wyjść ze skóry

JAN JUSZCZYK

## MIEJSCE

To tu hełm jest koroną na krzyżu zgarbionym ponad zwiedłym irysem, śnieżną chryzantemą, to tu niski płomień modli się wieczorem.

To tu do ziemi przybity żelazem cień brzozy został z cieniem jego dłoni w nagie powietrze bólem wyrzuconych.

Odczytaj napis na spękanej blasze i nie mąc ciszy niech trwa dalej ziemia.



WALENTY JARECKI

## Są chwile

Są chwile bez wielkich słów  
najszcześliwsze kiedy zapominam o sobie że żyję że istnieję kiedy zamieniam się w

w krople wody w barwy światła bez świadomości co dobre i co złe

kiedy w moim sercu jest czysta miłość najczystsza przepływająca jak krew wszystkimi kanalikami moich uczuć

STANISŁAWA PIASECKA

## IKAR FELIKS RAJCZAK

Z dziecięcą ufnością wzbil w słońce

swój zachwyt i upojenie

Głód światła przydał skrzydłom lekkości i blasku

Wskazał drogę pokoleniom

i runął

Równoważąc wartość życia i poznania



Rysunki J. Szymański-Glanc

Przewidziałeś ten zmierzch  
Jeszcze wspomnij wiosnę  
U wylotu wsi  
Stałeś jak słup soli

Nie rozwinie się w wiersz  
Ten gorzki monolog  
Miałeś prawo być wodzem  
Tych stad schodzących z pól

Kim jesteś za tą wodą  
Przez którą cię wołamy  
I jedziemy za tobą  
Smółowanymi kołami



Dalszy ciąg ze str. 1

1.

Kiedy w Państwowym Teatrze Laiki „ARLEKIN” dowiedziano się, że przyszło zaproszenie na festiwal w Teheranie, radość była wielka. Alłisci przynajmniej dla części zespołu „ARLEKINA” dość szybko zamieniła się w zazdrość. Okazało się bowiem, że dyrektor teatru, Stanisław Ochmański zdecydował, że do Teheranu pojedą tylko ci, którzy biorą udział w widowisku opracowanym przez Jana Wilkowskiego według Kornela Makuszyńskiego „Szewca Kopytko i Kaczora Kwaka”, a wyreżyserowanym przez Henryka Rylę.

— Mamy grać w amfiteatrze, na otwartym powietrzu — tłumaczył Stanisław Ochmański — nie możemy więc jechać z widowniskiem lalkowym. Do tego świetnie nadają się maski. A właśnie maski są w „Szewcu Kopytko i Kaczorze Kwaku”. Więc sprawa jest prosta.

Potem przyszła wiadomość, że „ARLEKIN” odlatuje do Teheranu 13 sierpnia. A kiedy jeszcze okazało się, że 13 sierpnia przypada akurat w piątek.

Właściwie mało kto przyznał się do tego, że jest przesądny. Ale pożartować zawsze można. Zartowano więc sobie z tych, do których los się uśmiechnął. Przewidywano najgorsze: że samolot rozbije się, że porwą go terroryści... Dzielono już zwolnione w tej wyimaginowany sposób etaty. Przyszli „teherańczy” miny mieli niewesołe. Na zarty reagowali żartami, ale gdzieś tam głęboko siedziała niepewność.

Toteż, kiedy 13 sierpnia 1976 roku przed godziną 5 rano wszyscy gromadzili się przed teatrem, każdy się zastanawiał, jak będzie, co się stanie?

Wyruszyliśmy teatralnym autokarem tuż po godzinie 5. Zgodnie z planem. Gdzieś pod Łowiczem zaczęło coś postukiwać w autokarze. Stajemy na poboczu drogi. Wychodzimy. Wszyscy oglądają dokładnie autokar. Nic. Wszystko wydaje się być w porządku. Ki diabeł?

Stuka dalej, ale jedziemy. Za Łowiczem nagle huk. Kierowca gwałtownie hamuje. Stajemy. I co się okazuje? Pękło jedno z tylnych kół. Opona pękła wzdłuż bieżnika. Dokładnie i skutecznie. Trzeba zdjąć oba koła, wymienić te z pękniętą oponą. Na szczęście jest koło zapasowe. Operacja długa i skomplikowana.

— Stało się? — powiada nagle Stanisław Ochmański. — Dobrze, że jeszcze tu, w kraju i że tylko pękła opona. Dalsza podróż powinna już pójść gładko.

Wszyscy oddychają z ulgą. Jest piątek, trzynastego, musiało coś się stać i stało się. Mamy to za sobą. Dalej już powinno pójść gładko. I poszło. Co prawda, godzinę staliśmy poza programem na lotnisku w Monachium, gdyż nad lotniskiem przechodziła burza i wieża kontrolna nie zezwalała na start naszego samolotu. Stąd później godzinne spóźnienie w Teheranie. A krakuska, która zdarzyła się nam przed dworcem lotniczym w stolicy Iranu, zdarzyła się już 14 sierpnia 1976 roku.

2.

Pokoje zarezerwowano dla nas w hotelu „Miami” przy Pahlavi Avenue. Jest to już część Teheranu położona wyżej, jakieś 1500 metrów nad poziomem morza. Słońce pali tu również niemiłosiernie. Ulicę i hotel osłaniają jednak wysokie drzewa i dopóki jest się w ich cieniu nie czuje się upału. A jak będzie w amfiteatrze?

Amfiteatr położony jest jeszcze wyżej, 1700 metrów ponad poziomem morza. W pięknym parku, pełnym zieleni i wody. Klimat tu już znacznie łagodniejszy. Park sąsiaduje z pałacem cesarskim. „ARLEKIN” będzie tu występował wieczorem, kiedy już zmrok zapadnie, kiedy robi się chłodno i tylko ciepło bije od rozgrzanych w ciągu dnia kamieni.

— Tysiąc siedemset metrów? — dziwiła się Barbara Szymańska. — To jeszcze tylko przeszło dwie setki i byłbyśmy na wysokości Kasprowego Wierchu.

3.

W hotelowej restauracji przygotowano dla nas wielki, „rodzinny” stół. Każdy wybrał sobie miejsce i tak już miało być przez wszystkie dni, przez wszystkie śniadania i kolacje. Przy obiedzie obowiązywała bowiem inna zasada. Przy pierwszym śniadaniu zabrakło jednak przedstawiciela „Pagartu”, Jerzego Szyszko oraz ekipy technicznej „ARLEKINA”. Pojechali na lotnisko, aby odebrać i zawięzić do amfiteatru dekoracje. Nie mieli łatwego życia. Musieli odszu-

kać dekoracje w ogromnych magazynach, załadować na samochody i zawięzić do amfiteatru. Wrócili spalenymi słońcem, zmęczeni, ale zadowoleni. — Okay! — powiedział Jerzy Szyszko. — Wszystko już na miejscu.

Stanisław Ochmański wyraźnie odetchnął. Pierwszy kłopot z głowy. — Odpocznijcie trochę i wieczorem rozpoczynamy montaż.

Technicy „ARLEKINA” tak sprytnie pomyśleli, że rami potrzebne do rozpięcia płótna zmontowali jako skrzynie. Wszystko było wykorzystane do maksimum, jako że transport lotniczy wymaga i odpowiednich rozmiarów i jak najmniejszego ciężaru.

Wieczorem, gdy pojechaliśmy do amfiteatru, technicy już ciężko pracowali. Pot spływał po nich obficie. Mieli do przewiezienia nie tylko problemy techniczne, ale i językowe. Dostali do pomocy miejscową ekipę techniczną z „The Institute for the Intellectual Development of Children and Young Adults”, na zaproszenie którego „ARLEKIN” przyjechał do Teheranu i pod którego opieką pozostawał.

Kiedy aktorzy „ARLEKINA” zwiędali park, z uwagą przyglądałem się pracy ekipy technicznej. Była to mała, ale bardzo silna grupa, składała się ona tylko z... trzech osób. Irańczyków było znacznie więcej. Czasu było mało. Pomoc była potrzebna. Jan Borchon i Henryk Szarkowski radzili sobie doskonale. Porozumie-

wszystkie reflektory będą potrzebne. Powrócili więc na stojaki i w samą porę, gdyż zapadł zmrok i bez światła nie już nie można było zrobić. A światła było — jak się okazało — dosyć, gdyż mogłem przy nim nawet zrobić zdjęcia.

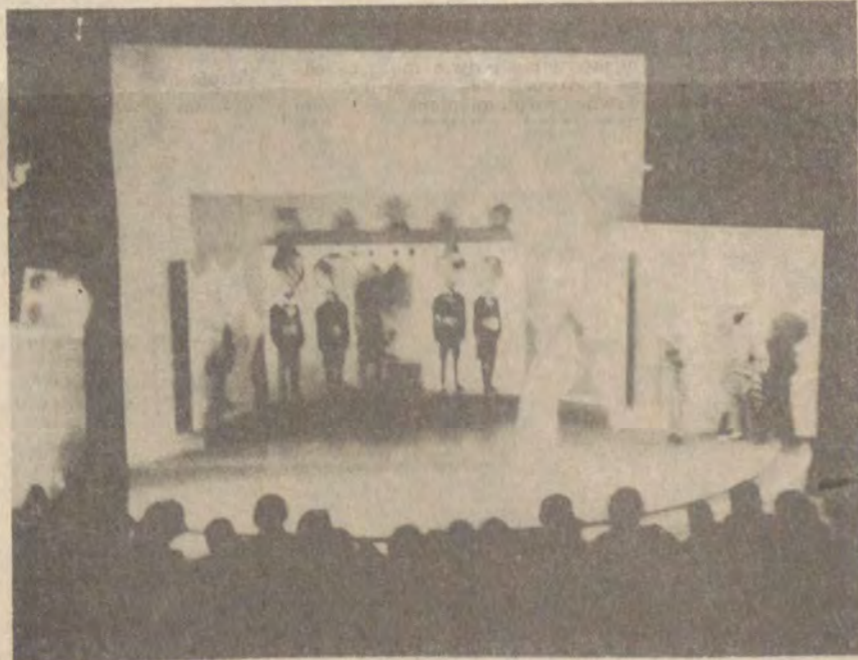
— Jak na polowe warunki są zupełnie dobre — ocenili je nasz redakcyjny fotoreporter, Włodzimierz Parys. — Ale następnym razem to lepiej weź mnie z sobą.

4.

Następnego dnia była niedziela. Ale nie w Iranie. W Iranie niedziela jest w... piątek. W niedzielę jest ichni wtorek, czyli normalny dzień pracy. I właśnie w ten irański wtorek, a w naszą niedzielę wypadła premiera „ARLEKINA” w Teheranie. State Puppet Theatre „ARLEKIN” miał zaszczyt przedstawić teherańską publiczność widowisko „Shoemaker Kopytko and The Duck Kwak by Kornel Makuszyński”. W ten irański wtorek wszyscy więc od rana byli podenerwowani, bo każdy zastanawiał się, jak też tego Shoemakera Kopytko i The Duck Kwaka przyjmą teherańscy widzowie?

Teherański festiwal teatrów lalkowych ma specyficzny charakter. Rozpoczął się w czerwcu występami irańskiego tradycyjnego teatru lalko-

## 1700 METRÓW NAD POZIOMEM MORZA



Zdjęcie Autora

wali się na migi, ale widać technikom teatralnym łatwo jest porozumieć się nawet w taki sposób. Robota szła więc szybko.

Tylko Zbigniew Górcażak miał kłopoty. Opiekował się on wszystkim, co wiązało się z elektrycznością. A więc nie tylko reflektorami, ale też magnetofonem i taśmami, z których odtwarzano tekst widowiska nagrany jeszcze w Polsce. Z magnetofonem nie było większych kłopotów. Wynikły natomiast z reflektorami. Zainstalowane w amfiteatrze okazały się dla potrzeb „ARLEKINA” niewystarczające. Zbigniew Górcażak przyniósł więc własne, czyli lódzkie, które przywieziono wraz z dekoracjami. Irański elektryk rozumiał, że dotychczas stojące reflektory trzeba zabrać i zaczął je rozmontowywać. Górcażakowi chodziło zupełnie o co innego, zaczął więc mu tłumaczyć po polsku, aby zostawił i nie rozmontowywał. Tamten patrzył, słuchał, potakiwał po angielsku: — Yes, yes, okay! i dalej robił swoje.

— To też będzie potrzebne — mówił Górcażak.

— Okay — mówił Irańczyk.

— No to przestań — mówił Górcażak.

— Yes — mówił Irańczyk i zdejmował reflektor ze stojaka.

— Ja się z nim do cholery nie porozumieć — doszedł do słusznego wniosku Górcażak i poszedł po pomoc.

Z pomocą mu przyszedł Henryk Ryl, który akurat z Ardeshirem Keshavarzi omawiał szczegóły widowiska. Spokojnie wytłumaczył, że

wego, a kończył się w sierpniu właśnie występami „ARLEKINA”. Jako drugi występował współczesny irański teatr lalkowy, którego pracą kieruje Ardeshir Keshavarzi, również szef całego festiwalu. W lipcu w Teheranie gościli artyści z USA, Kanady, Włoch. W sierpniu — teatr z Francji i Rygi. Radzieccy artyści występowali bezpośrednio przed „ARLEKINEM”.

Zespoły występujące w teherańskim amfiteatrze nie widziały się wzajemnie. Kiedy „ARLEKIN” przybył do Teheranu, swoje występy skończył już zespół z Rygi. Artyści radzieccy zostali jeszcze kilka dni w Teheranie i mogli obejrzeć sobie artystyczną produkcję „ARLEKINA”. Skorzystaliby zresztą z tej możliwości. Świadomość tego, że występuje się przed nieznaną widownią, na samym końcu długiej listy teatrów, kiedy widz ma już możliwość dokonania porównań, nie wpływała dodatnio na samopoczucie zespołu. A więc pytanie: jak nas przyjmą? nurtowało wszystkich tej sierpniowej niedzieli, która była irańskim wtorkiem.

Premiera wypadła znakomicie. Ardeshir Keshavarzi poprzedził występ Shoemakera Kopytko — tak tu wymawiano imię polskiego szewczyka — krótkim przedstawieniem publiczności polskiego teatru. A później zaczęło się. Ruszyła teatralna machina pod gwiazdystym teherańskim niebem.

Stanisław Ochmański idealnie trafił wybierając Shoemakera Kopytko. Maski Adama Kiliana, charakteryzujące cechy poszczególnych postaci,

przemawiały również do wyobraźni teherańskich dzieci. Co jakiś czas do polskiego tekstu włączała się spikerka, wyjaśniając widzom przebieg akcji. Henryk Ryl, reżyserując „Szewczyka Kopytko i Kaczora Kwaka”, założył jak najszybszy kontakt z dziecięcą widownią, odwołując się do niej również w tekście widowiska. Aktorzy wielokrotnie przechodzą przez widownię, co w teatrze przy rogu ulicy Wólczniańskiej i 1 Maja nie jest takie łatwe, a co było dużo łatwiejsze na wielkiej widowni teherańskiego teatru. I to się bardzo podobalo. Shoemaker Kopytko i Duck Kwak zdobyli sobie z miejsca sympatię dzieci. A gdy jeszcze sami z własnej woli z dziećmi tymi kontakt nawiązali...

Ktoregoś ranka przy śniadaniu Henryk Ryl uznał za stosowne „skarcić” Marię Sikorską występującą w masce Shoemakera Kopytko i Jerzego Pokranta, czyli „mądrą polską kaczkę”.

— Wszystko wczoraj było bardzo ładnie — powiedział. — Ale ani Szewczyk, ani Kaczor nie mogą pozwolić sobie na zbyt długie zabawy z dziećmi, bo to rozbiłaby rytm widowiska. I nie zapominać, że jest to występ zespołu a nie poszczególnych aktorów.

Kopytko — ciągle piszę tak, jak w Teheranie wymawiano imię szewczyka — i Kwak cieszyli się przez cały czas wielką popularnością. Każde niemal dziecko uważało, że powinno być przez nich poglaskane, że musi ich dotknąć, przywitać się, coś do nich po persku zagadać. Ten zwyczaj nawiązywania bezpośredniego kontaktu z aktorami przeniósł się na cały zespół i bywało i tak, że podczas finału na estradzie byli nie tylko aktorzy z Polski, ale cała gromada teherańskich dzieci, które wspólnie z aktorami tańczyły w kółeczko w rytm polskiej muzyki. A bywało też i tak, że aktorzy tańczyli z bardzo małymi dziećmi na ręku. Te dzieci oddawali im z całą ufnością rodzice i bardzo cieszyli się z tego.

— No, poszło — odetchnął z ulgą Stanisław Ochmański, kiedy premierowe przedstawienie dobiegało końca i zaczął zaraz martwić się o następne.

— Będzie dobrze — pocieszał go Radek Surowiec, zastępca dyrektora Wydziału Kultury Urzędu Miasta Łodzi, który towarzyszył „ARLEKINOWI” w Teheranie.

Po premierze aktorom gratulowali i życzyli dalszego powodzenia ambasador PRL w Iranie — Henryk Łaszcz, który przybył do amfiteatru wraz z rodziną. Na przedstawieniu obecny był również Jerzy Krasowski — rektor Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie, który akurat przebywał w Teheranie.

Po pierwszych występach „ARLEKINA” ukazały się w prasie i radio teherańskim życzliwe recenzje. Sześć dni występów minęły szybko. Czas było się żegnać. Ardeshir Keshavarzi zaprosił cały zespół na pożegnalną kolację do perskiej restauracji, gdzie była perska muzyka, perskie potrawy i perska wódka. W czasie tego spotkania obdarował wszystkich drobnymi upominkami, wręczając je najpierw... mężczyznom, a później kobietom, co u naszych pań wywołało mały szok i wcale nie ciche protesty. Ale Ardeshir Keshavarzi na szczęście po polsku nie rozumie, a poza tym takie tam są obyczaje.

5.

Po zakończeniu występów w teherańskim amfiteatrze pozostały jeszcze trzy dni na zwiedzanie miasta i okolic. Wszyscy koniecznie chcieli zobaczyć pustynię. Zobaczyli, ale okazała się ona inna niż uczono nas tego w szkole, niż znamy ją z filmów i fotografii. I wreszcie nadszedł dzień odlotu.

Już w Monachium, kiedy czekaliśmy w tamtejszym porcie lotniczym, na samolot Iberii, którym mieliśmy lecieć do Warszawy, Zdzisław Owsy zażartował:

— Wsiadamy do samolotu, startujemy i jakiś idiota porwya nas i uwozi z powrotem do Teheranu.

— Wszystko tylko nie to — zaprotestował Janusz Uptas. — To było piękne, ale bardzo chciałbym już odpocząć u siebie w domu. W Łodzi.

Wracaliśmy zadowoleni, ale bardzo zmęczeni. Na Okęcu były już forpoczty witających. Jeszcze tylko krótką podróż teatralnym autokarem i już Łódź.

6.

Nim jednak nadszedł ten dzień pożegnania, było jeszcze kilkanaście dni irańskich. Zaraz następnego dnia po premierze, a więc w irańską środę a nasz poniedziałek, 15 sierpnia 1976 roku, zostawiliśmy zespół „ARLEKINA” i... „ruszyłem w Iran”. Samochodem przez pustynię.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

## JÓZEF SKROBIŃSKI

Wie się, aby dla opisania twórczości Józefa Skrobińskiego trzeba było nadużywać wielkiego dzwonu pochwały i przybliżać wobec Jubilat (40 lat pracy twórczej). W porównaniu ze współczesnymi odmianami malarstwa przedstawiającego — pomijając tautologiczne spory o nazwę — uproszczony realizm jego obrazów może wydać się nieefektywny i staroswiecki.

Henryk Anders we wstępie do katalogu wystawy „Tendencje w sztuce Łódzkiej” nazwał manierę grupy Łódzkich Realistów — Skrobiński należał do najstarszych jej członków — „powrotem do prymitywizmu”. Malarz ten popelił do dziś niemal wszystkie błędy, jakie zarzucano Realistom: stosuje frontalną, sztywną kompozycję, obwodzi formę grubym konturem, z upodobaniem nadużywa brązów i zieleni. Jubileuszowa wystawa prac w galerii przy ul. Wólczniańskiej nie nawróci chyba nikogo z przeciwników malarza.

Pragnę mimo to postawić tezę, że owe kilkadziesiąt płócien i akwareli pozostałe w pamięci widzów, a wystawa odnotowana będzie w artystycznej biografii Skrobińskiego jako sukces.

Mam bowiem pewność, że zachowanie historycznej manieri grubo ciosanego, ekspresyjnego realizmu z domieszką lirycznej zadumy (ten dziwny alians stanowił niegdyś jedną z tajemnic powodzenia Łódzkich Realistów) było konsekwencją wyboru dokonanego w pełni świadomie. Konwencja doprowadziła do skostnienia, które dla Realistów stało się oczywiste już w latach 60-tych i było powodem rozminięcia w różne, dość czasem odległe strony. Lecz to co dla całej grupy okazało się sztywną konwencją — dla Skrobińskiego pozostało wypełnianym z żelazną konsekwencją założeniem. Jako jedyny nie wyłamał się z określonej stylistyki mającej historyczny aspekt i lekko romantyczną legendę. Chodził zresztą nie tylko o naskórek dzieła. U Skrobińskiego przetrwało znacznie więcej niż zewnętrzny kanon; program aktywnej (choć prostodusznie rozumianej) postawy, wobec najbliższej mu rzeczywistości — tej postrzeganej głównie zmysłami i instynktami. Literacka anegdota jego obrazów jest nader prosta. „Pożegnanie emeryta” odbywa się z całym należytym sytuacyjnym porządkiem, kobietę z obrazu „Po sztormie” zatopione są w niepokoju o losy mężów; „Wielki przemysł belchawski” kładzie na urodzajnej ziemi mocne ślady koparek. Mimo woli poszczególnie obrazu układają się w sekwencje neorealistycznego filmu o zwykłych ludziach i prostych sprawach — jednak dziwnie współczesnego. Zaangażowanie i aktualność; oba te postulatory Skrobiński spełniał już wtedy, gdy ścięły się poglądy w sprawach nowego stosunku do sztuki (programowości socrealizmu zwalczał w Polsce drapieżny ruch „Arsenalu”, później jego akcenty wywalczył Wróblewski z Francji atakując brutalną formę Buffeta). Był to czas, gdy artyści nie obracali w kpinę żarliwej wiary w posłannictwo sztuki. Malowało się „dla kogoś”, w sztuce o coś chodziło”. Zbytina estetyka była niepotrzebnym balastem, który osłabiał wyraz i przeszkadzał w komunikowaniu treści. Na tym podłożu wyrósł także Łódzki Realizm i jeśli dziś można odzignąć się od wszelkich naiwności postawy — to i tak starczy uznać dla siły i zdecydowania tej sztuki. Obrazy Skrobińskiego pozostały komunikatywne i programowe. Deklarują znane prawdy lub dotykają codziennych marzeń. Na tym polega ich słabość, lecz za to odbiorca natychmiast orientuje się, że z malarzem tym — poprzez jego prace — wejść można w autentyczny, niemal intymny kontakt.

Jestem daleki od nazwania artysty „nowoczesnym”, chociaż o nowoczesności nie może świadczyć forma a raczej stosunek do świata lub suma prawdy o nim zamknięta w obrazach. W rzeczywistości rodzajowa scena „Sto lat” z teatralnie urozmaiconym staruszkami (miennymi w wesołej kompanii, gdzie przed domkiem robotniczym osiedla) jest przypomnieniem tradycji, bez której współczesność nie może się obejść. „Starości” wybiegające niewielki pokonk na innym z obrazów składają się w materialne świadectwa czwartej istnienia; może długiego i pracowitego życia. To dzięki nim maszyne bloki za oknem wydają się prawdziwie nowoczesne.

Jestem — mimo wszystkich zastrzeżeń — pod urokiem tych głęboko osobistych płócien i nie przeszkadza mi ich staroswiecka forma. Odkrywanie sensu i porządku pozornie blahych zdarzeń uważam za najwyższy stopień tajemniczenia — nawet wtedy, gdy chodzi o zapis rozmowy przy otwartym oknie czy odchodzącego bezpowrotnie pejsza starej Łódzi. Jest to rodzaj sztuki wiecznie aktualnej i żywej, odpowiadającej na zmiany mody. Tradycja mówienia wyprost do ludzi żyje nadal w literaturze (nieodparcie przychodzi na myśl postać Stanisława Grochowiaka). Józef Skrobiński wiele z jej tajemnic odkrył na własny użytek i zdołał przenieść na płótno.

ANDRZEJ MAJER

# WIECZÓR Z DZIENNIKIEM

Muszę się samokrytycznie przyznać, że już nie wierzę w możliwość przemodelowania Dziennika Telewizyjnego. Ostatnio była to jedna z nudniejszych audycji TVP i ludzie wyłączali głośniki telewizorów o godzinie 19.30, delektując się jedynie samym widokiem obracających się kół zębatach i lejającej się surówki.

Dziennik Telewizyjny był klasyczną ilustracją krytycznych słów kierownika Wydziału Pras, Radia i Telewizji KC, tow. Kazimierza Rokoszewskiego, który na wrześniowej naradzie powiedział: „mamy do czynienia ze zbyt dużym uproszczeniem obrazu rzeczywistości i problemów naszego życia, co nie sprzyja osiąganiu zamierzonych celów, a wręcz przeciwnie — wywołuje odruchy zniecierpliwienia”.

Tak było, niestety, z Dziennikiem Telewizyjnym.

I oto bomba! Od jakiegoś czasu mamy nowy, zupełnie odmienny wieczorny blok publicystyczno-informacyjny. Zmiany poszły głębiej, nie dotyczą tylko ustawienia stołów, plany i sygnały. Obecnie jest to spokojna, rzeczowa rozmowa z telewizjami na temat spraw kraju i świata.

Właśnie, rozmowa. Ow spokojny, rzeczowy ton relacji, bez zadęcia i kampanijnego pokrzykiwania, ma o wiele skuteczniejszą siłę przebiecia niż to było dawniej. Myślę, że to jest najważniejszy moment w nowym ustawieniu Dziennika Telewizyjnego.

Poszerzono także wachlarz rodzajów dziennikarskich. Wydawać by się mogło, że Dziennik — cóż? Komentarz, informacja, krótki film i da capo. A można inaczej i dziś twórcy „Wieczoru z dziennikiem” udowadniają to każdego dnia. W bloku programowym znajduje się miejsce na konferencję prasową z dyrektorem Fabryki Samochodów Malolitrażowych. Znajduje się tu miejsce na znakomity, dawno nie widziany w telewizji, tak autentyczny i nie „uszynkowany” reportaż z ustawienia pomnika Jagiełły na Placu Matejki w Krakowie. Uzupełnia go rozmowa z realizatorem filmu, który do tego ciekawego materiału dopowiada jeszcze rzeczy interesujące na temat samej realizacji...

W „Wieczorze z dziennikiem” pomieszczono także audycję Mieczysława F. Rakowskiego „Świat i Polska”. Zawsze była to audycja ciekawa, w nowym Dzienniku jej dobra marka wspiera Dziennik.

Dobrym pomysłem jest także hasło „Jak minął dzień?” Dalekopisów w Polsce mamy dziś mrowie, istnieje więc istotnie szansa lawiny niebanalnych informacji z tam dalekopisowych instytucji, zjednoczeń, fabryk, gmin, uczelni. Jest zrozumiałe, że część tych informacji będzie z dziennikarskiego punktu widzenia bezużyteczna, ale też istnieje możliwość wyłuskania z lawiny informacji rzeczy ciekawych, pożytecznych, nieznanych ogółowi.

Edward Mikołajczyk kurtuazyjnie stwierdził, że nie jest to konkurencja dla Polskiej Agencji Prasowej, bowiem PAP jest bezkonkurencyjny. Owszem — PAP jest bezkonkurencyjny jako agencja, ale lawina informacji do TVP z tysięcy dalekopisów w całej Polsce jest konkurencją dla PAP-u. I bardzo dobrze. Dzięki temu Telewizja bez inwestycji i budżetu otworzyła sobie ogromną, działającą społecznie zupełnie nową agencję. Nieprzebrane źródło tysięcy informacji, z których dziennikarze mogą wybrać przyszłowiec złote ziarna. Jeśli jest to pomysł Edwarda Mikołajczyka, odwołuję niniejszym wszystkie pretensje, jakie do niego w tej rubryce zgłaszałem.

Któryś z gospodarzy kolejnego „Wieczoru z dziennikiem” powiedział, że ambicją zespołu jest prezentowanie codziennie nowej, interesującej, różnorodnej w treści i formie gazety telewizyjnej. Tak jest — otrzymaliśmy nową, bardzo ciekawą i dobrze redagowaną gazetę.

TELEMAN

Po trzeciej klasie szkoły powszechnej zdałem egzamin wstępny do pierwszej gimnazjalnej. Zaczęły się wakacje. Jak wszyscy chłopcy na całym świecie namiętnie grywałem w piłkę nożną. Podwórko w domu gdzie mieszkaliśmy było niewielkie, nie więc dziwnego, że od czasu do czasu wyleciała jakaś szyba. Tego lata miałem wyjątkowego pecha, bo już w pierwszym tygodniu wakacji wybiłem dwie szyby — ojciec za nie zapłacił. Ale gdy wybiłem trzecią, bardzo się rozgniewał. — Nie dam pieniędzy, nie zapłacę. Nie ja wybiłem szybę, lecz ty. Zarób sobie i zapłać za nią!

— Jak ja mogę zarobić? Mam dopiero dziesięć lat i jeszcze nie umiem zarabiać!

— To się naucz. Pójdiesz sprzedawać gazety na ulicę.

— Ja się wstydzę.

— A tłuczenia szyb się nie wstydzisz?

— To niechający, ja nie chciałem, to już ostatni raz.

— Dobrze o tym wiem, lecz nie ustąpię. Musisz sam zarobić i zapłacić. Choć byłem młodszy niż ty, bo miałem zaledwie siedem lat, a już sprzedawałem gazety na ulicy w Warszawie, dorabiając na utrzymanie domu i ani trochę nie wstydzilem się.

Wiedziałem coś o tym. Ojciec już jako dziecko wywędrował ze wsi podpiotrkowskiej z rodzicami i rozpoczął swoją karierę od sprzedawania gazet. Sam nauczył się przy okazji czytać, najpierw nazwy gazet, potem duże tytuły, a wreszcie opanował całkowicie tę trudną sztukę. Pisał bezbłędnie, dysponował wrodzoną inteligencją samouka, miał szeroki pogląd na życie, politykę i na naukę. W tysiąc dziewięćset dziesiątym roku ciężką, uczciwą pracą dorobił się niewielkiej księgarni w Zgierzu. Owcześnie księgarnia zajmowała się także kolportażem gazet.

Następnego dnia po incydencie z szybą odliczył mi ojciec kilkanaście egzemplarzy „Expressu” i „Echa”, wciągnął na listę gazeciarzy i na ulicę... Do dzisiaj pamiętam jak ze łzami w oczach, niemal z płaczem wyszedłem z księgarni ze Staśkiem Krzyżaniakiem, moim rówieśnikiem, który już od kilku miesięcy brał u ojca gazety.

— Nie becz! To nie jest takie przykre, jak ci się zdaje. Gazeciarsom dużo więcej wolno niż innym chłopakom. Musisz się wziąć w kupę, a zobaczysz jakie to fajne życie. Wstydzisz się sprzedawać w mieście, to sprzedawaj na wsi, teraz jest tam dużo letników, możesz brać o całe pięć groszy więcej, a jak sprzedasz dwadzieścia egzemplarzy, to będziesz miał ekstra dla siebie całą złotówkę... Czy wiesz, co za to możesz kupić? Musisz tylko głośno krzyknąć, bo letnicy leżą za stołami albo gdzieś w ich pobliżu. Muszą się dowiedzieć, że jesteś we wsi. Trzeba ich trochę postraszyć. Krzycz tak:

— Najnowsze wiadomości... do... mości... z miasta... pięć póżaarów, dziesięć kradzieży, dwie zbrodnie... Express... Echoo — darł się tak przeraźliwie i niesamowicie, iż chciałem uciec od niego.

— Dzisiaj idę na Chełmy, a ty idź na Zegrzanki i Stempowiznę. A gitin szacher, do zobaczenia — zawołał po łobuzersku przedrzeźniając Żydów.

Wyszedłem w szczerze pole, zamknąłem oczy i w pustkę wykrzykiwałem tytuły najważniejszych wiadomości, potem już z otwartymi oczyma obwieściłem je chłopcom pracującym na polu, przed pierwszymi zabudowaniami, a wreszcie pełnym głosem przez całą długość wsi. Początek został zrobiony!

Miałem za sobą ciężki dzień, ale nie zarośliem na szybę, bo była bardzo droga, kosztowała trzy złote i czterdzieści groszy. Jeszcze dwa dni robiłem na nią, ale potem... Nigdy w życiu nie byłem taki botaty... Ile ja miałem swoich pieniędzy... Na lody... na czekoladę... na cyrki... na kino... na pestki od bani... i do tego nikogo nie potrzebowałem o nie prosić... Polubiłem to gazeciarskie życie, wolność... Nikt mnie nie pilnował, niczego nie zakazywał, nikt nie zwracał mi ciągle uwagi. Poznałem wszystkie wsie w obrębie dziesięciu kilometrów wokół Zgierza. To było wyjątkowo udane lato!

Gazeciarsze: Stasio Krzyżaniak, Solskiak, Aulich, Krygier, Tadek, Jurek i zapomniałem już jak się zwali i wolałi, to była równa wiara, a ja byłem jednym z nich. Chociaż nigdy potem gazet na ulicy już nie sprzedawałem, to gazeciarsze byli mi zawsze bardzo bliscy. Rostem z nimi, mieliśmy wspólne zainteresowania. Kochane chłopaki, jaka bajecznie kolorowa ferajna, jakie charakter, solidarność, a przy tym fantazja, humor, inteligencja i zaradność życiowa. Oni dodawali naszemu miastu koloru, barwności swoją wesołością, zabawnym wykrzykiwaniem tytułów, improwizowaniem żartów i kpini nawet z najdosłowniej obywateli grodu.

Byli to także ludzie interesu. Handel i koniunkturę wyczuwali koniuszkami palców, nawet węchem.

Maks Bojanowski znany był z tego, że umiał sprzedawać najwięcej półpornograficznego tygodnika „Wolna Myśl — Wolne Zarty”, około 100 egzemplarzy. Cała technika handlowego wyczynu polegała na tym, że sprzedawał je hurtem pewnemu proboszczowi w zapadłej wsi, który w trosce o morale swoich podopiecznych wykupywał od

Maksa wszystkie egzemplarze jakie posiadał, ale nie udało mu się powiększyć tej ilości, bo ksiądz znał swoją parafię i wiedział dokładnie, ile duszy-czek było zagrożonych i takimi na pornografie. Maks był statecznym człowiekiem, który w bardzo trudnych czasach kryzysu, murarką i gazeciarswem wybudował sobie całkiem przyzwoity jednorodzinny domek. Najwięcej nas śmieszył ich handel klientami. Za dobrego odbiorcę kilku gazet dziennie i tygodników płacili nawet po kilka złotych. Między sobą mieli często porachunki, zwłaszcza gdy któryś zapuścił się na teren drugiego. Najczęściej dochodziło do bójek z początku

odwrotnie. Nam zawsze zostawiano jeden numer, który był przez wszystkich czytany w domu. Konfiskaty dotyczyły rzeczy poważnych, ale i całkiem błahych. Przypominam sobie np., że jakąś gazetę skonfiskowano za taki żart: pijak stoi przed wystawą sklepu tekstylnego w czasie akcji sprzedaży bielizny pościelowej tzw. „białego tygodnia”, przygląda się i mówi: „Co, i tutaj także skonfiskowali?” Była to aluzja dotycząca tzw. „drugiego nakładu po konfiskacie”, który ukazywał się z białą plamą na miejscu zakwestionowanego artykułu. Za taki niewinny żart cenzorzy potrafili narazić wydawnictwo na wieloletnie straty.

nawet niegodny zauważenia fakt podsunęliśmy naszemu redaktorowi. Ingerowaliśmy w cudze, intymne sprawy. Dziś byłoby to niewybaczalne! Wtedy sensacja była nie lada i trwała sześć dni, bo „Express” też wysłał swojego specjalnego korespondenta na plac boju. Czego oni nie wypisywali: „Tajemnicze zniknięcie”, „Uciezka czy porwanie?”, „Zemsta Chasydów”, „Ob-skurantyzm”, „Co będzie z zakochaną parą” itd. Nakład wzrósł wtedy o czterysta procent.

Najważniejszą dla gazeciarszy porą była noc z soboty na niedzielę i niedzielny ranek. Jechaliśmy wtedy z Władkiem Kuzańskim a później z Gieńkiem Prochmiewiczem — ostatnim tramwajem, po prądę do Łodzi, ponieważ w niedzielę sprzedawało się kilkakrotnie więcej słowa drukowanego niż w dni powszednie, a Władek sam nie dałby rady przytargać tyle gazet. Najpierw jechaliśmy do „Echa”, gdyż było położone najdalej od centrum i najszybciej się ukazywało. Gazeciarsze i majdaniarsze czyli drobni podhurtownicy spali gdzie się dało, na schodach, korytarzach, w drukarni na zabrudzonej świeżą drukarską farbą makulaturze, przed drzwiami redakcji, na wózkach, w różnych zakamarkach, po to aby być szybszym i nie dać się ubiec konkurencji, a w ten sposób zarobić kilka groszy więcej. Nikt ich nie legitymował, nie żądał przepustki, bo to było ich gazeciarskie prawo. Byli za pan brat z redaktorami i drukarzami, czuli się jedną rodziną. Z ciekawością oglądałem drukarnie i wszystkie urządzenia z linotypami włącznie, pracę nocnej redakcji i teleksy, aby po dwóch-trzech godzinach zabrać jeszcze mokre egzemplarze, załadować je do konnej dorożki i ruszyć dalej w objazd do następnego administracji. Po „Echu” i „Kurierze” ładowaliśmy kolejne: „Republikę”, „Express”, „Głos Poranny”, „Neue Lodzer Zeitung”, „Rozwój”, gazety angielskie i francuskie z dwu- trzydniowym opóźnieniem z Biura Dzienników na rogu Piotrkowskiej i Andrzejki i inne pomniejsze pisma. Gdy dojeżdżaliśmy do Bałuckiego Rynku drynda była tak załadowana, że siedzieliśmy na istnej górze paczek, wyżej niż dorożkarz. Co chwila sąlaaczarz krzyczał „Uwaga” i przepędzał batem przebiegających obok łobuzów. Nogi nam zwiślały na bok i celem obrony, kilkakrotnie w nocy w czasie takiej jazdy podbiegaliśmy różne typy z nożem albo obiegami w rękę, aby przeciąć związane paczki i spowodować rozsypanie się gazet na bruk. Aby to unieźmiwić, wierzało się nogami i kopało. Paczki związane były niezwykle przemyślną kompozycją sznurka, drutu i gumy. Raz tylko draśneli mnie nożem w cholewkę buta, ale Władek, był kilkakrotnie skałeczony i dla własnego bezpieczeństwa zrezygnował w końcu z pracy.

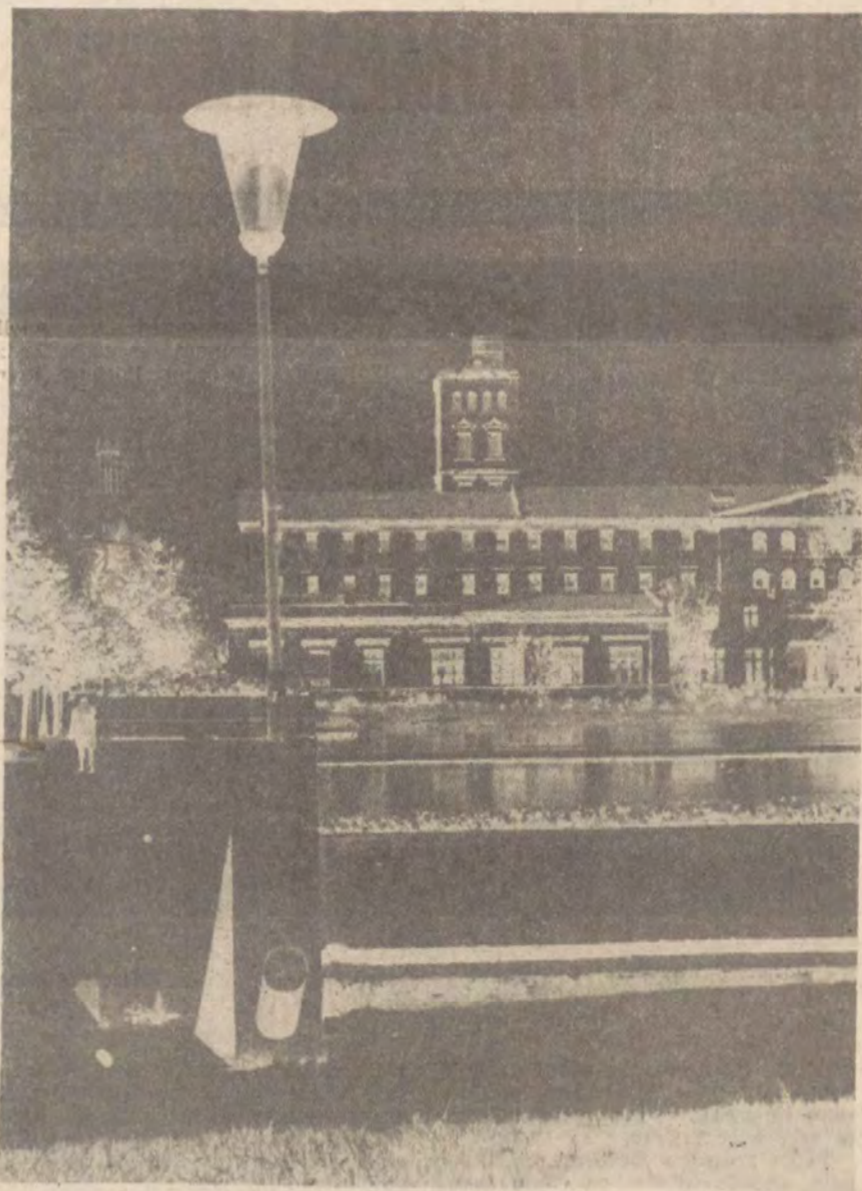
Nocne życie Łodzi — zwłaszcza przy pierwszym zetknięciu się — fascynowało ponurą egzotyką. Ulice były w zasadzie opustoszałe; ale co krok spotykało się zawianych facetów, a na każdym rogu ulicy dyżurowali przystytki. Królowały uliczne mgły, których w dzień się nie widuje. Co raz to przelatywały rozśpiewane dorożki jadące z fantazją do Manteufła — najpopularniejszego nocnego lokalu Łodzi.

Raz w życiu widziałem gazeciarską brać zebraną niemal w komplecie. Nie przypominam sobie, która redakcja — „Express” czy „Głos Poranny” — zdobyła się na ładny gest — wykupując bilety na jeden, a może i dwa seanse filmu „Legion Ulicy” Aleksandra Forda. Rozdano gazeciarsom bezpłatnie bilety, skorzystałem więc i ja. Takiej wesołej zabawy, swobody, nieskrepowanej reakcji, gwizdów, podpowiadań nigdy już w kinie nie przeżyłem. Da to się tylko porównać z meczami piłkarskimi na Górnym Śląsku.

Raz w roku, zawsze w ostatki, urządził ojciec przyjęcie dla gazeciarszy. Od samego rana matka piekła paczki, zawsze nadziewane konfiturą własnej roboty. Po skończonej pracy około godziny siedemnastej—osiemnastej, zbierali się w księgarni wszyscy gazeciarsze odświętnie ubrani, ojciec przyprawiał ich do mieszkania i podejmował z honorami jak normalnych, dorosłych gości. Była uroczysta przemowa z podziękowaniem za współpracę i życzeniami oraz rozdanie upominków i gratyfikacji (w zaklejonych kopertach) dochodzących nawet do pięćdziesięciu złotych. Potem była herbata, paczki, wódka dla dorosłych, gorący poncz dla młodszych. O ile starsi starali się dla przykładu zachowywać z powagą, o tyle młodzież nie żalowała sobie. Paczki znikły w mgnieniu oka. To nie było jedzenie lecz pożeranie. Jeszcze jednego paczka dobrane nie zjadł, a już pchał do ust drugiego. Przypominam sobie, że prawie osiemnastoletni Krygier jadł tak łapczywie, że omal się nie udławił. Nie pomagało tradycyjnie bicie w plecy niemal całej ferajny, trzeba było wolać pogotowie. Nie mogliśmy się nadziwić, dlaczego chłopcy, którzy naszym zdaniem zarabiali wcale nie źle, bo od sześćdziesięciu do dwustu pięćdziesięciu złotych miesięcznie, byli tak łapczywi...

JÓZEF LACH

## TRZECIA SZYBA



Fot. E. Kudaj

jęcami, którzy nie znali ich suwerennych obszarów. Najtrudniejszy był więc mój pierwszy miesiąc — trzeba było mocnego charakteru i jeszcze mocniejszych pięści.

Każde wydarzenie polityczne automatycznie dawało się odczuć w zwiększonej ilości sprzedawanych gazet. Każda konfiskata była wielkim choć częstym wydarzeniem. Przychodził do sklepu policjant i na podstawie telefonogramu zabierał określony numer gazety. Na mieście natomiast uganiało się za gazeciarszami i usiłowało im je zabrać, co stwarzało bardzo często humorystyczne sytuacje. Policjanci byli różni i mieli własne sympatie polityczne. Np. jeżeli granatowy był endekiem i miał konfiskować gazety endeckie, to albo wcale ich nie zabierał, albo brał tylko jeden numer np. „Gazety Warszawskiej” czy „Gońca”, a resztę zostawiał dla dalszej sprzedaży, natomiast gdy konfiskował prasę lewicową, zabierał wszystko co było, bez reszty. Lewicujący lub tzw. „sprawiedliwy”, który po przeczytaniu uznał niesłuszność konfiskaty, postępował

Ale takie życie nie było nudne, białe plamy budziły sensację, nadzwyczajne wydania ekscytowały, na pewno i dlatego, że radio nie stanowiło konkurencji, będąc dopiero w powijakach. Zwybuch wojny w Abisynii, śmierć Żwirki i Wigury, dojście Hitlera do władzy, śmierć Józefa Piłsudskiego to były wiadomości, którymi interesowali się wszyscy. Sensacja typu gazetowego trwała przeciętnie od trzech do pięciu dni. Sprawy redakcji było dawnowanie, umiejętnie jej podtrzymywanie, aby trwała jak najdłużej.

Byłem także przy narodzinach takiej „sensacji”.

W latach kryzysu, który wspólnie ciężko przeżywaliśmy, ojciec zawarł umowę z redakcją „Echa Łódzkiego”, że będzie w pięćdziesięciu procentach opłacał specjalnego korespondenta miejscowego, w zamian za mutację zgierską „Echa”.

Zdarzyło się, że syn miejscowego obywatela pokochał moją starszą szkolną obywatelkę i ta ostatnia przestała nocować w domu. Ten blachy i obecnie

Fragment większej całości

# TRAKTORCROSS

Dalszy ciąg ze str. 1

W sobotę, 25 września, sędzia główny, prof. Stanisław Weres, omówił z zawodnikami regulamin konkursu. O zażywaniu środków dopingujących nie było mowy, bo po co. Następnie zawodnicy wylosowali sprzęt, czyli ciągniki, i zabrali się do lekkiego treningu, zwanego orką próbna.

Następnie traktorzyści spotkali się z przedstawicielami Krajowego Komitetu Organizacyjnego Konkursów Orki i komisji sędziowskich, aby m. in. wylosować działki konkursowe. Nie wszyscy byli zadowoleni, bo inaczej orze się w Lubelskiem inaczej na piaskach, a jeszcze inaczej na stoku i na równinie.

Od reasumowania oderwał mnie dziadek stojący w charakterze stracha na skraju wielkiego sadu, żeby turyści nie skubali owoców. Ubrany był w szarą maciejówkę, zburzały gumowy płaszcz i śniegowiec; w rękę dzierżył sękatą łęgę i tkwił nieruchomo, tylko pod daszkiem świeciły czujnie niebieskie oczka.

Przekroczyłem jedną asfaltową drogę, potem drugą i nad pokrytą zieloną rzęsą sadzawką ujrzałem wielką planszę informującą, że zaraz będzie Wojewódzki Ośrodek Postępu Rolniczego „Bratoszewice 76” i XIX Krajowy Konkurs Orki.

Trafiłem na generalną zbiórkę przed Ośrodkiem WOPR. Na plac przed trybuną, gdzie zajęli miejsca znamienici goście, na czele z zastępcą kierownika Wydziału Rolnego i Gospodarki Żywnościowej KC PZPR, Stanisławem Ziębą, wiceministrem rolnictwa, Henrykiem Burczykiem i wiceprezesem Centralnego Związku Kółek Rolniczych, Edwardem Podgórnym, przemaszzerowali członkowie komisji, sędziowie liniowi i ubrani w kolorowe czapeczki i błękitne kombinezony traktorzyści z numerami na piersiach i plecach.

Przemówienia wygłosili: wiceprezydent Miasta Łodzi — Lech Krowi-randa i wiceminister Burczyk. Jeszcze nie umilkły oklaski, a już zabrzmiały słowa komend, zagrały silniki i czterdziestu dziewięciu najlepszych traktorzystów ze wszystkich województw plus ubiegłoroczny mistrz ruszyło w pole, aby w ciągu godziny zorać przepisowo swoje działki o wymiarach 100 na 30 metrów.

— I co się tak pchasz? — zrzędził rolnik w splaszczonym beredzie do kolegi w brązowym kapeluszu. — Każdy orze swoje, nie będziesz nic widział.

— Popatrzeć warto. Jak nam Franek z kółka sknoci orkę, to się mu da przykład, jak tutaj orzą.

Traktorzyści dojechali do działek, oznaczonych białymi i czerwonymi flagami. Podlesne pole przedzielała kociobłista droga, nad polem furkotała, umieszczona na wysokich drzewcach, mnogość flag.

Strzelili w niebo różnobarwne rakietki, a co kolor, to sygnał dla kolejnego oracza ogromnego pola, bo 30 arów razy 50 to 15 hektarów. Następuje jednoczesne zapalenie silników, wyoranie pierwszej bruzdy i zaczęcie konkursowej orki.

— Panie — wrzasnął mi w twarz niskiego wzrostu rolnik entuzjasta — słabo ciągną! Spójrz pan na Staśka Haręzaka, tego z bydgoskiego. Tak rąbie zeszlortoczny mistrz?

— Nieźle idzie — mówię wyszarpując wbite w elanobawełnę szpony.

— Panie, on ma szczęście! Był pan w Widzewie?

— Nie! — zaprzeczam gwałtownie, aby pozbyć się natręta, ale działam na swoją zgubę.

— Właśnie — syczy mikrowzrost. — A teraz pan szrajbujesz!

Wyrwał mi długopis i z głębi trzewi wydał całkiem trzeźwą myśl:

— Trzeba, panie, nie mieć szczęścia jak ja! Startowałem w Widzewie, a tu leje jak na zamówienie. Mokra, chłupie, koła wyskakują z bruzdy, pług w poślizgu. Nie tak, panowie, dobrze mówię? — rzucił się na kibiców.

Przytaknęli w zgodnym mruknięciu.

Czymychnąłem na dalszy plac boju.

Sędziowie liniowi uwijali się jak w ukropie, znacząc chorągiewką ścięty pługiem grunt. Dla pomiaru równości i głębokości orki stawiali biało-czerwone laty, sondowali całówkami głębokość bruzdy.

Ponadto sędziowie liniowi trzymali w dłoni otwarte klódki. Jeden sędzia powiedział, że brak instrukcji co do tych klódek, na co kibic złośliwie oświadczył, że pewnie po to, żeby zamknąć gęby tym, co podpowiadają. Były podpowiedzi, owszem, ale te równały się raczej przepowiedziom na przyszłość, czyli wyciągnięciu wniosków.

— Za wolno jedzie, skibę widać, a musi być równo.

Raptem wielkie wzburzenie, tłum kibiców tłoczy się przy działce nr 33 (woj. elbląskie), gdzie wosaty, młody zawodnik kończy rundę szpulując sześćdziesiąt na godzinę.

— Fajnie, Roman, ino nie za płytko!

„Trzydzieści trzy” ma jeszcze jeden kurs, ale nie zbierze tego splachecia pługiem.

— Nie zależy od zawodnika — tłumaczy liniowy. — Są trudności obiektywne, konfiguracja gruntu. Spycha maszynie, a ponadto działka źle wymierzona, będzie protest u sędziego głównego.

Trener z województwa olsztyńskiego łapie się za głowę, rusza galopem i zderzając się z działaczem klubowym jęczy:

— Jezus, Maria, co on robi!?

— Kto?

— Nasz Gienek! Jak on poszedł, na oko widać, że wrył się na dwadzieścia!

Norma głębokości bruzdy wynosiła dwadzieścia cztery centymetry.

Wycofałem się z placu boju i podążyłem do centrum. Na zielonej łące pracowała pokazowo deszczownia. Obok, na niewielkiej polanie, przewijał się tłum ludzki, oblegając lokale — prowizorki: „Pod Jeleniem”, kat. III, „Stary Dworek”, kat. IV i kiosk spożywczy bez kategorii, który miał największe wzięcie, bo wynoszono zeń pięta kielbasy pod pachą. Konsumowano pod namiotami żołnierskimi.

— Wszyscy, proszę państwa, wszyscy pompują! — dopingował za siatką głos prowadzącego traktorcross.

Tu pompowali i tam pompowali. Tam pompowali dętki w kołach ciągników. Spec od traktorcrossu strasznie podjudzał, ale ja nie będę opisywał wszystkich konkurencji, bo sprawę załatwił Włodek Luszczykiewicz, przebrany za Gretę Garbo, w ciemnych okularach. Miotając się w reporterskim szale trzymał nad głową mikrofon i wychwytywał.

— Pegeery i spółdzielnie produkcyjne na miejsca! — wrzeszczał prowadzący. — Eskary już są. Montowanie pluga do ciągnika i siałom!

— Maniek, cofnij w lewo! Dobra, brawo Maniek!

— Kto to ten Maniek?

— SKR z Nowosolnej!

— To ja się nie dziwię — powiedział Włodek Luszczykiewicz, zdejmując okulary.

Teraz uczestnicy traktorcrossu gąsili zapalony przez strażaków materiał SKR, bo zawody były sztafetowe, wyszedł na prowadzenie. Zaczęła się najtrudniejsza konkurencja, czyli rozbiieranie i składanie ponowne żółtych kłoczków za pomocą mechanicznych ładowaczy. Ciężko szło, ale eskar uruchomił już następną konkurencję, czyli kombajn marki „Bizon”!

Oddaliłem się na błonia, pod ka-wiarnią krytą słomą, zwaną „Nad strumykiem”. Prezentowały się tutaj, pod patronatem Wydziału Kultury Miasta Łodzi, liczne zespoły, jak na przykład „Bychlewianka” z Pabianic, akurat szedł w programie „Górniak”, który zgromadził największą ilość publiczności. Występ przerwał brutalnie mój osobisty kolega, ubrany w szary garnitur, który zapowiedział, że kierowcy i fundatorzy nagród mają się zgłosić do pani Ciężkiej. Na to wystąpił andrus apaszowski z „Górniaka”, ubrany w apaszkę, kraciastą oprychówkę i gang z przedwojennego sukna, który dotąd tańczył, recytował i śpiewał, a teraz oznajmił, że jak ktoś pójdzie do pani Ciężkiej, to nie będzie miał le t k o.

Druga kobieta z zespołu szarpnęła za nos meża harmonistę, taki gag, ale śmiechu nie było, bo akurat wszystkie oczy poszły w niebo, albowiem zawodnicy traktorcrossu zerwali z barier kolorowe balony, które w to niebo uleciały.

Rozległy się rzewne dźwięki pożegnane tanga, aż tu nagle, jak nie rykną syreny! Z traktorcrossu wysypały się wozy bojowe straży, migając błękitnymi wyjkami. Zrazu zblokowały się przed ustawionym skóńskie autobusem, ale zaraz wjechały z hukiem na uliczkę pod nową bratoszewicką kotłownią. Jedni strażacy zasypali białą pianą zhałdowany węgiel, drudzy pianą brązową oskali komin, co bardzo śmierdziało, trzeci zaś doprawili czystą wodą deszczowaną przez dzień boży łąki, biorąc niebo nad nimi w krzyżowy ogień sikawek.

Na tym prawie impreza zakończyła się wizualnie, bo potem było nagrodzanie upominkami i innymi uczestników orki. Wbrew przewidywaniom, jak to zwykle bywa, wygrał Jan Nowacki z województwa gorzowskiego, a w kategorii juniorów Eugeniusz Nowacki z Zielonogórskiego. Zawodnik województwa miejskiego łódzkiego, Józef Cebulski, zajął piąte miejsce.

Zwiedziłem wystawę, umieszczoną pod kolorowymi daszkami chat podhalańskich. Wszedłem do jałownika — boku i wyleciałem z niego dziurą do nowoczesnego kurnika. Tam otarłem się o panią w okularach, która nie umiała odpowiedzieć zgrywnemu turyście, czy tutaj się maca.

Wystawa jest czynna codziennie. Można tutaj obejrzeć ekspozycje nie tylko mechaniczne, ale również produkty „Agrochemu”, „CPN”, „Lasu” i innych.

Wyszedłem o zmierzchu na znajomą drogę i trafiłem na dziadka. Chciałem sprawdzić, czy sztuczny, czy też prawdziwy, i sięgnąłem po sliwkę.

— Waa! — usłyszałem.

Wyrzuciłem zgnitek, uśmiechając się polubownie.

— Dobrze orali? — zapytał dziadek.

— Bardzo dobrze — odparłem chodząc.

I dostałem obłędu, to pewnie nie był ten dziadek, bo dotarłem do Woli Błę-dowskiej. Dróżnik mierząc mnie chytym kolejarzskim okiem, zrobił luz, unosząc szlaban; przekroczyłem tor, zrobiłem polem półkoła i udałem się z wycuciem na zachód. Zatopiłem się w jesiennym pejzażu, co lubię. Słychać śpiew i rzenie koni, wrzaski nad odkrytym pod papierem grzybkami, skrzyp taczki, którą chłop wiezie sliwki, widać smętne dymy ognisk na pustych kartofliskach. Przemierzyszy kawalek drogi, ujrzałem wieżę kościelną, światła w oknach i bodące niebo lby dźwigów. Ale to nie była Łódź, jeno Stryków i to Brzeziński.

W drodze ułożyłem sobie w głowie to, co napisałem, niczego nie żalując. Bo wzorowa jakość orki, odpowiednia głębokość skiby i znajomość podobnych czynności rolniczych daje gwarancję wysokich plonów.

RYSZARD BINKOWSKI



Fot. Archiwum

# Gdzie jest Walewska?

Henrykiem Świątkowskim: — Na akt zgonu natknął się ksiądz przy przeglądaniu starych dokumentów. — Okazuje się, że legenda pokrywa się z prawdą — zauważa „Express”. — M. Walewska spoczywa więc w podziemiach kościoła w Kiernozii. Ale w której trumnie? Wchodzący w rachubę parę i to niedostępnych, były bowiem zamurowane...

— Po remoncie przeprowadzonym tego lata, ksiądz znalazł ścianę dzielącą krypte grobową. Jest więc dostęp do trumien. Tylko nadal nie wiadomo, w której może leżeć Walewska... Trzeba dodać, że otwieranie trumny połączone jest z ryzykiem. Sześć lat pod wpływem dostępu powietrza mogą się rozpaść w proch. Oby tylko zdążyło się sfotografować...

W poniedziałkowym numerze „Express Wieczorny” kontynuował swoje zainteresowanie identyfikacją zapowiedzianą w Kiernozii:

„Ekshumacja zwłok Pani Walewskiej będzie światową rewelacją, mówi Marian Brandys, autor eseju o „polskiej małżonce Napoleona”. M. Brandys był pierwszym, który wbrew opinii licznych historyków, w tym i francuskich wysunął w druku przypuszczenie, o partię w pewnej mierze na miejscowej tradycji. Iż Marię Walewską, zmarłą w Paryżu, już jako hr. d'Ornano, przywieziono po śmierci do rodzinnej Kiernozii. — Moje domniemanie — mówi „Expressowi” M. Brandys — potwierdził krótkie historyk sztuki, prof. dr Stefan Kozakiewicz, który odnalazł właściwy zapis w księdze parafialnej. Informacje te podałem w książce „Kozietulski i inni” wydanej w 1967 r. Wkrótce otrzymałem list od znanego aptekarza Mariana Leszczyńskiego. Zwrócił on uwagę na pewne niescisłości i przysłał fotokopie aktu pochowania M. Walewskiej w Kiernozii.

— A co sądzi pan o lokalizacji trumny Walewskiej? Choć miejsce grobu uściślone, to jeszcze nie rozstrzygnięto w której trumnie leży. Jest ich parę...

— Mogą być brane pod uwagę tylko dwie, jako pochodzące z tego właśnie okresu. Jedna ozdoblona, wykonana niezwykle starannie, jakby w przewidywaniu długotrwałego transportu.

O ile istotnie jest to trumna Walewskiej zwłoki, czyby trumna Walewskiej okazała się drugą z wymienionych. Proces ekshumacyjny zwłok wtedy nie daby rezultatu. Trumna jest uszkodzona. Poprzedz drewna widac białe trumny wewnętrzne. Być może dokonano do niej włamania a wtedy... z poruszonego ciała pozostałyby prochy. Ale skoro dokonano włamania zapewne chodzilo o klejnoty Walewskiej.

— A więc może jednak leżała w niej?

— Te wersje potwierdziłyby zagadkowe postępowanie księdza, który w 1911 roku kazał trumnę zamurować.

— Może chciał je zabezpieczyć przed dalszym włamaniem? A może ukryć już dokonaną profanację? Zapewne ekshumacja rzuci światło na tę tajemniczą sprawę.

— Muszę tu zaznaczyć — kończy swą wypowiedź M. Brandys — iż po ogłoszeniu wiadomości o zamierzonej ekshumacji otrzymałem listy różnej treści. Autorzy jednych przyklaskiwali wyjaśnieniu ostatniej tajemnicy heroiny historycznego romansu. Wśród tych byli zamieszkał w Polsce członkowie jej rodziny. Inni protestowali przeciwko próbie zakłócenia spokoju zmarłej 150 lat temu „polskiej małżonce Napoleona”. Tym ostatnim chciałbym odpowiedzieć, że procesy ekshumacyjne osób o historycznych nazwiskach przeprowadzane są często i niejednokrotnie dostarczają rewelacyjnych materiałów naukowych, rezygnować więc z nich nie można. Uważam, że otwarcie trumien w krypcie kiernozkiej będzie rewelacją w światowej skali, tym bardziej, że w roku przyszłym przypada dwusetlecie urodzin Napoleona. Ale też dlatego — mówi Marian Brandys — otwarcie trumny powinno być dokonane z zachowaniem wszelkich ostrożności i formalności urzędowych.

Zalutnienie owych formalności urzędowych rzeczywiście nie było łatwe. Proboszcz kategorycznie oświadczył, że tylko temu pozwoli otwierać trumny, kto okaże zezwolenie władz świeckich. Ale jakich władz? Wydział Spraw Wewnętrznych odsyłał do Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej, która też nie czuła się kompetentna. Dopiero między wydziałami szczeniła wojewódzkiego uzgodniono, że należy się zwrócić do... wydziału gospodarki komunalnej i mieszkaniowej w Łowiczu.

16 listopada 1968 roku adiunkt katedry i zakładu antropologii Uniwersytetu Łódzkiego dr Zdzisław Kapica wystosował pismo do przewodniczącego Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Łowiczu, Szepeana Rosaka:

„Niniejszym zwracamy się z uprzejmą prośbą o wydanie zezwolenia na ekshumację szczątków Marii Walewskiej d'Ornano pogrzebanej w Kiernozii na terenie krypty kościelnej. Ekshumacja jest konieczna ze względu na mającą się odbyć identyfikację antropologiczną szczątków kostnych”.

Zamierzona ekspedycja do Kiernozii była już wtedy głośna w całym kraju. Publikacje na łamach obu warszawskich popołudniówek miały aż nadto rzucające się w oczy znamiona współzawodnicstwa. „Kurier” pisał:

„Szczątki Marii Walewskiej zostaną zidentyfikowane metodą superprojekcji. Polega ona na porównaniu cząstki zmarłej osoby z autentyczną fotografią bądź innym wiarygodnym portretem”.

„Express” nie chciał być gorszy i zapowiadał przesłanie trumien promieniami rentgenowymi.

O takie już całe historie kursują po redakcji — prawil mi komplementy Wojtek Grątkowski — jeśli dopominając się kolejnego odcinka o przygotowaniach łódzkich naukowców. — Mówią, że jest to człowiekiem, który najlepiej zarabia na kobietach w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. I to w dodatku kobietach,

kóre już 150 lat temu ducha wyzionęły... Na „aniele”, przy planowaniu numeru, codziennie pytają: — A Walewska będzie? — Jakżeby — odpowiadam — przecież Turowski zmarłej nie przepuści!

Napływały setki listów. Niektóre w ostrej formie adresowane wprost do Mariana Brandysa.

Smutna konieczność każe mi zwrócić się do Szanownego Pana — pisała Helena Zenarska z Poznania — z zapytaniem czy niki z bliższej lub dalszej rodziny ś.p. Marii Walewskiej-Ornano, tak w kraju jak i za granicą, nie jest upoważniona do zabrania głosu w sprawie tak bardzo osobistej, rodzinnej i ważnej jak ekshumacja zwłok. To, że przedstawicielem Tygodnika „Świat”, jako też Panu — autorowi artykułów „Co z tą Walewską?” — udało się wejść do krypty poprzednio zamurowanej i stanowiącej rzeczywiście „ostatnią tajemnicę pani Walewskiej” nie przynosi Panu jako ciekawskiemu literatowi ani chluby ani uznania. Panów przedstawicieli „Świata” kieruje również chęć popolitej sensacji a nie cześć i uszanowanie dla Zmarłej, godnej i dumnej Polki, której trumna tak pieczołowicie została zabezpieczona przez najbliższą rodzinę czyli Jej brata, płk Łęczyńskiego, przed wszelką profanacją wzrokową i naruszeniem wiecznego spokoju. To że władze kościelne jakoby wyraziły już zgodę na przeprowadzenie procesu ekshumacyjnego, nie dowodzi by miały ku temu prawo, a w każdym razie ów proboszcz kiernozki wykażal wiele więcej przeczności i szacunku dla Zmarłej, skoro zabezpieczył krypte murem. Na marginesie pragnę zaznaczyć, że zwłok cesarza spoczywających w Panteonie w Paryżu niki nie zamierza „identyfikować” pomimo krańcowych różnic legend i faktów z pobytu na wyspie św. Heleny. My kobiety, Polki, zbieramy podpisy pod petycje do władz wyższych i protestujemy przeciwko podobnej niegodnej sensacji — akcji turystycznej dla „małej Kiernozii” kosztem Wielkiej Sprawy naszych rodaków sprzed 150 laty. I zostawmy „ostatnią tajemnicę pani Walewskiej-Ornano” w spokoju!”.

Do tej części opinii publicznej, która protestowała przeciwko zamierzonej identyfikacji w Kiernozii adresowana była przede wszystkim informacja, że do mgr Henryka Świątkowskiego, kustosa Muzeum Narodowego w Łowiczu, nadszedł z Paryża list od Karola Walewskiego i jego dwóch siostr. Napisał, że dołączył do nich za pośrednictwem prasy francuskiej wiadomość o przygotowaniach do identyfikacji szczątków Marii Walewskiej i z tej okazji zamierza przyjechać do Polski.

Karol Andrzej Walewski i jego siostry, przedstawili się jako dzieci Romana Walewskiego, który był w prostej linii „praprawnikiem” Aleksandra Walewskiego, syna Marii Walewskiej i Napoleona Bonaparte, jednego z czolowych polityków francuskich w rządzie Napoleona III.

Wiele osób chciało pomóc w identyfikacji. Witold Piesiewicz z Warszawy pisał:

„Pragnę poinformować, że w ubiegłym roku zwiadałem zabytkowy zamek w miejscowości Sierbek koło Ołonowa. Pamiętam, że w jednej z sal, na pierwszym piętrze, przewodniczka wskazywała zwiadającym portret Marii Walewskiej. Przedstawia jej całą postać w pozycji stojącej. Jeśli ta mała informacja w jakimś stopniu pomoże w identyfikacji Marii Walewskiej będę bardzo rad”.

W trakcie zbierania dokumentacji okazało się, że eksponowany dotąd w Muzeum w Łowiczu portret Marii Walewskiej, wcale nie jest jej wizerunkiem...

Licząca niespełna tysiąc mieszkańców Kiernozia była w centrum zainteresowania dziennikarzy i turystów. Codziennie telefonowali tu akredytowani w Warszawie przedstawiciele największych agencji prasowych. Wszystko zostało obfotografowane przez dziesiątki fotoreporterów. Na kiernozki rynek zajeżdżały autokary pełne wycieczkowiczów. Miejscowa gospoda „Wiosenka” przeżywała niebywałą prosperitę.

„Tylko główna ulica ma dobrą nawierzchnię z chodnikami po obu stronach — odnotowywano w reportażach. — W drodze z rynku do pałacu, gdzie urodziła się i wychowywała Maria Łęczyńska a teraz mieści się przedszkole i ośrodek zdrowia, grzęźnie się po kostki w błocie. Nie brak tu jednak lokalnych patriotów rozmówionych w historii swej miejscowości. Chętnie opowiadają legendy z czasów, gdy Kiernozia miała prawa miejskie. Żywa jest pamięć o Mikolaju Koperniku, który ponoć nie tylko tu był ale nawet zgubił cyrkiel! Odtąd kiernozianie uważają, że mieszkają w środku świata!...”

Dr Stefan Czarnocki, miejscowy dentysta, własnym przykładem zachęcił mieszkańców osady do uporządkowania parku wokół pałacu Łęczyńskich. Wystąpił też z inicjatywą urządzenia rosarium pod hasłem „róże z całego świata dla pani Walewskiej”.

Historyjka o Koperniku jakoś niki się bliżej nie zainteresował. Ale o poszukiwaniach — doczesnych szczątków sławnej kiernozianki wciąż było głośno w prasie, radio i telewizji. Do kolejnego wydania „Tele-echa” Irena Dziedzic zaprosiła aptekarza z Kiernozii, mgr Zdzisława Kowalczyka.

— Jak pan, człowiek zorientowany na miejscu, przewiduje dalszy przebieg wydarzeń? — indagowała swego rozmówcę gospodynę popularnego programu. — Wydaje mi się, że ekshumacja nastąpi wkrótce i będzie to ostateczne wyjaśnienie tajemnicy. — Już od dłuższego czasu Kiernozia wszysej się interesują. — Rzeczywiście, ruch jest olbrzymi. — W pewnym stopniu tak.

— Dlaczego zaczął się pan interesować tą sprawą, nie związaną przecież z pana zawodem?

— Kiedy przybyłem do Kiernozii chciałem wiedzieć gdzie mieszkam, poznać historię... — Jest pan też opiekunem zabytków? — Tak, równocześnie jestem społecznym opiekunem zabytków. W tym — miejscowego kościoła, którego historia sięga początków XIV wieku.

— Jest więc pan historykiem — amatorem? — Osobiście urzekł mnie czar legendy Napoleona, a zwłaszcza życie pięknej Marii.

— No oczywiście, my przecież szczególnie lubimy cudze życie... Słyszałam, że niedawno odkryto jej nowy portret? — Mogę tylko dodać, od siebie, że rzeczywiście była piękna i portrety nie oddają jej całej urody... — Widzę, że ma pan bardzo osobisty stosunek do tej postaci. Dziękuję za rozmowę.

Liczne publikacje prasowe znacznie wzmożyły zainteresowanie historią. Wychodzącemu temu naprzeciw Biblioteka Miejska im. Ludwika Waryńskiego w Łodzi urządziła wystawę wybranych ze swego księgozbioru prac dotyczących epoki napoleońskiej. Ekspozowano m. in. takie białe kraki jak Emilia Ludwika „Napoleon” (1926 r.), Gertrudy Kirchsena „Napoleon i Kobiety” (1912 r.), Karoliny z Potockich Nakwaskiej „Pamiętnik o Adamie Potockim” (1826 r.), bogato ilustrowany album Ernesta Lunickiego „Napoleon” (1911 r.) oraz pierwsze wydanie książki beletrystycznej Stanisława Wasylewskiego „Szam-belanowa z Walewic” oraz Wacława Gasiorowskiego „Maria Walewska”.

W końcowej fazie przygotowań do ostatecznego wyjaśnienia tajemnicy kiernozkiej krypty uwaga koncentrowała się na najbardziej okazałej trumnie. Intrygowała pieczęć lakowa pośrodku jej drewnianego wieka. Wydawało się, że może to być wskazówka czy też trumna przywieziona z Paryża do Kiernozii.

Tekst pieczęci okazał się jednak niesłychanie trudny do odczytania. W części zakrywała go smola, której nie można było usunąć. Ekspert z laboratorium służby kryminalnej Komendy Wojewódzkiej MO w Łodzi stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że pośrodku pieczęci jest wycięnięty dwugłowy orzeł carski. Wokół niego był tekst wypisany łacińskimi literami, ale można było odczytać tylko następujące sylaby „ka”, „po”, „wy”.

Aby rozszyfrować zagadkowy tekst podjęto poszukiwania materiału porównawczego w postaci podobnej pieczęci. W archiwum parafialnym natrafiono na dokumenty opatrzone podobnymi pieczęciami, ale nigdzie dwugłowy orzeł carski nie był okolony podobnym napisem.

Mgr Alicja Zebrowska z Archiwum Państwowego w Łodzi, gdzie przechowywane są niemal wszystkie dokumenty rodu Walewskich, wyraziła opinie, że pieczęć na trumnie została nałożona nie wcześniej niż w 1815 roku. Od tego bowiem roku dopiero władze carskie nakazywały używanie pieczęci z carskim orłem, który na piersiach miał tabliczkę z polskim godłem. Napisy wokół były jeszcze w języku polskim a dopiero w drugiej połowie zeszłego stulecia nakazano posługiwanie się językiem rosyjskim. Mogło więc wydawać się wiele prawdopodobne, że trumna kryje szczątki Walewskiej przywiezione do Polski w 1918 roku.

Już w trakcie starań Zakładu Antropologii UL o zezwolenie na ekshumację M. Walewskiej „Express Wieczorny” zamieszczał obszerną relację ilustrowaną fotografiami, z wyprawą do Kiernozii, w towarzystwie Mariana Brandysa i prof. dr Rogalskiego. W ten sposób mogło powstać przekonanie, że tylko „Express” konsekwentnie pilnotuje przygotowania do identyfikacji szczątków Marii Walewskiej. W rzeczywistości jednak „Kurier” nie tracił inicjatywy.

Wieczorem zatelefonowałem do Mariana Brandysa.

— Czy mogę rozmawiać z panem Brandysem?

— Tak, chwileczkę, jak tylko telewizor sięse, dobrze?

— Już jestem.

— Mówi Turowski z „Kuriera Polskiego”. Dzwonię do pana bo dowiedziałem się, że Zakład Antropologii Uniwersytetu Łódzkiego uzyskał już oficjalną zgodę władz na przeprowadzenie ekshumacji szczątków Walewskiej. Wcześniej nie telefonowałem aby pana nie absorbować tymi formalnymi sprawami...

— Ale przecież ja w ogóle o to nie mam najmniejszej pretensji. Różnej mam pretensję do „Expressu”, że ze

wać tą sprawą, nie związaną przecież z pana zawodem?

— Kiedy przybyłem do Kiernozii chciałem wiedzieć gdzie mieszkam, poznać historię... — Jest pan też opiekunem zabytków?

— Tak, równocześnie jestem społecznym opiekunem zabytków. W tym — miejscowego kościoła, którego historia sięga początków XIV wieku.

— Jest więc pan historykiem — amatorem?

— Osobiście urzekł mnie czar legendy Napoleona, a zwłaszcza życie pięknej Marii.

— No oczywiście, my przecież szczególnie lubimy cudze życie... Słyszałam, że niedawno odkryto jej nowy portret? — Mogę tylko dodać, od siebie, że rzeczywiście była piękna i portrety nie oddają jej całej urody... — Widzę, że ma pan bardzo osobisty stosunek do tej postaci. Dziękuję za rozmowę.

Liczne publikacje prasowe znacznie wzmożyły zainteresowanie historią. Wychodzącemu temu naprzeciw Biblioteka Miejska im. Ludwika Waryńskiego w Łodzi urządziła wystawę wybranych ze swego księgozbioru prac dotyczących epoki napoleońskiej. Ekspozowano m. in. takie białe kraki jak Emilia Ludwika „Napoleon” (1926 r.), Gertrudy Kirchsena „Napoleon i Kobiety” (1912 r.), Karoliny z Potockich Nakwaskiej „Pamiętnik o Adamie Potockim” (1826 r.), bogato ilustrowany album Ernesta Lunickiego „Napoleon” (1911 r.) oraz pierwsze wydanie książki beletrystycznej Stanisława Wasylewskiego „Szam-belanowa z Walewic” oraz Wacława Gasiorowskiego „Maria Walewska”.

W końcowej fazie przygotowań do ostatecznego wyjaśnienia tajemnicy kiernozkiej krypty uwaga koncentrowała się na najbardziej okazałej trumnie. Intrygowała pieczęć lakowa pośrodku jej drewnianego wieka. Wydawało się, że może to być wskazówka czy też trumna przywieziona z Paryża do Kiernozii.

Tekst pieczęci okazał się jednak niesłychanie trudny do odczytania. W części zakrywała go smola, której nie można było usunąć. Ekspert z laboratorium służby kryminalnej Komendy Wojewódzkiej MO w Łodzi stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że pośrodku pieczęci jest wycięnięty dwugłowy orzeł carski. Wokół niego był tekst wypisany łacińskimi literami, ale można było odczytać tylko następujące sylaby „ka”, „po”, „wy”.

Aby rozszyfrować zagadkowy tekst podjęto poszukiwania materiału porównawczego w postaci podobnej pieczęci. W archiwum parafialnym natrafiono na dokumenty opatrzone podobnymi pieczęciami, ale nigdzie dwugłowy orzeł carski nie był okolony podobnym napisem.

Mgr Alicja Zebrowska z Archiwum Państwowego w Łodzi, gdzie przechowywane są niemal wszystkie dokumenty rodu Walewskich, wyraziła opinie, że pieczęć na trumnie została nałożona nie wcześniej niż w 1815 roku. Od tego bowiem roku dopiero władze carskie nakazywały używanie pieczęci z carskim orłem, który na piersiach miał tabliczkę z polskim godłem. Napisy wokół były jeszcze w języku polskim a dopiero w drugiej połowie zeszłego stulecia nakazano posługiwanie się językiem rosyjskim. Mogło więc wydawać się wiele prawdopodobne, że trumna kryje szczątki Walewskiej przywiezione do Polski w 1918 roku.

Już w trakcie starań Zakładu Antropologii UL o zezwolenie na ekshumację M. Walewskiej „Express Wieczorny” zamieszczał obszerną relację ilustrowaną fotografiami, z wyprawą do Kiernozii, w towarzystwie Mariana Brandysa i prof. dr Rogalskiego. W ten sposób mogło powstać przekonanie, że tylko „Express” konsekwentnie pilnotuje przygotowania do identyfikacji szczątków Marii Walewskiej. W rzeczywistości jednak „Kurier” nie tracił inicjatywy.

Wieczorem zatelefonowałem do Mariana Brandysa.

— Czy mogę rozmawiać z panem Brandysem?

— Tak, chwileczkę, jak tylko telewizor sięse, dobrze?

— Już jestem.

— Mówi Turowski z „Kuriera Polskiego”. Dzwonię do pana bo dowiedziałem się, że Zakład Antropologii Uniwersytetu Łódzkiego uzyskał już oficjalną zgodę władz na przeprowadzenie ekshumacji szczątków Walewskiej. Wcześniej nie telefonowałem aby pana nie absorbować tymi formalnymi sprawami...

— Ale przecież ja w ogóle o to nie mam najmniejszej pretensji. Różnej mam pretensję do „Expressu”, że ze

wać tą sprawą, nie związaną przecież z pana zawodem?

— Kiedy przybyłem do Kiernozii chciałem wiedzieć gdzie mieszkam, poznać historię... — Jest pan też opiekunem zabytków?

— Tak, równocześnie jestem społecznym opiekunem zabytków. W tym — miejscowego kościoła, którego historia sięga początków XIV wieku.

— Jest więc pan historykiem — amatorem?

— Osobiście urzekł mnie czar legendy Napoleona, a zwłaszcza życie pięknej Marii.

— No oczywiście, my przecież szczególnie lubimy cudze życie... Słyszałam, że niedawno odkryto jej nowy portret? — Mogę tylko dodać, od siebie, że rzeczywiście była piękna i portrety nie oddają jej całej urody... — Widzę, że ma pan bardzo osobisty stosunek do tej postaci. Dziękuję za rozmowę.

Liczne publikacje prasowe znacznie wzmożyły zainteresowanie historią. Wychodzącemu temu naprzeciw Biblioteka Miejska im. Ludwika Waryńskiego w Łodzi urządziła wystawę wybranych ze swego księgozbioru prac dotyczących epoki napoleońskiej. Ekspozowano m. in. takie białe kraki jak Emilia Ludwika „Napoleon” (1926 r.), Gertrudy Kirchsena „Napoleon i Kobiety” (1912 r.), Karoliny z Potockich Nakwaskiej „Pamiętnik o Adamie Potockim” (1826 r.), bogato ilustrowany album Ernesta Lunickiego „Napoleon” (1911 r.) oraz pierwsze wydanie książki beletrystycznej Stanisława Wasylewskiego „Szam-belanowa z Walewic” oraz Wacława Gasiorowskiego „Maria Walewska”.

W końcowej fazie przygotowań do ostatecznego wyjaśnienia tajemnicy kiernozkiej krypty uwaga koncentrowała się na najbardziej okazałej trumnie. Intrygowała pieczęć lakowa pośrodku jej drewnianego wieka. Wydawało się, że może to być wskazówka czy też trumna przywieziona z Paryża do Kiernozii.

Tekst pieczęci okazał się jednak niesłychanie trudny do odczytania. W części zakrywała go smola, której nie można było usunąć. Ekspert z laboratorium służby kryminalnej Komendy Wojewódzkiej MO w Łodzi stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że pośrodku pieczęci jest wycięnięty dwugłowy orzeł carski. Wokół niego był tekst wypisany łacińskimi literami, ale można było odczytać tylko następujące sylaby „ka”, „po”, „wy”.

Aby rozszyfrować zagadkowy tekst podjęto poszukiwania materiału porównawczego w postaci podobnej pieczęci. W archiwum parafialnym natrafiono na dokumenty opatrzone podobnymi pieczęciami, ale nigdzie dwugłowy orzeł carski nie był okolony podobnym napisem.

Mgr Alicja Zebrowska z Archiwum Państwowego w Łodzi, gdzie przechowywane są niemal wszystkie dokumenty rodu Walewskich, wyraziła opinie, że pieczęć na trumnie została nałożona nie wcześniej niż w 1815 roku. Od tego bowiem roku dopiero władze carskie nakazywały używanie pieczęci z carskim orłem, który na piersiach miał tabliczkę z polskim godłem. Napisy wokół były jeszcze w języku polskim a dopiero w drugiej połowie zeszłego stulecia nakazano posługiwanie się językiem rosyjskim. Mogło więc wydawać się wiele prawdopodobne, że trumna kryje szczątki Walewskiej przywiezione do Polski w 1918 roku.

Już w trakcie starań Zakładu Antropologii UL o zezwolenie na ekshumację M. Walewskiej „Express Wieczorny” zamieszczał obszerną relację ilustrowaną fotografiami, z wyprawą do Kiernozii, w towarzystwie Mariana Brandysa i prof. dr Rogalskiego. W ten sposób mogło powstać przekonanie, że tylko „Express” konsekwentnie pilnotuje przygotowania do identyfikacji szczątków Marii Walewskiej. W rzeczywistości jednak „Kurier” nie tracił inicjatywy.

Wieczorem zatelefonowałem do Mariana Brandysa.

— Czy mogę rozmawiać z panem Brandysem?

— Tak, chwileczkę, jak tylko telewizor sięse, dobrze?

— Już jestem.

— Mówi Turowski z „Kuriera Polskiego”. Dzwonię do pana bo dowiedziałem się, że Zakład Antropologii Uniwersytetu Łódzkiego uzyskał już oficjalną zgodę władz na przeprowadzenie ekshumacji szczątków Walewskiej. Wcześniej nie telefonowałem aby pana nie absorbować tymi formalnymi sprawami...

— Ale przecież ja w ogóle o to nie mam najmniejszej pretensji. Różnej mam pretensję do „Expressu”, że ze

wać tą sprawą, nie związaną przecież z pana zawodem?

— Kiedy przybyłem do Kiernozii chciałem wiedzieć gdzie mieszkam, poznać historię... — Jest pan też opiekunem zabytków?

— Tak, równocześnie jestem społecznym opiekunem zabytków. W tym — miejscowego kościoła, którego historia sięga początków XIV wieku.

— Jest więc pan historykiem — amatorem?

— Osobiście urzekł mnie czar legendy Napoleona, a zwłaszcza życie pięknej Marii.

— No oczywiście, my przecież szczególnie lubimy cudze życie... Słyszałam, że niedawno odkryto jej nowy portret? — Mogę tylko dodać, od siebie, że rzeczywiście była piękna i portrety nie oddają jej całej urody... — Widzę, że ma pan bardzo osobisty stosunek do tej postaci. Dziękuję za rozmowę.

Liczne publikacje prasowe znacznie wzmożyły zainteresowanie historią. Wychodzącemu temu naprzeciw Biblioteka Miejska im. Ludwika Waryńskiego w Łodzi urządziła wystawę wybranych ze swego księgozbioru prac dotyczących epoki napoleońskiej. Ekspozowano m. in. takie białe kraki jak Emilia Ludwika „Napoleon” (1926 r.), Gertrudy Kirchsena „Napoleon i Kobiety” (1912 r.), Karoliny z Potockich Nakwaskiej „Pamiętnik o Adamie Potockim” (1826 r.), bogato ilustrowany album Ernesta Lunickiego „Napoleon” (1911 r.) oraz pierwsze wydanie książki beletrystycznej Stanisława Wasylewskiego „Szam-belanowa z Walewic” oraz Wacława Gasiorowskiego „Maria Walewska”.

W końcowej fazie przygotowań do ostatecznego wyjaśnienia tajemnicy kiernozkiej krypty uwaga koncentrowała się na najbardziej okazałej trumnie. Intrygowała pieczęć lakowa pośrodku jej drewnianego wieka. Wydawało się, że może to być wskazówka czy też trumna przywieziona z Paryża do Kiernozii.

Tekst pieczęci okazał się jednak niesłychanie trudny do odczytania. W części zakrywała go smola, której nie można było usunąć. Ekspert z laboratorium służby kryminalnej Komendy Wojewódzkiej MO w Łodzi stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że pośrodku pieczęci jest wycięnięty dwugłowy orzeł carski. Wokół niego był tekst wypisany łacińskimi literami, ale można było odczytać tylko następujące sylaby „ka”, „po”, „wy”.

Aby rozszyfrować zagadkowy tekst podjęto poszukiwania materiału porównawczego w postaci podobnej pieczęci. W archiwum parafialnym natrafiono na dokumenty opatrzone podobnymi pieczęciami, ale nigdzie dwugłowy orzeł carski nie był okolony podobnym napisem.

Mgr Alicja Zebrowska z Archiwum Państwowego w Łodzi, gdzie przechowywane są niemal wszystkie dokumenty rodu Walewskich, wyraziła opinie, że pieczęć na trumnie została nałożona nie wcześniej niż w 1815 roku. Od tego bowiem roku dopiero władze carskie nakazywały używanie pieczęci z carskim orłem, który na piersiach miał tabliczkę z polskim godłem. Napisy wokół były jeszcze w języku polskim a dopiero w drugiej połowie zeszłego stulecia nakazano posługiwanie się językiem rosyjskim. Mogło więc wydawać się wiele prawdopodobne, że trumna kryje szczątki Walewskiej przywiezione do Polski w 1918 roku.

Dalszy ciąg ze str. 1

rozebrać jedną ze ścian kościoła. Tak wielkiej odpowiedzialności nie chciał na siebie wziąć żaden z kompetentnych czynników. Pertraktacje prowadzone za pośrednictwem osób trzecich ciągnęły się długo i opornie — tymczasem ja grzebałem się w materiałach biograficznych Walewskiej i... stopniowo trałem zapał do całego przedsięwzięcia. Im więcej poznawałem fałszywizację, tym więcej poznawałem fałszywizację — tym częściej nawiedzała mnie straszna myśl — a co będzie, jeżeli po dotarciu do krypty okaże się, że trumna jest pusta, że nie ma w niej Walewskiej?!

Kiedy więc zawiadomiono mnie niedawno, że otwarcie krypty na razie jest niemożliwe — przyjąłem to oświadczenie z ulgą. Trudno! Nie do wiem się już nigdy jaka Walewska była naprawdę, ale uszczęśliwiła się od ryzyka największego rozczarowania. Niech „słodka Maria” śpi spokojnie w krypcie kościoła kiernozkiego. Nie będę zakłócał jej wiecznego snu. I tak dość już namieszałem w tej sprawie!”.

W ostatnią niedzielę października wybrałem się do Kiernozii. Po prostu na wycieczkę. Nie obiecywałem sobie niczego poza spędzeniem czasu — na świeżym powietrzu i obejrzeniem okolicy, gdzie urodziła się i wychowywała słynna szambelanowa. Stało się jednak inaczej.

„Historia życia Marii Walewskiej, a szczególnie jej związku z cesarzem Francuzów, Napoleonem Bonaparte, od dawna są przedmiotem zainteresowania badaczy przeszłości. Kolejnej okazji ku temu — relacjonowałem w „Kurierze Polskim” płon swojej wizyty w dawnych dobrach Łęczyńskich — dostarczyło niedawno odkrycie przez proboszcza kościoła parafialnego w Kiernozii — Jana Zukowskiego, autentycznego dokumentu potwierdzającego przewiezienie zwłok Marii Walewskiej z Paryża, gdzie zmarła 11 grudnia 1817 roku, do Kiernozii”.

„Dokument ten — powiedział mi ks. Jan Zukowski — znalazłem przeglądając archiwum parafialne. Informuje on, że: „Zmarła przeświecona magnificencja Marianna de Łęczyńska, primo voto Walewska, secundo voto żona prześwieconego d'Ornano, komesa generalnej dywizji wojskowej królestwa galicyjskiego, której ciała eksportowano do kościoła parafialnego w Kiernozii dnia 27 września 1818 roku”.

W kościelnej kaplicy stoj metalowa trumna, w której najpewniej spoczywa prochy Marii Walewskiej. Jest zalutowana i w jednym miejscu ma ślad pieczęci oraz inne znaki zdające się wskazywać, że przebyła daleką drogę. Ponieważ doszły do mnie informacje — oświadczył mi rozmówca — że mogą być czynione starania o otwarcie owej trumny w celu ostatecznej identyfikacji zwłok, wystąpiłem do władz kościelnych z prośbą o wydanie odpowiedniego zezwolenia. Kuria Biskupia w Łodzi wydała takie zezwolenie”.

Zapewne zbieg okoliczności sprawił, że tego samego dnia 2 listopada ukazała się podobna publikacja w „Expressie Wieczornym”. Również na pierwszej stronie. Halina Gruber pisała:

„Tajemnica miejsca spoczynku doczesnych szczątków „polskiej małżonki Napoleona” ujawnia się! Już wkrótce być może nastąpi otwarcie trumny heroiny napoleońskiego romansu celem zidentyfikowania zwłok.



Gdzie jest Walewska?

znów się ujawni jakaś nowa tajemnica? Może nie tylko tajemnica osobista pani Walewskiej, lecz historyczna?

Publiczne spory wokół ustalenia tożsamości Marii Walewskiej sprzeczowały „Szpilki”, które ozdobiły okładkę numeru z dnia 8 grudnia 1968 roku

Ostrzegam Was, A zwłaszcza te najurodzawsze eleganki, Nie chodźcie z cesarzami na randki.

Ja wiem, że to przyjemność sprawia, że to z pewnością urzeka, kiedy cesarz podejście blisko

co tęsknią Wzdychają I marzą, Miejsce dziewczyny, stanowcze miny I dajcie odpór cesarzom.

12 grudnia ponownie telefonowałem do Mariana Brandysa: — Powiedział mi się zobowiązałem, że panna natchemniast zawiadomienie o terminie ekshumacji

dla wszystkich. Zapowiedziana konferencja prasowa nikogo nie satysfakcjonowała. Każdy chciał mieć informacje oparte na własnych obserwacjach.

Wbrew protestom, wreszcie o godzinie 23.15 przystąpiono do ekshumacji. Zgodnie z powszechną opinią, że szczątki Marii Walewskiej przywieziono do Kiernozi

Wnętrze wypełnione było piachem i węgłem drzewnym. Dokładnie przesympując zawartość znaleziono pięć fragmentów kości ludzkich i śliski gaz

Postanowiliśmy zjechać w gospodzie „Wiosenka”. Jest schab, bozcek, kurczak, pieczeń, golonka. Bufetowa pochyliła się nad ladą i szepcze: — Czy państwo

niezależnie od tego jak do zabawy przygody, z humorem, na wesoło. Podobnie jak jej przedmowa, dziennikarka

— Dziennikarce. — Znaczący, korespondenci? Co panowie wiedzą? — Jeszcze nie.

— Panowie nie chcą powiedzieć. Ja rozumiem — ścisza głoś — to sprawa państwowa.

— Stary dasz strzelić z longhafa? — Ty bracie z czym do nieboszki, z tą zorką przedwojenną?

— Stary dasz strzelić z longhafa? — Ty bracie z czym do nieboszki, z tą zorką przedwojenną?

— Stary dasz strzelić z longhafa? — Ty bracie z czym do nieboszki, z tą zorką przedwojenną?

— Stary dasz strzelić z longhafa? — Ty bracie z czym do nieboszki, z tą zorką przedwojenną?

— Stary dasz strzelić z longhafa? — Ty bracie z czym do nieboszki, z tą zorką przedwojenną?

— Stary dasz strzelić z longhafa? — Ty bracie z czym do nieboszki, z tą zorką przedwojenną?

— Stary dasz strzelić z longhafa? — Ty bracie z czym do nieboszki, z tą zorką przedwojenną?

Pantofelki miała białe, pończochy z dzianiny, ostatni krzyk mody, czepek złoty, koronki bogato ornamentowane, warkocz siłowy...

— Pan ją widział? Pan naukowiec czy dziennikarz? Bogu dzięki. Z Łodzi. Przyjechaliśmy w nocy, chcieliśmy wejść do zakrytych, to pani wie co nam szef naukowców powiedział? Powiedział, gdzie ma prasę...

— Pragnę państwa poinformować — mówi — że tajemnica, którą żyliśmy półtora miesiąca, została wyjaśniona. W trumnie spoczywa siostra Marii Walewskiej, Antonina. W drugiej trumnie, najbardziej zniszczonej pośród trumien w rodzinnej krypcie Łęczyńskich, znaleźliśmy ziemię i trochę kości, których nie sposób zidentyfikować.

— Ha, ha — cieszy się ktoś z boku — Brandysowi legła honorowa flu, flu, kolo nosa przesłał... Zgola inny punkt widzenia na wydarzenia w Kiernozi reprezentował Antoni Należ w „Za i Przelic”.

— Rozmuchiwanie sprawy pani Walewskiej, zainicjowane poszukiwaniem jej doczesnych szczątków, nie jest — przyznajmniej w moim przekonaniu — wyrazem pedu za tania sensacja.

I tu właśnie czas na wyrażenie przynajmniej i poczucie niesmaku, z powodu postawy niektórych dziennikarzy, zamierzających na konferencji prasowej w Kiernozi, o jeden z nich powiedział, że cała sprawa poszukiwania doczesnych szczątków kasztelanowej z Walewic w ogóle nie jest warta zachodu, po-

— Dowód drugi. Prawnik i biograf Walewskiej Filip hr d'Ornano w swojej książce „The Life and Loves of Marie Walewska” (Hutchinson, Londyn 1938) pisze:

— Na ołtarzu kaplicy wznoszącej się nad rodzinną krypią Ornanów na emencie w Paryżu, przebywając go do Polski, zgodnie z ostatnią wolą zmarłej, złożył trzeci. Inny potomek Walewskiej i dzielnicy wielkiej jej papierów osobistych Roger hr Colonna-Walewski z Paryża, przebywając się żywo krypią w Kiernozi, zamówił w tamtejszym kościele mszę na intencję prababki i uznał potrzebę zidentyfikowania jej trumny.

— Dowód piąty. Przekazywana z pokolenia na pokolenie usna tradycja w Kiernozi nie tylko potwierdza fakt pochowania tam Walewskiej lecz ponadto podaje pewne charakterystyczne szczegóły związane z ceremonią sprowadzenia zwłok i z późniejszymi, dramatycznymi perypetiami trumny.

— Dowód szósty. List do Wacława Gasińskiego zachowany w archiwum posmiertnym pisarza: „Szانونy Panie! Odczytuję ciekawą książkę Pana „Pani Walewska”. Czy pozwoli Pan, że mu dopowiem niektóre szczegóły z jej życia zachowane w pamięci rodziny.

1) Pani Walewska miała dwóch synów, starszy ożeniony był z panną Grotowska, drugi syn Napoleona — portretik tych dwóch chłopców jest w Mniuchu p. Kutnem, majątku mego szwagra.

2) Pani Walewska pochowana nie na cmentarzu lecz za ołtarzem w Kiernozi. Dokąd jeżeli zechce Szانونy Pan to go naszym samochodem zawieziemy kiedy, gdyż Kiernozią leży blisko majątku naszego, Żaluskowa.

Wyraży prawdziwego szacunku i szacunku M. Grotowska.

Wyroży prawdziwego szacunku i szacunku M. Grotowska.

Paryżu. Na lamach „Expressu Wieczornego” pisał: „Domyślał się gdzie jest Walewska. Sądzę, że grabarze jak to grabarze. Do-

— Domyślał się gdzie jest Walewska. Sądzę, że grabarze jak to grabarze. Do-

— Domyślał się gdzie jest Walewska. Sądzę, że grabarze jak to grabarze. Do-

— Domyślał się gdzie jest Walewska. Sądzę, że grabarze jak to grabarze. Do-

— Domyślał się gdzie jest Walewska. Sądzę, że grabarze jak to grabarze. Do-

— Domyślał się gdzie jest Walewska. Sądzę, że grabarze jak to grabarze. Do-

— Domyślał się gdzie jest Walewska. Sądzę, że grabarze jak to grabarze. Do-

— Domyślał się gdzie jest Walewska. Sądzę, że grabarze jak to grabarze. Do-

— Domyślał się gdzie jest Walewska. Sądzę, że grabarze jak to grabarze. Do-

— Domyślał się gdzie jest Walewska. Sądzę, że grabarze jak to grabarze. Do-

— Domyślał się gdzie jest Walewska. Sądzę, że grabarze jak to grabarze. Do-

— Domyślał się gdzie jest Walewska. Sądzę, że grabarze jak to grabarze. Do-

— Domyślał się gdzie jest Walewska. Sądzę, że grabarze jak to grabarze. Do-

— Domyślał się gdzie jest Walewska. Sądzę, że grabarze jak to grabarze. Do-

Opierając się na tych niewątpliwych dowodach i działając w ścisłym porozumieniu z patriotami lokalnymi Kiernozi — ja pierwszy 13 października ub. roku wystąpiłem na lamach tygodnika „Świat” z wnioskiem o ostateczne rozstrzygnięcie kontrowersji na temat miejsca pochowania Walewskiej.

Rozumiem, że nieprzyzwolony hałas, poprzedzający badania w Kiernozi i nie mający precedensu okoliczności, w jakich te badania przeprowadzono — mogły u wielu czytelników wywołać niesmak, zgorznienie i rozczarowanie.

W podobnym stylu utrzymane zostało „Posłowie”, które autor dopisał do swoich „Kłopotów z panią Walewską”.

„Na zaproszenie z Kiernozi odwiedziłem z fotoreporterem Janem Kosidowskim krypcę, po czym opublikowałem w „Świecie” sprawozdanie z tej wizyty, wyrażające pełne poparcie dla kontynuowanych przez kiernozian starych o zidentyfikowanie trumny Walewskiej.

Przy akompaniowaniu triumfalnym, choć przedwczesnego hałasu z inicjatywą w sprawie zidentyfikowania trumny Walewskiej wysłali terytorialnie właściwy Zakład Antropologii przy Uniwersytecie Łódzkim. W nocy z 16 na 17 grudnia pracownicy tej instytucji, w obecności przedstawicieli władz terenowych i ambasady francuskiej oraz paru zaproszonych gości, otworzyli trumnę znajdującą się w krypcie. Jednakże w żadnej nie zdołano zidentyfikować szczątków Marii Walewskiej...”

W ferworze namietności Marian Brandys całkowicie pominał możliwość skontaktowania się z kierownikiem Zakładu Antropologii UL i zapytania go o ostateczną opinię na temat badań przeprowadzonych w Kiernozi. Nie mógł być wówczas z taką pewnością napisać, że „nie zdołano zidentyfikować szczątków Marii Walewskiej”.

Dr Zdzisław Kapcia stwierdził bowiem, że „szczątki kostne pobrane do badania z najbardziej zniszczonej spośród czterech trumien znajdujących się w krypcie kościelnej w Kiernozi należały do kobiety, która zmarła nie przekroczywszy 30 lat życia. Taki wniosek pozwalał wysnuć badanie zachowanego fragmentu czaszki. Na podstawie fragmentu kości udowej można wnioskować, że zmarła była osobą niewysoką, drobnej budowy ciała. Porównując te wyniki z informacjami zawartymi w dokumentach historycznych opisujących postać Marii Walewskiej, oraz w akcie zgonu stwierdzającym, że zmarła ona w wieku 28 lat z największym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że badane szczątki kostne należały do osoby by odpowiadającej charakterystyce Marii Walewskiej”.

Nie ma więc żadnych powodów by wątpić w to, że Marii Walewskiej nie ma w Kiernozi. W ten sposób zagadka została definitywnie rozwiązana. Skąd się jednak wziął błąd głoszony, że ekshumacja do Kiernozi zakończyła się fiaskiem? Chyba tylko stać, że tajemnicę sa zawsze bardziej nęcące i przykuwające uwagę niż sprawy jasne i oczywiste.

Wskazując ostatecznie gdzie jest Walewska chciałbym gwoli ścisłości podać, że Marian Brandys za „Kłopoty z panią Walewską” otrzymał pamiątkowy Puchar Czytelników „Kuriera Polskiego” przyznany autorowi książki roku 1969. Pisarz w serdecznych słowach podziękował za uznanie czytelników i przy lampce wina, w miłej atmosferze opowiadał o swych „Kłopotach z panią Walewską”.

Da mnie ekshumacja do Kiernozi omal nie zakończyła się procesem. Obojętnym zawistnikom, którzy musieli trwać na mrozie owej nocy z poniedziałku na wtorek, bo miejsca dla nich już w zakrytych nie stało, da rozgrzewki napisało skargę do Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Zajęła im aż siedem stron maszynopisu, za który nigdy nie dostali zlanego grosza wierszówki. Nie mogąc sobie znaleźć godziwego ujęcia dla zapośredniczenia ambicji zawodowych umyślił sobie na mnie zwałić winę za to, że przemarnieję do szpiku kości i niczego nie widzieli. Zarząd Oddziału SDP — ze względu na praktyczną niemożliwość wglądu do ustalenia faktów materialnych i nieproporcjonalną w stosunku do ważnych problemów środowiska rangę tej sprawy wyraził opinię by rozpatrywania jej zaniechać.

Na pamiątkę zachowałem sobie też pismo Redaktora Naczelnego „Kuriera Polskiego” Henryka Tycnera: „Składam koleżeńskie wyrazy uznania za cykl informacji związanych ze sprawą Walewskiej. Wzorowa reporterska robotka!”.

KONRAD TUROWSKI  
Zdjęcia Autora  
W tymu przygotowywanego przez Wydawnictwo Łódzkie.



już coś wiedzą względem Walewskiej? Trzech miejscowych obywateli w granatowych futajkach zasiada przy najbliższym stołku i odchyła się sztywno w naszą stronę.

— Dziennikarce. — Znaczący, korespondenci? Co panowie wiedzą? — Jeszcze nie.

— Panowie nie chcą powiedzieć. Ja rozumiem — ścisza głoś — to sprawa państwowa. My zaraz to poczuli jak Francuzi zaczęli tu przyjeżdżać. Cały świat już wie, że w trumnie Napoleona nie on leży. Jego kucharz tam leży. A gdzie jest Napoleon?

— Stary dasz strzelić z longhafa? — Ty bracie z czym do nieboszki, z tą zorką przedwojenną?

— Stary dasz strzelić z longhafa? — Ty bracie z czym do nieboszki, z tą zorką przedwojenną?

— Stary dasz strzelić z longhafa? — Ty bracie z czym do nieboszki, z tą zorką przedwojenną?

— Dowód pierwszy. W księgach parafialnych w Kiernozi zachował się zapis: „Rok 1817 dnia 11 grudnia w mieście Paryżu we Francji przy ul. Wiktorii, w domu własnym pod numerem 48, zmarła Jaśnie Wielmożna Pani Mariana z Łęczyńskich primo voto Walewska

— Dowód drugi. Prawnik i biograf Walewskiej Filip hr d'Ornano w swojej książce „The Life and Loves of Marie Walewska” (Hutchinson, Londyn 1938) pisze:

— Na ołtarzu kaplicy wznoszącej się nad rodzinną krypią Ornanów na emencie w Paryżu, przebywając się żywo krypią w Kiernozi, zamówił w tamtejszym kościele mszę na intencję prababki i uznał potrzebę zidentyfikowania jej trumny.

— Dowód piąty. Przekazywana z pokolenia na pokolenie usna tradycja w Kiernozi nie tylko potwierdza fakt pochowania tam Walewskiej lecz ponadto podaje pewne charakterystyczne szczegóły związane z ceremonią sprowadzenia zwłok i z późniejszymi, dramatycznymi perypetiami trumny.

— Dowód szósty. List do Wacława Gasińskiego zachowany w archiwum posmiertnym pisarza: „Szانونy Panie! Odczytuję ciekawą książkę Pana „Pani Walewska”. Czy pozwoli Pan, że mu dopowiem niektóre szczegóły z jej życia zachowane w pamięci rodziny.

— Dowód piąty. Przekazywana z pokolenia na pokolenie usna tradycja w Kiernozi nie tylko potwierdza fakt pochowania tam Walewskiej lecz ponadto podaje pewne charakterystyczne szczegóły związane z ceremonią sprowadzenia zwłok i z późniejszymi, dramatycznymi perypetiami trumny.

— Dowód drugi. Prawnik i biograf Walewskiej Filip hr d'Ornano w swojej książce „The Life and Loves of Marie Walewska” (Hutchinson, Londyn 1938) pisze:

— Na ołtarzu kaplicy wznoszącej się nad rodzinną krypią Ornanów na emencie w Paryżu, przebywając się żywo krypią w Kiernozi, zamówił w tamtejszym kościele mszę na intencję prababki i uznał potrzebę zidentyfikowania jej trumny.

— Dowód piąty. Przekazywana z pokolenia na pokolenie usna tradycja w Kiernozi nie tylko potwierdza fakt pochowania tam Walewskiej lecz ponadto podaje pewne charakterystyczne szczegóły związane z ceremonią sprowadzenia zwłok i z późniejszymi, dramatycznymi perypetiami trumny.

— Dowód szósty. List do Wacława Gasińskiego zachowany w archiwum posmiertnym pisarza: „Szانونy Panie! Odczytuję ciekawą książkę Pana „Pani Walewska”. Czy pozwoli Pan, że mu dopowiem niektóre szczegóły z jej życia zachowane w pamięci rodziny.

— Dowód piąty. Przekazywana z pokolenia na pokolenie usna tradycja w Kiernozi nie tylko potwierdza fakt pochowania tam Walewskiej lecz ponadto podaje pewne charakterystyczne szczegóły związane z ceremonią sprowadzenia zwłok i z późniejszymi, dramatycznymi perypetiami trumny.

— Dowód szósty. List do Wacława Gasińskiego zachowany w archiwum posmiertnym pisarza: „Szانونy Panie! Odczytuję ciekawą książkę Pana „Pani Walewska”. Czy pozwoli Pan, że mu dopowiem niektóre szczegóły z jej życia zachowane w pamięci rodziny.

ROMANIAK



Fot. A. Wach

Przypadki, jak wiadomo, chodzą po ludziach, jednakże one to właśnie często decydują o tym, że na czynie działanie i społeczna aktywność zaczynamy patrzeć tak, jak na zjawisko najnormalniejsze z normalnych. Choćby do zjawisk ułożonych przez rutyne, było mu bardzo daleko.

Mamy oto otwartą przed niedawnym czasem w Domu Stowarzyszeń Twórczych, wystawę rzeźb Stanisława Romaniaka — ludowego rzeźbiarza oraz poety, mieszkającego aktualnie pod Skierniewicami. Piszę „ludowego”, gdyż w ujęciu potrzebnie klasyfikowania, strugana w drewnie twórczość Romaniaka może być tak traktowana, a na pierwszy rzut oka widzimy ją jako najprawdziwiej i rubasznie ludową.

Myszę jednak, że pewnie przypadek to sprawił, że dwudziestoosmioletni dziś Romaniak — młody inteligent i organizator życia kulturalnego na wsi (aktualnie kierownik Gminnego Ośrodka Kultury w Godzianowie w woj. skierniewickim), jest twórcą, który jakby z przekory odwraca się od doświadczeń współczesnej — plastyki artystycznej. Rzeźba Romaniaka — to pniałki i konary obrabiane toporkiem i zgrubnym dłutem — ma w sobie subtelność i jednocześnie barbarzyństwo, tak charakterystyczne dla polskiej sztuki ludowej. Ten składnik wrażliwości poety, w rzeźbie penetruje te same formy i motywy, które znamy z ludowych kermaszów i przydrożnych kapliczek. Madonny Romaniaka — wiejskie baby w chustkach, z zapadniętymi twarzami i świętobliwe oblicza w aureolach i girlandach — pełne pokory i plebejskiego smutku, stoją pomiędzy zwiadami i dziadami leśnymi tak właśnie sielski i rzewnie i ludowo. Ale nie są to po prostu repliki sztuki cepeliowskiej, bo przy bliższym wejściu w te rzeźby i półrzeźby, możemy dostrzec, że Romaniak — inteligent, bawi się dość przekornie w ludowego dlabaka. Bo oto drewno, w którym struga, zachowuje całą swoją cheralowść, na którą składa się moc dziupli, seków i zębnych odrosli, a cała zabawa polega często właśnie na wkomponowaniu tych defektów w zamysł rzeźbiarski. Wypadnie więc często dziura, jak po kuli armatniej w środku piersi dziada, a gdzie ludziej kula niby jabłko wrazone w rozwaria głębie baby. Seki imitują ramiona, krzywe załaski jakieżś dziwaczne odnoża. I zaraz widać, że jest to jakieś dziwne hobby człowieka opętanego niezapartą potrzebą zabijania czasu, choćby tego wolnego czasu było — jak w przypadku Romaniaka — tak naprawdę bardzo niewiele.

Jako kierownik Gminnego Ośrodka Kultury, Romaniak nie ma wiele zbyteżnego czasu, a wyskakujące pół z czoła obrabianie pniałków i karcezy, to przecież żaden odpoczynek. Nie pomijam tu również istotnego faktu, że to, do czego można się przyzwyczaić u jakiegoś starożytnego wiejskiego dlabaka, rzeźbiarstwa niepojęta przez miejscową społeczność u młodego aktywisty na wsi kultury.

Dlaczego więc Romaniak rzeźbi? Myślę, że na takie pytanie trudno odpowiedzieć i samemu bohaterowi tego felietonu, bo jak tu uzasadnić, że robi się coś, za co nie ma ani pieniędzy ani też i tego splendoru za duzo, a co jest i kosztowne i czas polyka. Jedno jest jednak pewne: Romaniak, który reprezentuje nowoczesny typ wiejskiego działacza kulturalnego — tego o wiedzy i horyzontach — rzeźbiarce i medytując nad rzeźbami, poszerza jak gdyby swój kontakt duchowy z kulturą ludową, po to, aby autentyzm jego pracy na wsi mógł być pełniejszy i — pewnie — bardziej wartościowy.

Jest to być może tylko epizod w życiu działacza kulturalnego na wsi, nie jest wszakże wykluczone, że to właśnie rzeźbiarstwo przechwyli szalę na swoją stronę do tego stopnia, że zapominamy o konkretnych funkcjach, jakie spełnia Romaniak w swojej pracy na wsi.

Zyczyć by jednak można wszystkim kierownikom gminnych domów kultury, aby tak sprężyli swoją pracę na wsi z osobistą ambicją twórcy, jak czyni to właśnie Romaniak. I to bez względu na to, czy odbywa się to przy rzeczowym dekonwaniu przemian w życiu kulturalnym wsi, czy też w radośnie-smutnej obróbce kalekiego drzewa.

GUSTAW ROMANOWSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

29 października nowy sezon widowiskowy w Teatrze Victoria (ul. Piotrkowska 67) zainaugurował „Hajduczek”, przeróbka Józefa Popławskiego według powieści „Pan Wołodyjowski”. Sztuka była rekordy powodzenia i frekwencji, a kasę teatru często ratowała od deficytu. Nie tylko na premierze „Joze” i „krzesła” obdarzały „gradem bukietów” nowo pozyskaną do zespołu Helenę Pawłowską, występującą w roli Basi. Stanisław Łapiński, stały recenzent teatralny miejscowego dziennika „Rozwój”, pisał z przejęciem o jej kreacji: „Szczera, serdeczna, ognista, rubaszna, a tak miła, tak sercu droga, że wprost tęsknota ogarniała widza, skoro znikła ze sceny. W miejscach znowu lirycznych było tyle uczucia, tyle prawdy, że mimo woli łzy się cisnęły do oczu i żal przepelniał serca”.

W sobotę i w niedzielę 8 i 9 listopada odbył się wielki kermasz gwiazdkowy na rzecz Chrześcijańskiego Towarzystwa Dobroczynności, najaktywniejszej instytucji dobroczynnej w niegdysiejszym „bawelnianym grodzie”. Na prośbę organizatorów imprezy znani pisarze, m. in. Eliza Orzeszkowa, Henryk Sienkiewicz, Adolf Dygasiński, Stefan Zeromski, nadesłali swoje „autografy”: aforyzmy, cytacje, powiedzenia itp., które udostępnił zainteresowanym redagowany przez Wiktora Czajewskiego „Rozwój”. Sprezentowany przez dziennik (w 281 numerze) „dosłowny odpis” autografów Sienkiewicza wyglądał następująco:

„Gdy w małżeństwie kobieta woli latać a mężczyzna pełzać lub odwrotnie — to nie ma widoków zgody”.

„Na błocie siadać może tylko ptactwo błotne”.

„Miłość, która chce być tylko duchem, staje się cieniem, ale ogolona zupełnie z ducha — jest tylko upodleniem”.

„Głupota ludzka ma to wspólne z morzem, że unoszą się na niej... balwany”.

„Kiermasz w niewielkim stopniu odbiegał od pokutującego stereotypu „zabawy w filantropię”. W namiotach prowadzono sprzedaż artykułów niezbędnych wobec zbliżających się świąt Bożego Narodzenia. Czas uprzyjemniały występy chorów i towarzyszt śpiewających, występy humorystów, „kosze szczęścia” etc. Jednakże szczególnie zainteresowaniem cieszyły się wspomniane autografy, a Sienkiewicza — które „po wysokich rozprzedano cenach” — największym. Niejaki August Hüffer, właściciel składu dynamo-maszyn został na przykład (po licytacji) za cenę 42 rubli właścicielem jednego z Sienkiewiczowskich „aforyzmów”.

Prasa łódzka z uwagą śledziła przygotowania do kulminacyjnego punktu roku jubileuszowego — przewidzianych na 22 grudnia pompacyjnych uroczystości w Warszawie. Łódzianie poznali w detalach ich program, a część pomysłów skopiowali przy urządzaniu lokalnych obchodów.

Szereg stołecznych imprez rozpoczęła 18 grudnia wieczornica na Dynasach zorganizowana przez Warszawskie Towarzystwo Cyklistów, którego Sienkiewicz był honorowym członkiem. Na spotkaniu z pisarzem odczytano m. in. depesze cyklistów z Łodzi i Zgierza:

Łódź! Wieszczu! Gdy wstąpiłeś w nasze macierzy progi przyjm hold należny Tobie od kołarskiej braci, którą w bawelny grodzie Twój geniusz krzepił, za co wdzięczna przesyła: żyj nam wечно Jublacie!

Członkowie W.T.C. w Łodzi (tu: kilkanaście podpisów)

Zgierz. Genialnemu twórcy arcydzieł literatury polskiej ślę wyrazy czci, wdzięczności i uwielbienia cykliści zgierscy. (cyt. za „Kurierem Warszawskim” z 18.XII.1900 r.)

Obchody łódzkie zogniskowały się na sobotniej imprezie w Teatrze Victoria (22.XII.) — nazajutrz powtórzoną w niezmięnionej postaci. Podczas rozprowadzania zaproszeń na „wieczory Sienkiewiczowskie” kasa teatru była formalnie obłożona. Sobotnia uroczystość przebiegała w atmosferze wyjątkowo podniosłej i serdecznej. Odświeżeniu kurtyny towarzyszyły dźwięki poloneza Chopina. Artysty okrzyki „biust!” Sienkiewicza wykonany przez p. Urbanowskiego. Na proscenium wystąpił Ludwik Wostrowski, „amant serio i aktor bardzo inteligentny”, i wygłosił „zastosowaną do okazji” „Ode do młodości” Mickiewicza. Inny aktor — Karol Kopezwski w imieniu całej Łodzi uwieńczył „wawrzynem” popiersie pisarza. Z łóz i galerii „posypały się kwiaty...”

Po kilkunastominutowej przerwie wokół popiersia zgrupował się chór „damski” Towarzystwa Muzycznego, który wykonał kilka ludowych pieśni. W części koncertowej wystąpił sam dyrektor Tow. Muz. H. Melcer oraz J. Michałowska. Na zakończenie aktorki odegrały „z pietyzmem” komedię Sienkiewicza „Zagłoba swatem”.

Za sprawą galicyjskiej prasy kursowało wówczas streszczenie tej komedijki, może i zastępuje dziś zapomnianej, a wartej jedynie odpoznania w postaci obiegowej monety z dawnych lat. „Rzecz dzieje się na kresach, w domu pana Oliwiusza, ekspalestran-

ta, ojca nadobnej Zofii i posiadacza dwóch rezydentek, krewnych dalekich: Imc panien (siejących rutkę) Mariany i Weroniki. Do Zofii smali cholewki p. Jan Zaremba, towarzyszy lekkiego znaku, a p. Onufrego Zagłoby komilton i przyjacieli”.

Po uroczystościach w teatrze elita towarzyska miasta zebrała się w salonach wytwornej restauracji Sępkowski, gdzie raczyła się toastami i przemówieniami na cześć jubilat. Nie tylko zeszła w Łodzi bankiety stały się nieodłączną częścią adresowanych do Sienkiewicza holdów.

W 1901 r. doszło do bezpośredniego spotkania łódzian z Sienkiewiczem, który uświetnił swą obecnością inauguracyjne przedstawienie w Teatrze Wielkim — nowym przybytku sztuki

uniesień doszła szczytu 28 września, tj. w dniu premiery a zarazem przyjazdu pisarza. „Sienkiewicz w Łodzi! (...) Łódź, powszechnie znana i uznana jako miasto holdujące jedynie materializmowi, drgnęła nagle na sam dźwięk tych słów magicznych” — pisał w „Kronice tygodniowej” felietonista „Rozwoju”. Wypadki pamiętne dnia dają się w przybliżeniu zrekonstruować.

Miasto od rana przybrało „odświeżoną fizjognomię”. Około godz. 11 wagonem specjalnie zaofiarowanym przez kolej warszawsko-wiedeńską, co stało się z inicjatywy organizatorów, przybył Sienkiewicz w asyście gości z Warszawy. Zgromadzone na dworcu tłumy zwiastowały entuzjastyczne przyjęcie, do czego wszakże nie doszło, gdyż pi-

nanych prób, dynamo-maszyna w ostatniej chwili skaprysiła i nie chciała wyrobić odpowiedniej siły oświetlenia. Z powodu tego niespodziewanego wypadku panie przybyłe w balowych toaletach zmuszone były tymczasowo schronić się w lokalu restauracyjnym lub błąkać się po ciemnych korytarzach. Mniej cierpliwi widzowie za pomocą zapalek, wyszukawszy sobie miejsca, zajmowali je w ciemnym teatrze. Po godzinie ósmej sytuacja stała się fatalną. Mistrz Sienkiewicz już przybył, a tu nie można zacząć przedstawienia! („Rozwój” 1901, nr 225). Światło na szczęście wkrótce rozblisło i ok. godz. 21 Sienkiewicz wraz z Siemiradzkiem zasiedli w łoży honorowej na balkonie I piętra.

Na trzech inauguracyjnych wieczorach teatralnych złożyły się: prolog sceniczny St. Kozłowski „Symbolista”, krotoczwila J. Bliźnińskiego „Kawaler marcowy”, jednoaktowa komedia A. Fredry „Pan Benet” oraz V akt baśni dramatycznej L. Rydla „Zaczarowane kolo”.

Po przedstawieniu, nim kurtyna opadła po raz ostatni, któryś z łódzkich aktorów uprosił zajmujących łożę honorową, aby pozwolili „zdjąć fotografię zbiorową”. Okoliczności temu sprzyjały. „Cały teatr przedstawiał imponujący widok. Światło elektryczne lamalo się w drogocennych kamieniach, stanowiących ozdoby nadobnych łodzianek. Bogate i gustowne stroje pań na tle czarnych fraków mężczyzn uwydatniły się w całej okazałości” („Rozwój” 1901, nr 225). Firma B. Wilkoszewskiego dokonała więc zdjęć przy „magnezowym oświetleniu” i był to ostatni oficjalny akt imprezy. Gdy Sienkiewicz powstał z balkonów i galerii „spadł deszcz kwiatów, w jednej chwili miejsce na balkonie przemieniło się w żywy, barwny kobierzec”.

Na prośbę sekretarza teatru p. M. Marfiewicza znakomite grono udało się do kancelarii teatralnej. Tu — na umyślnie przygotowanym płótnie, które artysta malarz Pruszyński zaprojektował i przystroił wieńcem laurowym z napisem: „Szczęść Boże teatrowi polskiemu”, goście złożyli swoje podpisy. Według relacji nauceznych świadków Sienkiewicz skomentował własny udział słowami: „Pierwszy raz trzymam pędzel w rękę”.

Końcowym akordem wytwornej gościnności komitetu organizacyjnego pod przewodnictwem Stamirowskiego i Poznańskiego stała się składkowa „uczta” (10 rubli od osoby), która zgromadziła ok. 150 osób (domniemywano, że nawet 250 „z górą”). Bankiet nastrojony był na ton uroczysty, wyzwał się przy tym pięćnaście zimnego konwensansu, odciskającego się podówczas na rozbitym przez kolejerie i kółka życia towarzyskim łodzian. Sienkiewicz umiejscowiony między sędziwą panią Markiewiczową (z prawej) a Maurycówną Poznańską (z lewej strony) uczestniczył w toastach i przemówieniach na cześć miasta, teatru, gości. Podobnie jak i Siemiradzki wystąpił z dłuższym przemówieniem — „...mistrz, oddając cześć pracy produkcyjnej, grającej ważną rolę w życiu narodowym, zachęcał do pielęgnowania ideałów”.

Niemalże wrażeń sprawiły również słowa A. Stamirowskiego i L. Gajewicza; St. Kozłowski wznosił natomiast dowolny toast wierszem na staropolską nutę „Kochajmy się”. „Z chwili tej chciał skorzystał Czajewski (redaktor „Rozwoju”) i dla literatury polskiej trwałszą pamiątkę zostawił. Zaprojektował więc, aby zebrani złożyli ofiarę na konkurs dramatyczny imienia Sienkiewicza. W sali zakpięto jak w ulu. Co to jest? Kto tu wiał? Kto projekty za plecami komitetu teatralnego stawia? Pan Stamirowski, wiceprezes T-wa Teatralnego i organizator uroczystości, pierwszy zaprotestował, aby podobnego projektu nie uznano. Wtedy Czajewski złożył od siebie 500 rubli na początek konkursu. Milionerzy milczeli! Bez wyjątku każdy z nich mógł sięgnąć do portfela, wyjąć książeczkę czekową i podpisać dziesięć razy większą sumę, ale tego nie zrobiono!” (Kalendarz „Rozwoju” na rok 1913). Sienkiewicz podtrzymał wszakże projekt, a nawet zgodził się opracować warunki konkursu. Wypelniony też, jak się później okazało (rozstrzygnięty w lutym 1903 r. konkurs przyniósł „obfity plon”), owocną skutki misje mediatora opuścił zgromadzonych, owacyjnie żegnany przez rozrabianych (sądząc po ilości toastów, pewnie i podochoczący) ogół. Feta z okazji premiery w Teatrze Wielkim przeciągnęła się jeszcze... pisarz wyjechał z Łodzi rannym pociągiem w towarzystwie K. Benniego, E. Lubowskiego i M. Gawalewicza, odprowadzony do Kuluszek przez kilku gospodarzy całej imprezy. Specjalny korespondent „Kuriera Warszawskiego” donosił z „bawelnianego grodu”: „...światłość uroczystości łódzkiej przewyższała najśmielsze oczekiwania i prawdopodobnie nie pozostanie bez wpływu głębszego na układ stosunków miejscowych. „Cześć wam łodzianie!” („Kurier Warszawski” 1901, nr 270).

Na pierwszym z wycieczek w tym abonentowym spektaklu „Blanchetty” E. Brieux'a sala Teatru Wielkiego świeciła pustkami.

BOGDAN MAZAN



dramatycznej przy ul. Konstantynowskiej 14, zbudowanym kosztem i staraniem Fryderyka Sellina.

Okazały gmach teatru, zaprojektowany przez inżyniera-architekta Seligsona, odpowiadał ambicjom wielkiego przemysłowego miasta. Mieścił ponad 1200 osób, tj. bodaj o około 200 więcej niż Teatr Wielki w Warszawie. Zaimponować mógł wystrój sceny i widowni, choć wnikliwy obserwator dostrzegł „niewyszukany gust” oraz „dorywczą robotę” w wykończeniu.

Z uruchomieniem reprezentacyjnej sceny spore nadzieje wiązała dyrekcja teatru polskiego w Łodzi pod wodzą Wacława Gubińskiego, miejscowa inteligencja, a także szeroka publiczność, niezbyt może wymagająca, lecz i tak trudna do pozyskania.

W atmosferze nerwowego oczekiwania upływały dni przed inauguracją. Niemniej ostatnie prace w teatrze i przygotowania natury organizacyjnej sprawnie dobiegały końca. W przeddzień pamiętnych wydarzeń „Rozwój” przypomniał dla porządku: „Prosimy jesteśmy o zaznaczenie, że na pierwsze przedstawienie w teatrze polskim, dn. 28 bm. pożądanym jest strój balowy lub wieczorowy, obowiązujący w łożach i pierwszych dziesięciu rzędach krzesel”. 27 września w „szafkach” na rogach ulic pojawiły się afisze informujące o szczegółach inauguracyjnego spektaklu w Teatrze Wielkim.

Wśród zaproszonych gości znalazł się Henryk Siemiradzki oraz Sienkiewicz; z odległej o trzy godziny jazdy pociągami Warszawy przybyło szereg znanych osobistości. Niemal wszystkie ważniejsze krajowe dzienniki przysłały do Łodzi swych przedstawicieli. Korespondenci warszawscy z „Kuriera Codziennego” i z „Gazety Polskiej” podkreślali m. in. zastręgi Antoniego Stamirowskiego i M. Maurycyusza Poznańskiego położone dla sprawy łódzkiego teatru. Poważnie potraktował „niewykł wypadek w dziejach rozkwitu der Fabrikstadt Lotsch” stołeczny „Wiek”, poświęcając mu cały bogato ilustrowany numer. Wstępnym artykułem powitała Sienkiewicza nawet miejscowa hakatyzująca „Lodzer Zeitung”. Fala

sarza przeprowadzono innym niż się powszechnie spodziewano wyjściem. Tu zaś wycieczką akareta p. Heinza zabrala go i zawiozła do pp. Stamirowskich, którzy udzielili znakomitemu przybyszowi pierwszej gościny. O godz. 13 w salach restauracji Sępkowski wydane zostało uroczyste śniadanie na cześć Sienkiewicza. Od godz. 15, wraz z Siemiradzkiem, zwiędzał on zakłady i szpital Scheiblera. Z kolei Anna Scheiblerowa podejmowała pisarza szampanem w swoim pałacyku, przygotowała uprzednio dość ceremonialne powitanie. Orkiestra fabryczna zakładów Scheiblera odegrała marsza, wyjątki z Halki Moniuszki a podczas toastu na cześć gościa tzw. „fanfare”. Od godz. 17 Siemiradzki i Sienkiewicz zwiędzali zakłady Poznańskich, gdzie również nastąpiło owacyjne powitanie. Podczas przechadzki po terenie zakładów przybyłym towarzyszyli Maurycy, Ignacy i Karol Poznańscy. O godz. 18 autor „Krzyszaków” fotografował się w zakładzie Wilkoszewskiego. Około godz. 18.30 delegacja towarzystwa śpiewaczego Lutnia obdarowała go dyplomem członka honorowego. Dyplom, przygotowany przez artystę malarza Przybylskiego, stanowił olbrzymi pergaminowy zwój, ozdobiony kwiatami, alegoryczną postacią anioła i napisem: „Mistrzowi słowa polskiego Henrykowi Sienkiewiczowi — wielbicielu pieśni rodzimej”.

Od godz. 19.00 tłumy ludzi wypełniły ulicę wiodącą do teatru i plac przed nim. Panowało ożywienie. Przejżdżający Sienkiewicz pozdrawiany był z okien i balkonów. Przed rozpoczęciem widowiska w niewykonycznym, obszernym foyer teatru odbył się mini-raut, w którym wzięli udział wybitni przedstawiciele łódzkiego obywatelstwa z M. Poznańskim, A. Stamirowskim, Wł. Wagnonowskim, A. Mogilnickim i St. Silbersteinem na czele. W ostatniej chwili los spłatal organizatorom przykrego figla. Zamknięto podwoje teatru. „Przyczyna tego została wkrótce wyjaśniona. Pomimo oględzin instalacji elektrycznej przez fachowców i doko-

## U PRZYJACIOŁ Wymiana kulturalna: ZSRR — Zachód

Władimir Popow, zastępca ministra Kultury ZSRR udzielił wywiadu „Literaturnoj Gazecie” na temat założeń i realizacji polityki Związku Radzieckiego w zakresie wymiany kulturalnej. Ogólną charakterystykę tej polityki min. Popow ujął następująco: „ZSRR przywiązuje ogromną wagę do stałego rozszerzania kontaktów kulturalnych z innymi krajami. Nie uważamy tej sytuacji za zjawisko przejściowe, lecz jest to jedna z głównych zasad polityki kulturalnej państwa radzieckiego. Podobnie jak cała kultura światowa również i poszczególne kultury narodowe nie mogą się rozwijać w sposób właściwy bez stałej wzajemnej wymiany swych bogactw. Ta zasada kierowała się państwo radzieckie od początków istnienia. Jednak nigdy dotychczas zagraniczne kontakty kulturalne ZSRR nie były tak szerokie i różnicowane, jak to ma miejsce w naszych czasach. W chwili obecnej kontakty kulturalne w różnych formach utrzymujemy ze 120 krajami całego świata”.

W dalszej części wywiadu min. Popow podał wiele interesujących liczb i informacji na temat poszczególnych dziedzin sztuki, które są przedmiotem międzynarodowej wymiany. Przytaczamy je poniżej ograniczając się do kierunku „ZSRR-Zachód”.

Pierwsze miejsce w wymianie kulturalnej zajmuje muzyka. Np. w roku 1975 za granicę wystąpiło ok. 180 dużych zespołów artystycznych ze wszystkich republik radzieckich, a także ponad 300 solistów reprezentujących wszystkie gatunki sztuki muzycznej. Największym wydarzeniem było tournée moskiewskiego Teatru Wielkiego po USA.

Nieco węższy zakres ma wymiana teatralna, tym większe znaczenie w miarę sztuk teatralnych między poszczególnymi krajami. Obecnie w teatrach Związku Radzieckiego wystawiane są utwory 129 współczesnych dramaturgów z krajów zachodnich, w tej liczbie 35 amerykańskich, 21 francuskich, 15 włoskich.

W dziedzinie wystawiennictwa odnotowano pozycje, które można nazwać wielkimi osiągnięciami w międzynarodowej wymianie dóbr kulturalnych, i tak, w ostatnim roku obywateli ZSRR mogli podziwiać „Monę Lisę”, wspaniałe płótno Rembrandta, Velasqueza, Tycjana, Goi, El Greka i innych mistrzów z największych muzeów świata, a także skarb grobowca Tutenchamona. Jednocześnie bezcenne wyroby sztuki sycylijskiej, będące w posiadaniu muzeów radzieckich, eksponowano w Nowym Yorku, Los Angeles i Paryżu. Ze zbiorów „Ermityażu” wysłano do USA i Meksyku dzieła malarstwa, zachodnioeuropejskiego, do Japonii i Anglii malarstwo współczesne.

W tej dziedzinie można spodziewać się dalszych przedsięwzięć usprawniających wymianę najcenniejszych muzealów, gdyż w akcie końcowym podpisanym w Helsinkach, w rozdziale dot. wymiany kulturalnej znalazło się specjalne załączenie. Jak do tej pory Związek Radziecki podpisał porozumienie o współpracy kulturalnej z 83 krajami. Mają one charakter umów międzynarodowych, w których strony wyrażają obojętne dążenie do realizowania wymiany, do stworzenia właściwych warunków dla rozwijania inicjatyw w tym zakresie itp.

Współpraca w dziedzinie kultury między ZSRR a krajami zachodnimi nie odbywa się bez trudności. Na pytanie: „Czy zdarzały się wypadki odmowy rozszerzenia współpracy lub utrudniania kontaktów?”, min. Popow odpowiedział następująco: „Tak, tendencje do ograniczenia i surowej reglamentacji wymiany kulturalnej ze Związkiem i innymi krajami socjalistycznymi występują w szeregu państw zachodnich. Są one tłumaczone brakiem odpowiednich środków-dotacji i subsydjów. Rzecz dziwna, że trudności pojawiają się wówczas, gdy chodzi o prawdziwą sztukę. Kiedy natomiast proponuje się nam imprezy, najkrócej mówiąc bezwartościowe artystycznie, dotacje znajdują się natychmiast. Także podjęcie zachodnich środków masowego przekazu do spraw wymiany kulturalnej jest specyficzne. Usiłują one wzmocnić swym odbiorcom, że to nie oni lecz my czynimy trudności w rozszerzeniu wzajemnych kontaktów kulturalnych i jesteśmy w tej mierze „dzielnikami” Zachodu. Wszystkie „długów”, szukamy natomiast dróg dalszego rozwoju wipółpracy w imię tych wysokich ideałów, które znalazły swe odbicie w akcie końcowym Konferencji w Helsinkach.

W USA mówi się coraz częściej o trudnościach, a nawet kryzysie, które przeżywają największe amerykańskie dzienniki i periodyki. W tarapatkach znalazł się duży dziennik poranny „New York Times”, dochody pisma spadły o 52 proc., objętość zamieszczanych ogłoszeń i reklam zmniejszyła się o 7 proc. „Newsweek” stracił w ubiegłym roku około 3 milionów czytelników.

W latach 60-tych mnóstwo mieszkańców wielkich metropolii osiedliło się w miejscowościach podmiejskich. Nie wszystkie pisma codzienne i periodyki wzięły to pod uwagę w odpowiednim czasie i wielu dotychczasowych czytelników dużych gazet przetrucilo się na małe miejscowe dzienniki. W ślad za tym także agencje reklamowe woła zamieszczać ogłoszenia w tych gazetach, bowiem zdążyły one w tym czasie rozszerzyć swoje czytelnice audytoria.

Wskutek masowej wędrowki do osiedli podmiejskich zmienił się również skład socjalny mieszkańców wielkich miast. Na przykład z Nowego Jorku, z falą migrantów odpłynęła największa grupa prenumeratorów i stałych nabywców poważnych gazet, zwiększyła się natomiast liczba Murzynów i Latynoameryków, którzy nie czytują (albo rzadko czytują) wielostronicowych gazet. Powiększyła się też ilość ludzi niezamożnych, których nie stać na wyroby reklamowane w gazetach. Poza tym w całych Stanach Zjednoczonych bardzo podrożały koszty produkcji, papier i kolportaż.

Tymczasem specjaliści z ożywieniem dyskutują perspektywy rozgorzałej niedawno walki między wydawcami periodyków a telewizją o dochody z ogłoszeń i reklam. W związku z tym mówi się, jakoby właściciele największych dzienników doszli wreszcie do wniosku, że walkę tę mogą wygrać łącząc swoje siły i kładąc kres „wojnie domowej”. Jeszcze do niedawna redakcje „Newsweek” i „Time” najmowały agentów, żeby śledzić posunięcia przeciwnika.

Ofensywną bronią amerykańskich tygodników w walce z telewizją jest „ogólna liczba czytelników”, to znaczy liczba nie tylko prenumeratorów czy nabywców, lecz wszystkich, którzy tylko czytają ten lub inny dziennik. Jak wynika z niektórych danych, każdy numer „Time’a” czyta od 19 do 22,5 miliona Amerykanów, a od 16 do 18 milionów — każdy numer „Newsweeka”. Suma tych liczb wynosi odpowiednio: 35—40,5 miliona ludzi. Takiej liczby widów nie miał w USA ani jeden program telewizyjny nawet podczas Igrzysk Olimpijskich.

Walka między prasą a „błękitnym”

ekranem o masowego odbiorcę nie jest nowością. Dwadzieścia lat temu: „Life”, „Look”, „Saturday Evening Post”, były, wydawało się, niepodzielny władca rynku prasowego. W pogoni za zyskiem z reklamy i ogłoszeń dzienniki dążyły w tym czasie za wszelką cenę do zwiększenia nakładu (dla tego głównie cena prenumeraty spadała dosłownie do minimum). A mimo to właścicielom telewizji udało się przekonać agencje reklamowe, iż najbardziej efektywnym i ekonomicznym sposobem zaferowania towarów maksymalnej liczbie potencjalnych nabywców jest właśnie telewizja. I w przeciągu długiego czasu lwia część wpływów z reklam trafiła do niej.

Jednakże znaczne podwyższenie opłat za ogłoszenia w telewizji znów

USA przynieść więcej szkody niż pożytku — wyjaśniają fachowcy z „Newsweeka”. Cena za zamieszczenie ogłoszenia zależy od nakładu, jego wzrost podwyższa cenę ogłoszeń i reklam. „Look” i „Life” straciły ogłoszenia właśnie dlatego, że bardzo wysokie nakłady tygodników wyrubowały opłaty za ogłoszenia do bająfiskich sum.

Pragnąc pójść na rękę agencjom ogłoszeniowym „Newsweek”, na przykład, wypuszcza miejscowe wydania, w których cena za zamieszczenie ogłoszenia kształtuje się w zależności od liczby czytelników. Tak więc problem czytelników bardzo interesuje właścicieli największych wydawnictw periodycznych USA, a zwłaszcza kiedy chodzi o najzamożniejsze warstwy społeczeństwa kraju. Chociaż należy do nich tylko 9 procent mieszkańców

tyczne. I tak „Playboy” (ponad 6 milionów egzemplarzy) znajduje się na dziewiątym miejscu, na trzynastym — „Penthouse” (4 miliony nakładu). Prawie z półtoramilionowym nakładem wychodzi na przykład pornograficzne czasopismo „Playgirl”.

Bardziej poważne czasopisma, które ostatnio ukazały się na rynku prasowym, nie różnią się wielkością swoich nakładów. I tak np. na fall zainteresowania pop-muzyką, problemami narkomanii i hippiesami pojawiło się na amerykańskim rynku prasowym czasopismo „Rolling Stones”. Chociaż dwie trzecie jego objętości wypełniają materiały o muzyce, dziennikarzy tego periodyku uważa się za jednych z najważniejszych w kraju. Niektóre serie tego pisma, poświęcone współczesnej problematyce w USA, zyskały sobie szeroki rozgłos.

Jaki związek zachodzi między badaniami zainteresowań czytelnicy, a treścią pism? W redakcjach wydawnictw periodycznych uważa się, że nie zachodzą tu absolutnie żadne związki. Takie katarygiczne stwierdzenie jest charakterystyczne dla amerykańskiej tradycji, zgodnie z którą między biznesem dziennikarskim z jednej strony, a polityczną i kulturalną treścią publikacji z drugiej, stoi mur nie do przebycia.

Mówi się często i zapewnia, jakoby w USA, jak w żadnym innym kraju świata zachodniego, redakcja i administracja pisma — to swego rodzaju dwa różne, nieomal odizolowane światy. Istotnie, wydawnictwem kierują przedsiębiorcy, którzy mogą do tego pracować choćby w „International Business Machines”, czy „General Motors” i którzy z wydawnictwami mogą łatwo przejść do jakiegokolwiek gałęzi przemysłu lub na służbę państwową. Ale w redakcjach cała władza spoczywa w rękach zawodowych dziennikarzy.

Mimo wszystko głębsza znajomość świata prasy w Stanach Zjednoczonych Ameryki, złośliwie ataki na prasę w okresie prezydentury Richarda Nixona, dążenie do podporządkowania całej prasy interesom kół rządzących i klas — konkluduje korespondent „L’Espresso” — każą wątpić w ów nieprzezwyciężony mur, który oddziela rzekomo dziennikarzy od właścicieli pism. Przykład: w dzienniku „New York Times” wybuchł niedawno spór między właścicielem pisma a kierownikiem działu miejskiego, J. Wockso-mem, o zamieszczeniu materiału na temat finansowego kryzysu Nowego Jorku. Autor artykułu uważał, iż jednym ze sposobów rozwiązania tego trudnego problemu jest niezwłoczne podwyższenie opodatkowania biznesmenów zamieszkałych w mieście. Pewien przemysłowiec z Wall Street zauważył na to, że „coś podobnego może wysadzić z siódma sama gazeta”. Przetasowano kolegium, Wockso musiał odejść z redakcji.

JERZY CZECH

## W POGONI ZA CZYTELNIKIEM I REKLAMĄ

zmusiło, w ostatnich czasach, agencje ogłoszeniowe do korzystania z usług wydawnictw periodycznych.

Teraz więc każdy z dzienników stara się urwać dla siebie o kawałek pieczywa. Często przy tym żonglują one „wrotną” liczbą czytelników, to znaczy tych, którzy przeglądają gazety kupowane przez innych. Dla poparcia tego dowodu powołują się na fakt, iż w latach 1973—74 każdy numer „Teleguide”, czy miesięcznika „Reader’s Digest” czytało ponad 6 osób. Amerykańscy specjaliści prasowi zwracają jednak uwagę, iż powód tego kryje się w sensacyjnej treści poszczególnych numerów największych amerykańskich gazet.

Wzrost liczny prenumeratorów, jak zauważa wielu specjalistów tylko z pozoru jest sprawą prostą, w praktyce bowiem rodzi wiele trudnych problemów. Jednym z nich jest cena prenumeraty. Wzrost nakładu może w

USA, to jednak dysponują one wystarczająco dużym majątkiem, i, co za tym idzie, mogą wydawać dużo pieniędzy. A właśnie, jak stwierdzili eksperci prasowi, przedstawiciele tych warstw społeczeństwa bardzo rzadko oglądają przekazy telewizyjne i woła w chwilach odpoczynku przeglądać jakiś wpływowo dziennik.

Nowe spojrzenie na czytelnika od strony właścicieli tygodników, jak również właścicieli innych wydawnictw prasowych, tłumaczy się głębokimi przeobrażeniami, jakie zaszły ostatnio w Stanach Zjednoczonych.

Jeśli porównać obecną, dzisiejszą klasyfikację prasową z klasyfikacją sprzed, powiedzmy, dwudziestu lat, to widać, jak podkreślają fachowcy, że teraz na jednym z pierwszych miejsc (około 20 milionów czytelników) znajduje się „Teleguide”, który w połowie lat 50-tych w ogóle nie istniał. Kwitną także szmatławe czasopisma ero-

## UCZUCIE ULGI DRUGI POJEDYNEK KONIECZNOŚĆ PRZEBUDOWY

Przewidywania sprawdzili się: koalicja SPD — FDP wygrała wybory, ale przewaga jej w Bundestagu zmniejszyła się do ośmiu mandatów (252 wobec 244, którymi teraz rozporządzać będzie CDU/CSU). Z rezultatów wyborów można wyprowadzić następujące wnioski: socjal-liberalowie pozostają przy władzy, nie zmienił się kanclerz, kontynuowana zatem będzie dotychczasowa polityka, ale partie rządzące będą miały w Bundestagu trudniejszą sytuację niż dotąd.

H. Kohl — przywódca CDU, który szykował się do skoku po władzę i widział już siebie na kanclerskim fotelu oraz F.J. Straus, który upatrzył sobie stanowisko ministra finansów, ale nie krył, że będzie go interesować w rządzie również polityka zagraniczna — mogą czuć się „zawiedzeni. Nie znaleźli tak szerokiego poparcia wyborców, na jakie liczyli. Większość społeczeństwa nie opowiedziała się za zmianą polityki, lecz za kontynuacją dotychczasowej. W aspekcie polityki zagranicznej RFN znacząco nadal kroczenie drogą odprężenia. Dla pokoju i bezpieczeństwa, a także europejskiej współpracy szczególnie to ważne. Zdaje sobie z tego sprawę, prasa całego kontynentu. W dzienn-

kach zachodnich dominuje „uczucie ulgi”, że opozycja nie zapewniła sobie większości. A więc i w zachodniej części Europy rozumiano, co oznaczałoby zwycięstwo wyborcze CDU/CSU.

Komentator nie może jednak uciec od pytania: dlaczego SPD i FDP uzyskały mniej głosów niż w poprzednich wyborach i w rezultacie zmniejszyły liczbę mandatów?

Sondaże tuż przed 3 października wykazywały, że co dziesiąty wyborca nie był zdecydowany za kim głosować. Rezultaty wyborów świadczą, że ci niezdecydowani wsparli w większości listy wyborcze CDU/CSU. Czy stało się to pod wpływem argumentacji chadeckiej, czy też na przykład żywo komentowanego w prasie światowej utracenia władzy przez szwedzką socjaldemokrację — trudno osądzić. Tak czy inaczej część klienteli wyborczej chadeckiej trzeba uznać za niestałą, nie związaną „na dobre i złe” z CDU/CSU.

Helmut Schmidt szykuje się już do sformowania nowego rządu i pod koniec tygodnia na posiedzeniu gremiów kierowniczych SPD wymienił punkty ciężkości swej deklaracji rządowej. Są to: przywrócenie pełnego zatrudnienia na drodze określonej

polityki na rynku pracy, zahamowanie wzrostu cen w systemie ochrony zdrowia i rozwiązanie problemu emerytalnego, rozszerzenie ochrony środowiska naturalnego, odrodzenie finansów federacji, krajów i gmin. Jak widać, w swych zamierzeniach koncentrować się będzie na problemach wewnętrznych, gdyż politykę zagraniczną uważa za niezmienną.

Wiele mówi się i pisze w prasie zachodniemieckiej również o przegranych — Helmutie Kohlu, rozważając, co będzie robił dalej. Może pozostać nadal premierem w Moguncji, ale też objąć funkcję przewodniczącego frakcji w Bundestagu, bądź wysuwając na to stanowisko zaufanego polityka skoncentrować się wyłącznie na przewodniczeniu partii. Druga i trzecia ewentualność zapowiadałaby jego aktywną walkę z socjal-liberalnym rządem.

Rezultaty wyborów w RFN nie schodzą z lamów prasowych, wywołując wciąż nowe spekulacje. Będzie tak z pewnością jeszcze przez kilka dni, a potem gorówno będzie walka przedwyborcza w Stanach Zjednoczonych. Tymczasem przed kamerami telewizyjnymi odbył się drugi pojedynek: Carter — Ford, tym razem poświęcony problematyce zagranicznej. W dyskusji tej różnice sprowadzały się niemal wyłącznie do sposobu podejścia do takiego, czy innego zagadnienia. Carter mówił o spadku prestiżu USA w świecie i popieraniu przez administrację republikańską wszystkich, którzy chcą się zaliczyć do gro-na przyjaźni — bez wnikania w charakter rządów (chodziło tu o Chi-

le, Rodezję i inne kraje dyktatur). Postawił też zarzut, że Ford niedostatecznie zajmował się polityką zagraniczną. „Jeśli chodzi o politykę zagraniczną — stwierdził — to pan Kissinger był prezydentem tego kraju”. Ford zarzutem Cartera przeciwstawiał fakty. Okazał się też elastyczniejszym w sprawie odprężenia niż jego konkurent. Tę rundę dyskusji uważa się raczej za remisową, nie przesądającą o przewadze żadnego z kandydatów.

I jeszcze jeden temat naszego przeglądu: oświadczenie rządu radzieckiego o konieczności przebudowy światowych stosunków gospodarczych. Oświadczenie to skierowane zostało na ręce sekretarza generalnego NZ — K. Waldheima z prośbą o upowszechnienie go jako oficjalnego dokumentu ONZ.

Na bieżącej — XXI sesji Zgromadzenia Ogólnego dominują dwie grupy zagadnień: rozbrojenie i nowy ład ekonomiczny.

Z tą drugą grupą łączy się radzieckie oświadczenie, stwierdzające, że ukształtowany dotychczas model tych stosunków nie odpowiada nowemu układowi sił w świecie. Swobodne dysponowanie przez każdy naród jego bogactwami, zapewnienie prawidłowej relacji cen między surowcami, a gotowymi produktami, usunięcie różnorodnych barier w handlu, rozszerzenie równoprawnej współpracy gospodarczej — powinny być u podstaw nowych stosunków gospodarczych między krajami.

W. SŁAWSKI

# POŻEGNANIE SAMOTNOŚCI

Tadeusz Słupecki jest łodzianinem. Jego debiut wart jest przypomnienia: współczesni- czyl w słynnej Jednodniówce Koła Polonistów Uniwersytetu Łódzkiego „Różnie idąc” w roku 1948. Zanim zdecydował się na prozę powieściową uprawiał różne gatunki: humoreski, poe- zję, nie stronił od utworów e- stradowych (przez pewien czas pracował nawet w teatrze estra- dowym). Te krótkie formy pub- likował w prasie i w antolo- giach. Debiut książkowy nastą- pił stosunkowo późno — stano- wiła go powieść „Tamto dziw- ne lato”, wydana przez Wydaw- nictwo Łódzkie w roku 1969. Da- ło w niej znać o sobie satyrycz- ne zacięcie autora. Opisując wa- kacyjne przygody studenta na tak zwanej głębokiej prowincji wykpił prymitywny kult litera- tury, przejawiający się w „Tam- tym dziwnym lecie” w dwu aspektach: w bałwochwalczym zgola stosunku czytelnika do dzieła i pisarza oraz w dążeniu do zostania „literatem” za wszelką cenę.

Niedawno na półkach księ- garskich ukazała się druga po- wieść Tadeusza Słupeckiego. Jest to z pewnością najambit- niejszy z jego dotychczasowych utworów. Opowiada o łódzkim proletariatusu, „który podczas lat okupacji swego kraju za- pragnął samotnie zdobyć wy- kształcenie i pozycję społeczną”. Problemowo dotyczy więc dwóch spraw najistotniejszych dla Pol- ski w okresie ostatnich trzydzie- stu kilku lat: wojny, okupacji oraz przemian społecznych, jakie dokonały się w rezultacie obje- cia władzy przez lewicę. Rozra- chunek z wojną i rejestracja socjalistycznych przemian — o- kreślają na przemian ideowe o- blicze naszej współczesnej lite- ratury.

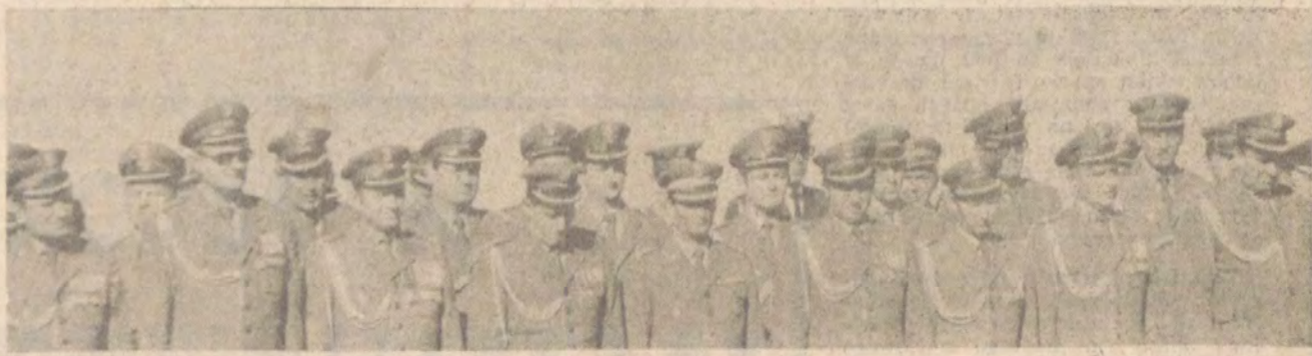
„Samotnych dróg” nie można jednak uznać za syntezę tych problemów, co wynika głównie (bo nie tylko) z proporcji; po- wieść jest przede wszystkim studium dojrzewania młodego człowieka w okresie okupacji, a przemiany społeczne dopiero zapowiada, ukazując symbolicz- ną niejako dojrzałość młodego proletariatusa do ich wszczęcia. Tak więc otrzymaliśmy jeszcze jeden utwór o hitlerowskiej o- kupacji w Polsce, którego jedy- ną chyba differentia specifica stanowi umieszczenie akcji w Łodzi. Nie chcę przez to powie- dzieć, że jest to dzieło wtórne czy peryferyjne, pragnę uświa- domić jedynie trudności, jakie napotkać musi pisarz podejmu- jący sprawy wielokrotnie już eks- ploatowane.

Czy z tego niełatwego zamie- rzenia wyszedł Słupecki obronna ręką? Po części tylko. Jest w jego powieści kilka świetnie skreślonych i niebanalnych scen, oszczędnych (w sposób tak znakomicie wypróbowany przez Zofię Nałkowską w „Medalionach”), a przez to bardzo sugie- stywnych. Myślę tu przede wszy- stkim o scenach szpitalnych. Ale podczas lektury „Samotnych dróg” mimowolnie nasuwają się skojarzenia ze znanymi utwora- mi. Oto na przykład podobień- stwo motywu z „Kolumbów rocznik 20” Romana Bratnego. Bohater-narrator przedstawiony został w grupie rówieśników, z których każdy reprezentuje inne postawy: ironiczny i zdy- stansowany Wiesiek Filus, wal- czący później w Anglii Zdźich, związany z komunistami Roman, Stach-gimnazjalista marzący o podziemnej organizacji harcerc- skiej, wreszcie nieufny i sprytny Broniek. Grono to symboli- zuje przekrój społeczeństwa, jest tłem do bardziej wnikliwe- go ukazania dojrzewania mło- dzieży robotniczej.

Książka Tadeusza Słupeckiego adresowana jest — jak sądzę — do młodego czytelnika. To wyjaśnia jej dydaktyczny cha- rakter i jakkolwiek pożegnanie samotności ukazane zostało tu w sposób może nieco uproszczo- ny, to historia początków nie- łatwego awansu jest odpowie- dzią na istniejące nadal w tym zakresie społeczne zapotrzebo- wanie.

**TADEUSZ BŁĄZEJEWSKI**

T. Słupecki, *Samotne drogi*, Iskry, Warszawa 1976, nakład 6000-275 egz., cena zł 15.



Pewnego listopadowego dnia 1961 roku prezydent Stanów Zjednoczonych, John F. Kennedy, zapytał w prywatnej rozmowie dziennikarza „New York Times'a”, Tada Szulca: „Co by pan sądził o tym, gdyby dowiedział się pan, że USA zamordowały Castro?” Szulc jednak nic nie sądził, więc po chwili Kennedy dodał: „Jestem zadowolony, że jest pan tego samego zdania, gdyż i ja jestem mocno przekonany, że Stany Zjednoczone nie powinny brać udziału w morderstwie politycznym. Wciąż jednak otrzymuję propozycje tego rodzaju”.

Dziś wiemy już, iż owe plany nie pozostawały tylko w sferze propagandy i że od dawna zamierzano zamordować Fidela Castro. Na początku ubiegłego roku ujawnili to otwarcie dwaj najbliżsi współpracownicy brata ówczesnego prezydenta, senatora Roberta Kennedy'ego. Zarówno z tych jak i wielu innych relacji wynikało jasno, iż między 1960 a 1965 rokiem funkcjonariusze pewnych agencji i instytucji rządowych USA podejmowali działania mające doprowadzić do pozabawienia Castro życia. W spisach tych, jak się okazało, uczestniczyli również czynnie przedstawiciele amerykańskiego świata przestępczego, a zwłaszcza mafii, którzy rekrutowali i finansowali przeciwników politycznych premiera Kuby. Wspomniani współpracownicy senatora Kennedy'ego stwierdzili jednak, iż ich szef odkrył plany przygotowań do spisku i zarządził natychmiastowe zaprzestanie tego rodzaju działalności, nakazując jednocześnie złożenie mu osobiście gwarancji na piśmie, że zalecenie będzie ściśle przestrzegane. Wystawcą owej „gwarancji na piśmie” była: Central Intelligence Agency.

Akcje, jakie CIA zamierzała przeprowadzić przeciwko Castro, nie były bynajmniej jej pierwszymi krokami na tym polu. „Firma” miała już pewne doświadczenia. Jesienią 1960 roku dwóch agentów CIA usiłowało pozabawić życia postępowego premiera Konga, Patrice'a Lumumbę. Próbowano posłużyć się trucizną, którą zamierzano dodać do jego posiłku lub zmieszać z pastą do zębów, której używał. Plan wprawdzie się nie powiódł, ale kilka miesięcy później Lumumba został zamordowany przez swoich przeciwników politycznych. 31 maja 1961 roku zginął od kul zamachowca, niewygodny dla USA, dyktator Dominikany, Rafael Trujillo. Tym razem zamach obciążał jednak konto amerykańskie, gdyż, jak ustalono, USA dostarczyły broń, z której zabito Trujillo.

Ale najważniejszym celem dla CIA w tym okresie było usunięcie Castro ze sceny politycznej. Nic dziwnego, że chwila obalenia dyktatury Batisty o-bjęcie władzy przez Fidela Castro było niezwykle dotkliwą porażką dla polityki amerykańskiej na półkuli zachodniej i to zarówno porażką ideologiczną jak i strategiczną. Z punktu widzenia ówczesnej linii politycznej USA, pojawienie się niemal u wrót Stanów Zjednoczonych socjalistycznego państwa, było oczywistym wyzwaniem, a zarazem groźnym „niebezpieczeństwem”. Zdając sobie sprawę, że przykład Kuby może być zaraźliwy, postanowiono podjąć wszelkie możliwe środki, aby „uchronić wolne, demokratyczne państwa Ameryki Południowej przed widmem rewolucji”. Pierwsze akcje CIA przeciwko premierowi Kuby, które podjęto w 1960 roku, a więc jeszcze w okresie prezydentury Eisenhowera, nie przewidywały konieczności zamordowania Castro. Początkowo starano się zagłuszać jego przemówienia, stosowano metody dywersji ideologicznej i gospodarczej. Kiedy jednak dostrzeżono, że nie odnosi to pożądanego skutku, postanowiono posłużyć się innymi metodami. Udzielając czynnego poparcia antycastrowskiemu podziemiu na Kubie, USA podjęły w kwietniu 1961 roku próbę inwazji na wyspę, która jednak zakończyła się kompletnym fiaskiem. Klęska była zupełna, Fidel Castro umocnił tylko swoją pozycję, zaś Stany poważnie nadzarnęły sobie prestiż w krajach Ameryki Łacińskiej. Była to również dotkliwa porażka dla CIA, dodatkowo kosztująca jej szefa, wszechwładnego Allena Dullesa, dymisję. Wówczas zapadła ostateczna decyzja — Castro musi zostać zamordowany. Nie trzeba dodawać, że misja tego rodzaju była niezwykle delikatna, a zarazem niezwykle trudna. Toż, aby zrealizować ów plan, szefowie CIA postanowili skorzystać z pomocy mafii amerykańskiej. Pewnych szczegółów na ten temat dostarcza raport komisji senackiej Franka Churcha, znacznie więcej jednak podaje ich Georg Crile, dziennikarz z „Harper's”, przygotowujący właśnie książkę o działalności CIA, a który w swoim studium kontynuując śledztwo zapoczątkowane przez komisję dochodzeniową. Z przedstawionych przezeń faktów wynika, iż ściślejsze kontakty między CIA a wpływowymi członkami mafii zostały nawiązane w 1960 roku, a więc w okresie, gdy CIA zaczęła rekrutować do swych szeregów ludzi ze świata przestępczego. Od początku kontakty te związane były ze sprawą Kuby, wykorzystano bowiem fakt, iż

większość amerykańskich i światowych klanów przestępczych posiadała na wyspie liczne „inwestycje”, które zostały przejęte przez państwo w następstwie dokonanej rewolucji. Wielu spośród ich właścicieli znalazło się za kratkami, pozostali zaś zmuszeni zostali do opuszczenia Kuby. Ci właśnie najbardziej interesowali Centralną Agencję Wywiadowczą, gdyż uważano, że najlepiej nadają się do roli wykonawców jej morderczych planów. Jeśli mówilo się o spisku przeciwko Castro, wymieniano zazwyczaj nazwiska dwóch znanych przywódców mafii: San Giancany i Johna Roselli. W rzeczywistości istniał jeszcze trzeci, który odegrał chyba w całej sprawie rolę najważniejszą, a był nim Santos Trafficante.

Trafficante nadzorował z ramienia mafii jej interesy na terenie południowej Florydy, będąc zarazem jedynym z jej szefów na szczeblu krajowym. Do jego strefy działań należała także Kuba. Po wybuchu rewolucji jako jedyny z przestępczego podziemia przetrwał pierwszy trudny okres. W tym czasie starał się przystosować swą siatkę do nowych warunków i „uratować” jak najwięcej jej członków przed wpadkami w ręce rewolucyjnych sił bezpieczeństwa. Toteż pozyskanie go dla misji przygotowywanej przez CIA było niezwykle ważne. Jego doświadczenia „zawodowe” czyniło też człowieka wprost idealnie nadającego się do przeprowadzenia zamachu na życie Castro. Nic dziwnego więc, iż z tą propozycją zwrócono się właśnie do Trafficante. Był przecież jednym z najważniejszych filarów „syndykatu zbrodni”, a do tego poniósł na Kubie największe straty. Należące doń kasyna na gry zostały zamknięte, a wkrótce on sam znalazł się w więzieniu. Nie ulegało zatem wątpliwości, że kto jak kto, ale ten człowiek miał powody, aby działać na złość Castro. Dla szefów CIA było również logiczne, iż w momencie, kiedy zaakceptuje on ich plany, dni premiera Kuby muszą być policzone.

Pierwotny projekt przewidywał użycie silnie działającej trucizny. Operacja miała mieć miejsce w jednej z wybranych restauracji, gdzie pracowali ludzie Trafficante. Służby techniczne CIA dostarczyły odpowiedniej trucizny. Robert Mahen, koordynujący akcję z ramienia CIA, odszukał uchodźcę kubańskiego i przyjaciela Trafficante, który podjął się przekazania trucizny zaufanemu człowiekowi restauracji w Hawanie.

Było to na przełomie marca i kwietnia 1961 roku, tuż przed inwazją w Zatoce Świń. Projekt spał na panewce. Jedni twierdzili, że stało się to wskutek tego, iż nigdy nie otrzymano rozkazu użycia trucizny, według innych Castro po prostu przestał być w tej restauracji. Najbardziej zdumiewającą wersję przedstawił jednak Scott Breckenridge, wysoki funkcjonariusz Centralnej Agencji Wywiadowczej, badający dossier stosunków CIA — mafia. Zeznał on przed komisją senacką, iż Trafficante współpracował z Castro i to od pierwszego dnia rozpoczęcia przygotowań do spisku. Zgodnie z jego relacją kubańskim władzom bezpieczeństwa udało się pozyskać dla swych celów pewną liczbę uchodźców z Kuby, przebywających w USA. Byli wśród nich również ludzie związani z mafią. W zamian za oddawane usługi otrzymywali pieniądze. Następowo to za pośrednictwem nielegalnej loterii „La Bolita”, w którą grano na terenie Florydy. Ową loterię zarządzali właśnie ludzie Trafficante. Podobno do końca lat sześćdziesiątych wywiad kubański posługiwał się nią dla oplacania swoich agentów w Stanach Zjednoczonych.

Jaką rolę w tym wszystkim odgrywał Trafficante, trudno jednoznacznie stwierdzić. Faktem jest jednak, iż po pewnym czasie wyszedł z więzienia i oczywiście natychmiast opuścił Kubę, udając się na Florydę. Tak rozpoczął się następny etap w jego życiu, który prowadził do José Alemana.

Aleman był najmłodszym, a zarazem najbogatszym spośród przywódców kubańskiego podziemia, którzy w 1957 roku kierowali szturmem na pałac dyktatora Fulgencio Batisty. Jego ogromna fortuna w większej części znajdowała się na Florydzie. Alemań był bowiem właścicielem wielu hoteli od słynnego Tradewings Motel w Miami, gdzie często zbierali się bliscy współpracownicy Castro — do Miami Stadium. Gdy na Kubie wybuchła rewolucja, José Aleman powrócił na wyspę, jednak po upływie roku ponownie opuścił jej terytorium.

Tym razem już jako uchodźca, przeciwnik Castro. Zaraz po przybyciu do USA czekała nań niespodzianka w osobie George'a Davisa, agenta FBI. Okazało się, iż będzie się musiał udać do Chicago, aby wystąpić w roli świadka w procesie przeciwko jednemu z przywódców mafii, Normanowi Rothmanowi.

Aleman, który utrzymywał bliskie kontakty z mafią, znał Rothmana od 1958 roku. Wówczas, kiedy okazało się, że jego majątek jest poważnie zagrożony, postanowił się ratować podjęciem jakiejś akcji przeciwko władzom rewolucyjnym. W tym celu nawiązał kontakt z Rothmanem, proponując mu wprowadzenie do obiegu znacznej ilości fałszywych pieniędzy, co miało wytworzyć sytuację, z którą gospodarka kubańska nie mogłaby się uporać. Norman Rothman przystał na ów projekt, w zamian jednak zażądał utrzymania swoich interesów w nielegalnych kasynach gry, lecz Aleman odrzucił jego ofertę. Toteż teraz, gdy ponownie znalazł się w Stanach Zjednoczonych, starał się za wszelką cenę

I rzeczywiście kontakty Alemana z funkcjonariuszami FBI od czasu procesu w Chicago były utrzymywane regularnie, dzięki czemu władze zapewniły sobie stały dopływ informacji o uciekinierach z Kuby, a także o ludziach, którzy pracowali dla Castro. W tym właśnie okresie José Aleman przeprowadził serię spotkań z Santosem Trafficante, który również przebywał w Stanach Zjednoczonych.

Ale oto umiera ojciec José Alemana. Jego druga żona, będąca macochą José, zostaje spadkobierczynią praktycznie całej fortuny. Aby zwrócić dług, Aleman zostaje zmuszony do sprzedaży „Tradewings” i „Stadium”. Pozostaje mu tylko „Scott Bryan Motel” w Miami Beach, mały, trzypiętrowy hotelik, który odtąd jest jego jedynym kapitałem. Sytuacja przedstawia się więc raczej niezbyt różowo. Toteż, gdy pewnego września dnia 1962 roku jeden ze starych kompanów Alemana, który wynajmował apartament w „Scott Bryan” powiedział mu, że chce się z nim widzieć Trafficante, wstąpiła weń nadzieja. Nie na próżno,

tam apartament. Dzięki temu Aleman miał okazję go obserwować. Częstości gości Trafficante były najwybitniejsze figury mafii, a między innymi Angelo Bruno z Filadelfii. José nie bardzo rozumiał jego grę, ale wykonywał, co mu kazano, mając nadzieję, iż niebawem otrzyma obiecane pieniądze.

W okresie ostatnich miesięcy 1962 r. i pierwszej połowy 1963 r. Aleman zwrócił uwagę na trzech emigrantów kubańskich, których znał jeszcze z Hawany, a którzy obecnie pojawili się w „Tradewings”. Podejrzuwając, że mogą to być agenci Castro, niezwłocznie powiadomił o tym FBI, ale Federalne Biuro Śledcze nie wykazało specjalnego zainteresowania wiadomością Alemana. Pod koniec października 1963 roku ten sam emigrant kubański, który przedstawił go Trafficante, zażądał, aby Aleman podpisał petycję skierowaną przeciwko osobie Johna Kennedy'ego. Ten, nie zastanawiając się długo, podpisał, lecz wkrótce żałował swego kroku, zwłaszcza, gdy ujrzał ów tekst opublikowany w kilku kubańskich dziennikach ukazujących się na Florydzie.

W dniu, w którym dokonano zamachu na prezydenta Kennedy'ego, José Aleman przypomniał sobie słowa wypowiedziane przez Trafficante. Zresztą nie tylko on. Oto bowiem wkrótce złożył Alemanowi wizytę dwóch agentów FBI, którzy wraz z nim przeanalizowali dokładnie sens wypowiedzi Santosa Trafficante. Na koniec zabronili mu mówić o tym komukolwiek, jak również polecieli utrzymać informację o ich wizycie w ścisłej tajemnicy.

Czy zatem między zamachem na Johna Kennedy'ego a przygotowaniem do spisku na życie Castro istniała jakaś wspólna więź? Choć brak na to jednoznacznej odpowiedzi, to przypadek Trafficante pokazuje wyraźnie, że nie można takiej ewentualności wykluczyć. Za tego rodzaju hipotezę przemawia poniekąd niezwykle intrygujący dokument, jaki dyrektor CIA przesłał do Komisji Warren. Wynika z niego, iż w cztery dni po dokonaniu zamachu na prezydenta Kennedy'ego w ambasadzie USA w Londynie doszło do spotkania angielskiego dziennikarza, Johna Wilsona, z pewnym Amerykaninem, organizatorem nielegalnych gier hazardowych o imieniu Santos. Ową osobę nie mógł powrócić do Stanów Zjednoczonych ze względu na ciągnące na nim wyroki skazujące. Okazało się także, że podczas jego pobytu w kubańskim więzieniu odwiedzał go tam między innymi fa. et o nazwisku Ruby (!).

Ale po co Ruby jeździł na Kubę i co łączyło go z Santosem Trafficante, nadal pozostawało tajemnicą. Wyjaśnić ją mogłyby jedynie zeznania dwóch kompanów tego ostatniego: Johna Roselli i San Giancany. Komisja Churcha mogła jednak przysłuchać tylko jednego z nich, mianowicie Johna Roselli. Giancana bowiem został zamordowany niemal w przeddzień składania zeznań. Już jednak to, co ujawnił Roselli, wystarczyło w zupełności, aby uświadomić sobie skalę działań oraz arseniał środków, jakimi posługiwała się w swych tajnych operacjach Centralna Agencja Wywiadowcza. Tak więc okazało się, że próby pozabawienia życia premiera Kuby podejmowane były, co najmniej osmiokrotnie. W 1960 i 1961 roku środkiem do celu miała być trucizna botulinowa, zawarta w cygarach, które zamierzano podarować Castro. Na początku 1963 roku, tzw. „Task Force W”, złożona z emigrantów kubańskich, a kierowana przez Desmonda Fitzgeralda, miała zgładzić Castro za pomocą spreparowanego skorupki, z silnym ładunkiem wybuchowym, który miał eksplodować w chwili, gdy premier Kuby będzie się kąpał w morzu. Inny plan, opracowany przez Jamesa Donovana (prowadził on z Fidelem Castro pertraktacje na temat wymiany jeńców po inwazji w Zatoce Świń) przewidywał podarowanie Castro zatrutego stroju pletwonurka (notabene strój ten nigdy nie opuścił laboratorium). Flaskami zakończyła się również próba dostarczenia przywódcy kubańskiemu zatrutych pigulek, w której to operacji pośrednikiem był John Roselli. A już wręcz na ironię zakrawa fakt, iż, jak podaje raport komisji senackiej, „tego samego dnia, gdy prezydent Kennedy został zastrzelony w Dallas, funkcjonariusz CIA dał pewnemu Kubańczykowi zatrute pióro do wykorzystania przeciwko Castro, podczas gdy w tym samym czasie wysłannik prezydenta Kennedy'ego spotykał się z Castro, aby znaleźć możliwości poprawy stosunków”.

Widać więc niezbicie, jak silne i liczne były powiązania, które łączyły CIA z mafią oraz jak wielkich sił i środków użyto, aby zlikwidować znienawidzonego przeciwnika (w akcjach CIA przeciwko Kubie brało udział 400 oficerów i 2000 agentów kubańskich, jednostki morskie, lotnictwo oraz siły paramilytarne).

A jak w świetle tych wszystkich faktów brzmi konkluzja komisji senackiej na temat roli odegranej przez Central Intelligence Agency? Raczej szokująco, choć zarazem zabawnie, głosi ona bowiem, iż „mafia po prostu wystawiła CIA do wiatru, a całą rozgrywkę prowadziła po to, aby zyskać opiekę wywiadu przed antymafijną działalnością FBI”.

ANDRZEJ BLAJER

# SOJUSZ W ZBRODNI

uniknąć konieczności występowania w charakterze świadka w procesie Rothmana, ale FBI zagroziła mu, iż jeśli odmówi, wówczas rozpocznie przeciwko niemu śledztwo w sprawie nielegalnego handlu bronią. Początkowo stosunki Alemana z FBI układały się, jak widać, raczej niezbyt dobrze, George Davis wspomina nawet, iż podjęto kroki w celu zamknięcia jego głównego lokalu „Tradewings”. Ale pod koniec 1958 r. zaszło coś, co dokonało zasadniczej zmiany nastawienia władz wobec tego człowieka. Tym czymś była informacja, jaką Aleman przekazał Departamentowi Stanu, a która dotyczyła osoby Fidela Castro i jego przynależności do partii komunistycznej. Jeden z ludzi Alemana, mający kontakty z „rewolucjonistami” w „Tradewings”, dostarczył FBI raport ośnośnie struktury Komunistycznej Partii Kuby. Teraz więc Aleman mógł spokojnie pojechać na proces do Chicago.

Stosunki z FBI stały się odtąd niemal idylliczne. Miano do niego zaufanie i pokładano w nim wielkie nadzieje. Był przecież doskonałym źródłem informacji, człowiekiem, który jak nikt znał wielu uchodźców z Kuby, przeciwników Castro, ich poglądy, a co najważniejsze — odgrywał poważną rolę w ich wspólnotce. Nic dziwnego więc, iż Davis mógł o nim powiedzieć: „José to naprawdę bardzo dzielny facet. Można na niego liczyć”.

gdy Trafficante rzeczywiście obiecał mu pomóc wyjść z kłopotów finansowych, tak się bowiem złożyło, że José Aleman był kuzynem Garcii Bango, adwokata, który bronił Trafficante w procesie w Hawanie. W ten sposób chciał on spłacić swój dług wdzięczności. Niebawem więc Aleman dokładał za swój motel sumę 1,5 mln dolarów i propozycję wybudowania na jego miejscu dwunastopiętrowego wieżowca ze szkła i metalu. Ale nie tylko ta sprawa była tematem spotkania. Jak wspomina Aleman, Trafficante mówił również dużo o demokracji i swobodach indywidualnych, o Kennedy'ch, że nie są to ludzie uczciwi, bo nie dotrzymują słowa, narzekał na ich politykę, na końcu zaś dodał: „Zwróć uwagę na to, co ci teraz powiem: ten Kennedy wpadnie wreszcie w tarapaty, z których nie wybrnie”. W odpowiedzi Aleman stwierdził, że jest przekonany, iż John Kennedy zostanie ponownie wybrany na prezydenta, lecz Trafficante zaśmiał się tylko i powiedział: „Nie, José, nie zostanie, w odpowiednim momencie dosięgnie go przeznaczenie”. Zaraz po tej rozmowie Aleman zrehabilitował jej przebieg funkcjonariuszom FBI, ci jednak wykazali zainteresowanie tylko propozycjami handlowymi Trafficante.

Tymczasem ten ostatni uczynił ze „Scott Bryan” swoją kwatery główną, za każdym razem, gdy miał do załatwienia jakiejś sprawy, wynajmował

# TRUDNY START JACKA GMOCHA

Po odległych już olimpijskich wrażeń i emocjach, po sezonie urlopowym, można odnieść jakże złudne wrażenie, że na boiskach i stadionach nie czekawego się nie dzieje, że jest nudnawo i spokojnie. Zauważ, życie sportowe płynnie jakby wolniej, mniej jest spotkań, mniej sensacji, ale przecież Jacek Wszola stał się rekordzistą Europy i rozpoczęły się eliminacje do mistrzostw świata w piłce nożnej. Mieliśmy też pełne wrażeń spotkania piłkarskie w całej serii różnych pucharów, w których to spotkaniach znakomicie spisali się krakowska Wisła, czego nie można powiedzieć o mieleckiej Stali. Wisła pokazała, że w naszej piłce nożnej nie wszystko jest nijakie, że klubowe reprezentacje mogą zdobyć się na międzynarodowe sukcesy. To prawda potwierdził również wrocławski Śląsk, chociaż jego przeciwnicy nie można zaliczyć do najsilniejszych. I Wisła i Śląsk pierwsze pucharowe sukcesy mają już poza sobą, teraz pora na następną. Jak będzie, zobaczymy.

Mimo że w różnych dziedzinach sportowych wiele dzieje się różnych rzeczy, a przede wszystkim rozpoczęły się normalne ligowe rozgrywki, to na pierwszy plan wysuwa się piłka nożna. Nasi piłkarze rozpięli kibiców do niemożliwości, dostarczając im najprzeróżniejszych wrażeń i tych dobrych i tych złych, tak że teraz, w przededniu eliminacji do mistrzostw świata, kibice zastanawiają się nieustannie nad tym, jak to będzie w Porto? Wygramy? Przegramy? Zremisujemy?

Jacek Gmoch, obejmując kierownictwo polskiej reprezentacji piłkarskiej, zrobił to, co trzeba było zrobić już dawno, a na co — po prostu — nie stać już było Kazimierza Górskiego. Kazimierz Górski stworzył i zamknął chwalebny i heroiczny rozdział w dziejach polskiej piłki nożnej. To przecież reprezentacja, kierowana przez Kazimierza Górskiego, wyeliminowała Anglię z mistrzowskich rozgrywek, przeszła przebojem aż po srebrny medal i trzęsienie nieba na świecie. Tęto się wówczas nikt nie spodziewał. A to stało się faktem i ten fakt musi ciążyć na wszelkich poczynaniach Jacka Gmocha. Do swojej pracy trenerskiej nie startuje on z pozycji zerowych, kiedy drużyna ma wszystko do stracenia i wszystko do zyskania. Przeciwnie, startuje z pozycji, która nakazuje albo utrzymać to, co już mamy, albo wspinać się wyżej. Jacek Gmoch jest zbyt inteligentny na to, aby nie zdawał sobie dokładnie sprawy z sytuacji, w jakiej się znalazł i on, i polska reprezentacja. Tym bardziej że ta drużyna, która wywalczyła srebrny medal w Monachium dawno już przestała istnieć. A więc prawie wszystko trzeba zacząć od nowa.

Do decydujących rozgrywek w Argentynie jeszcze bardzo daleko, tylko że, aby tam się znaleźć, trzeba po drodze pokonać wiele przeszkód, wyeliminować rywali, którzy nie będą mieli litości i sami będą dążyli do eliminowania przeciwników. Jacek Gmoch nie miał wiele czasu na przygotowanie drużyny do pierwszego starcia, które ma i będzie miało ogromne znaczenie. Również psychologiczne. Wygrana w Porto pozwoli dalej startować z poczuciem siły i własnego znaczenia drużyny. Przegrana zmusi do zacykania znowu wszystkiego od nowa. Nie przypuszczam, aby Jacek Gmoch nie zdawał sobie z tego sprawy.

Wszystko nosi znamiona ciszy przed burzą. Nikt się nie wyraża, nie porokuje, nie wieszczę, nie tworzy hokosopów. Wszyscy spokojnie czekają. Nagle okazało się, że nie ma mądrych. Wprawdzie w reprezentacji znaleźli się współwzrosty poprzedniego sukcesu, ale czy zechcą współpracować z nowymi, czy ta współpraca okaże się skuteczna? Niech się tylko naszym nozom podwinie w Porto, to zaraz okaże się, że mądrych bywa tysiące i huza na Jacka Gmocha. A nowy trener kadry narodowej zrobił tylko to, co trzeba było zrobić już dawno, zaraz po mistrzostwach świata w Monachium. Zaczął budować nową reprezentację. Bohaterowie dość często bywają zmęczeni. Zdarza się, że zaczynają marzyć o zupełnie innych celach niż dalsza gra w reprezentacji. I każdy trener musi zdawać sobie z tego sprawę, musi znaleźć sposób na rozwiązanie tej sprzeczności.

Kazimierz Górski — zarówno w najlepszym, jak i w najgorszym okresie dla reprezentacji piłkarskiej Polski — pokazał jak wiele zależy od trenera. Pokazał to również Hubert Wagner w zupełnie innej dyscyplinie sportu, wynosząc siatkówkę polską na wyżyny mistrzowskie i olimpijskie. W zupełnie innej skali pokazuje to Leszek Jezierski, który po objęciu kierownictwa nad pierwszoligowym zespołem EKS dokonał niemal cudownego przeobrażenia. Piłkarze EKS zaczęli nagłe strzelać gole, pokazali, że nie zawsze muszą paletać się po dolnych rejonach ligowej tabeli. Nadszedł czas, kiedy oklaskuje się nie tylko zawodników, ale i trenerów. Nadszedł czas, kiedy mówi się nie tylko o rewelacyjnym strzale Kazimierza Dejny — ale przede wszystkim o koncepcjach Jacka Gmocha. I jest to dobry czas, bo zaczyna się w nim cenić nie tylko sprawność i sumienność w przygotowaniu zawodnika, ale i szare komórki, które powodują, że ta sprawność jest w należyty sposób wykorzystywana. Jacek Gmoch nie ma łatwego startu, ale wierzę w Jego szare komórki.

BOGDA MADEJ

# POWIEŚĆ W ODCINKACH

(10)

— Wróćmy do tej niestosowności, signor maggiore.

— Słucham, patrioto.

— Żołnierze raz-dwa pozrywają zdjęcia, które pan porozwiesza. Już się to kiedyś zdarzyło: opluli, przeproszą za wyrażenie, nie tylko rodzinę królewską, ale nawet Mussoliniego... Tej hańby i plugawych słów oszczędzili jedynie królowej.

— Dlaczego właśnie jej?

— Pewnie dlatego, że jest kobietą i że jest stara.

— Mógłbyś sobie przypomnieć nazwiska tych buntowników? — spytał cicho kapitan Brambilla. — Tych komunistów. Naturalnie za wysoką nagrodą.

— Nie warto go prosić o takie rzeczy — wtrącił szybko major. — Niedawno mi oświadczył, że nade wszystko nienawidzi donosicielstwa. Musi pan znaleźć kogo innego, kapitanie.

— Był między nimi pewien maresciallo? — powiedział Malicé.

— A ty czemu nie płuś? — niemal poważnie spytał Antonio.

Chytry uśmiech zaigrał wokół ust Malicia.

Augusto Napolitano ze swoją piosenką stanął pomiędzy Pedutem i Brambillą. Majora ogarnął lekkidzięk. Pierwsze dźwięki gitary złaźły kapitanowi; żeby się nie rozplakał, ściągnął brwi i wyduł wargi. Z ust spiewaka po raz nie wiadomo który popłynęły słowa:

Amato mio, 'sta notte o maí,  
Mi bacerai, ti bacerò...<sup>2)</sup>

Kapitan przypomniał sobie o Marice i pułkownikowi. W duchu porównywał jej ciało z imponującymi udami na ścianie. Pomyślał, że nawet jako chłopak nigdy nie był tak bardzo zakochany i zazdrosny. Oburzył go zapamiętały chichot majora; zacisnął pięści. Oczy miał pełne nagości i łez.

Antonio łagodnie odepchnął Augusta Napolitano. Powiedział, że takim gitarzyscie nie przystoi śpiewać tych cichliwych, rzewnych i niedobrych piosenek; poprosił go, żeby przynajmniej do końca wojny śpiewał tylko swoje uroczyste, znane całej dywizji „Wenecja” porcherie<sup>3)</sup>. Żołnierz pokazał w uśmiechu metalowe zęby i przyznał się do winy.

— Zdjęcia, o których mówiłem, rozlepimy zaraz — zwrócił się Antonio do Malicia.

Karczmarz znowu zbladł.

— Jeśli cokolwiek z nimi się stanie, oddam cię pod sąd wojenny — powiedział niezbyt przekonująco major. — Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Pora, żebyś i ty podkreślił tutaj w jakiś sposób nadzieję i obecność twoich szlachetnych wyzwolicieli.

— Z czego nas wyzwoliliście, signor maggiore?

— Wiadomo, jaką wolność i szczęście przynoszą Włosi — powiedział Antonio wskazując oczyma goliznę na ścianie. — Mam nadzieję, że pilnując swojej i mojej kolekcji coś wreszcie zrozumiesz.

— Jeszcze jedną mocną?

— Tak, ale nalej też kapitanowi.

— Już się upilem, signor maggiore — powiedział Vittorio Brambilla.

— Zanim się pan upije na dobre, proszę pójść do pana pułkownika. Na jego biurku leży spora sterta fotografii i rozmaitych materiałów propagandowych. Niech go pan poprosi, żeby nam dał wszystko. Tutaj wybieramy to, co najbardziej i najbardziej symboliczne.

Ledwie dostrzegł ją Iza zwilżyła rzeszy Brambilli. Kapitan zawstydził się tego i podniósł głowę. Głos mu zadrzął.

— Pan pułkownik nie zechce mnie przyjaść.

— Zechce, gdy się dowie, kto pana przysłał.

— Pan pułkownik jest wyjątkowo zajęty — powiedział Vittorio Brambilla i poczuł, że jeśli choć raz jeszcze otworzy usta, haniebnie się rozplacze.

Augusto Napolitano z poczuciem winy spojrział na Antonia. Po tem, z bolesnym grymasem na siniych wargach, zaczął szeptać nad uchem kapitanowi:

— Quanto ti voglio bene...  
Queste parole d'amore...<sup>4)</sup>

— Powiedz najgłośniej, jak tylko potrafisz, że się z mną sfofografujesz — przypomniał poprosiła Marika. Pułkownik młzezał.

— Jeżeli nie obiecasz, nic z tych rzeczy.

— Chociaż trochę, Marika — powiedział Allegretti. — Porchino<sup>5)</sup>, pusć mnie niżej.

— Sfofografujemy się przed Komendą i kolo czołgu — oświadczyła Marika. — Ale chce, żeby w te były druty, bunkry i umocnienia. I nasze piękne sztandary.

— A po co ci to, najdroższa? — spytał Spartaco zmienionym głosem.

— Po to, że w odróżnieniu od innych dziewczyn myślę o przyszłości. Gdy zwyciężycie, te fotografie będą dla mnie wiele znaczyć, będzie na nich widać, żeśmy się nie rozdawali, że w najtrudniejszych chwilach dzieliliśmy zło i dobro. Prawda, calabrone<sup>6)</sup>.

— Pewnie masz zdjęcie podobnych zdjęć? — szepnął z nizin pułkownik.

— Nie takie znowu stopy, ale mam — powiedziała szybko dziewczyna, a potem, głaszcząc go, zaczęła wyliczać: — Najpierw sfofografowałam się z pe-

wnym żołnierzem, zaraz po wkroczeniu waszych wojsk. Słodki był, nie rozdawali się przez trzy tygodnie. Jedno, tylko jedno zdjęcie mam z kapralem Pietro — rzuciłam go natychmiast, gdy poprosił o moją rękę. Potem był ten porucznik, który zginął. Potem major Peduto: z majorem sporo się sfofografowałam. Ale też szybko przestałam w nim gustować. Dowiedziałam się, że ma mnóstwo nieślubnych dzieci, nawet we Włoszech, że lubi grać w karty, a dziewczynom obiecuje ślub i Rzym... poza tym ciągle wyjmował notatnik, zapisywał moje wyrażenia i powiedzonka, a sam co trzecie albo czwarte słowo świntuszył i przeklinał. Najbardziej kochałam Enza, pułkownika Fabiani. Byliśmy nawet zaręczeni. Szykowałyśmy się do ślubu, ale wszystko nam popsuły rozuchy w Grecji. Musiałam się z nim rozstać. Ostatnie jego słowa brzmiły: „Aniele czarnogórski, idę uspokoić greckich łobuzów. Może tam zginę...” Ponieważ nawet nie dał znać, a cóż dopiero mówić o przyjeździe albo jakiejś paczce dla mnie, odeszłam od niego. A sfofografowałam się cudownie! Kiedyś uzbroił mnie po zęby,

miękkie futerko. Potem, nisko spuściwszy głowę, powiedział głosem straceńca:

— Zgadzam się na wszystko, laszczko moja... na wszystko...  
\* \* \*

Kapitan Vittorio Brambilla patrzył, jak major Peduto przechylił się nad ladą i lekko poklepał Malicia po ramieniu. Poczłuszył, że karczmarz się odsuwa, Antonio wykrztusił:

— Ty, Montenegro, myślisz pewnie, że ja też jestem patriotą?

— Nawet jeżeli tak, to nie mam panu za złe. Każdy powinien być patriotą, gotowym zginąć za wielki, święty cel.

— A tobie to na co? — powiedział Antonio próbując przyciągnąć go ku sobie. — Ty masz karczmę, i tyle. Kichnij na te światowe problemy, na faszyzm i komunizm, na wszystkie inne głupstwa. Patrz, żeby jak najwięcej zarobić, i uspokój się trochę. A nam pozwól odwalić czarną robotę, bić się.

Kapitan Vittorio zapamiętał słowa majora, chociaż udawał, że nie słyszy. Nie mógł nie zauważyć, że Antonio jeszcze bliżej nachylił się do bła-

wego niegodziwego zamiaru. Jesteście moimi metaforami!

Upił się jak bela i nie wie, co wygaduje! On i jego plugawe metafory! — złośliwie pomyślał urażony Brambilla. — Jak może mu się podobać stuknięty Montenegro, który bezwstydnymi fotografiami ozdobił ściany swojej nory, albo ten chór z południa, ten Calabrese otoczony gównem.

— Przyjacielu — major wyciągnął do Malicia rękę z butelką. — Podejdz, chcę cię uściśkać. Zyczyć ci szczęścia i powodzenia. Przede wszystkim, żebyś przeżył tę seksualną, plugawą, skazaną i głupią wojnę i żebyś się okrutnie wzbogacił. A jeżeli wyjdę z głową, brodą i skórą, żebyś mnie zaangażował jako portiera w jednym z swoich przyszłych burdeli.

Gdyby mógł, kazałby żołnierzom, żeby go wyprowadzili — pomyślał kapitan Brambilla patrząc, jak major chwycił się na nogach. — Jasnę, że się wykończysz, ty lotrze, bandyto. Nie zasługujesz na swoją rangę i tyle medalu. Musisz odpowiedzieć za to, co tu nawygadywałeś. Bokiem ci wyjdzie, że — co prawda bez skutku — krecieles się kolo Mariki, kiedy już była moją narzeczoną. Wiem, jak się podkłada świnię: napisz do Sztabu Głównego o tym, co się wyprawia w Czarnogórze, w Grecji i Albanii — i trafisz na listę razem z sycylijskim włochatym potworem, który zwie się Spartaco Allegretti. Kumaj się tylko dalej z tym niebezpiecznym czarnogórskim karlem i komunistą!

— Carissimo — ciągnął major, z oczyma pełnymi gwiazd i łez — naprawdę chcę ci pomóc. Bo ty jedyny w tak haniebnych czasach uczciwie zarabiasz na chleb... jedyny dajesz sobie radę w tych mroczkach pornografii!

Vittorio Brambilla i Gruban Malicé popatrzyli na siebie ze zdumieniem.

— Tak — ledwo wykrztusił Antonio, pociągawszy z butelki — ta kudłata, ruda i brudna małpa, z niezasiłowaną rangą majora na rękawie, wszystkim pragnąłby pomóc. Chcę, żebyś jako jedna z moich najwskześniejszych sympatii i metafor... wiesz, wiesz ty, co to metafora, nie ściągał brwi... chcę, żebyś wyniósł się z tego pustkowie, na którym nawet wilki z trudem sobie radzą. Ani dla mnie, ani dla ciebie nie jest kraj, w którym ludzie są posepni, chętni do noża i karabinu. Dla ciebie jest moja Italia, kraj, gdzie z zachwytem, z najgłębszym smutkiem i ze łzami w oczach śpiewa się o zasranych kobiecych majtkach i o łózkach. A jako że na szczęście jesteś kawalerem, mam dla ciebie jedną z moich kuzynek. Niedawno odumarał ją rodzice. Spadek na niemały, ale nie zdołałem się dowiedzieć, co jej pozostawili. Dała mi znać, że opuszcza prowincję, wyjeżdża do Mediolanu. Napisalem jej o tobie i już, jak tu kobieta, żąda fotografii. Wkrótce też przyśle swoją — szuka podobno najlepszego fotografa. Gotowa jest przyjechać i zabrać cię ze sobą. A ja chciałbym was jakoś zwiznać, pomóc wam jeżeli już nie materialnie, to przynajmniej moralnie. O... pomogę wam otworzyć pierwszy domek publiczny!

Malicé ledwie nie upuścił tacy z kiełiszkami. Kapitanowi Brambilli nie pozostało nic innego, jak tylko napić się z butelki, którą wyciągał ku niemu drżącą ręką major Peduto.

— Mówiłem ci już — ciągnął Antonio, ze łzami wiszącymi na końcach rzesy — że jest spokojna i słodka. Po prostu owieczka! Będzie cię słuchała. Trzeba na nią tylko krzyknąć. Jedną nogę ma trochę krótszą, bo jak była mała, był jej rogiem wybit budo, ale nie zwracał na to uwagi. Zwłaszcza że sierota odziedziczyła niezłą sumę i że nie jest niewinna.

Malicé z trudem opanował wzburzenie. Ustawił na ladzie butelki i powiedział, że jego zdaniem żenić się, gdy ojczyma jest w niebezpieczeństwie, to rzecz niemoralna. Potem sam pociągnął z butelki majora.

— Pobożna jest — powiedział major i omal nie trzasnął czołem w ladę. — Calami dniami się modli i przeklina tego, kto pierwszy ją wydmuchał... Przypatrując ci się, dopiero teraz rozumiem, co macie podobnego: oczy prawie takie same — duże, smutne, czarne, z kawowymi cętkami. Rzesy też, i może nawet brwi, które wam obojgu spacerują po czołach... Jeżeli więc otworzycie domek publiczny, ten pijański oficer, wykołojeniec i szuler będzie nie tylko najczystszy gościem; pokazywać będą klientom swój stopień wojskowy na ramieniu i order, opowiadać im będą o naszych podobojach, a wszystko po to, żeby i tam pornografia i włoska sława były na jednym miejscu.

— Mniej więcej to samo — odparł Antonio i dał się ponieść entuzjazmowi. — Tylko że słowo pornografia jest ładniejsze i wszechogarniające. Nie ma krótszego a bardziej wzniosłego słowa, które by zawierało tyle treści. Pornografia to, na przykład, życie i miłość, i śmierć. Cóż za słowo! Jeszcze jeden kiełiszek, ale mocniejszej!

Nalewając Malicé trochę się odsunął. Antonio do rozpalonych warg przytknął szyjkę butelki. Odrzucił do tyłu głowę i napił się z lubością. Po czym, marszcząc czoło i ściągając rude brwi, wybelkotał:

— Mam do ciebie olbrzymią słabość, oczywiście pornograficzną. Jesteś mi drogi, i nie chcę pokłócić się z tobą o żaden patriotyzm. Lubię cię tak samo, jak wartownika Paolone przy czołgu. Może trochę inaczej. Bez was obu nie mógłbym urzeczywistnić pew-

dego karczmarza z marsem na czołe i powiedział:

— Daj sobie spokój z patriotyzmem i polityką. Jeżeli nie usłuchasz, wykończysz się. Ja też się wykończę, wkrótce, ale to co innego; przynajmniej dobrze mi płacą. I awansują bę litości. Gdy wybuchła wojna, podobnie jak pozostałe trzydziści milionów Włochów, byłem wyciecznym maresciallo. Jeżeli tak dalej pójdzie, zginę prawdopodobnie jako generał. Pomyśl tylko: ja i generał! Niesamowite, co? Ja, który poza seksem i poezją niczego nie widzę na tym ohydny świecie. Po prostu ironia! Ironia! — zakończył major i z całej siły lupnął pięścią w ladę.

— Co to jest ironia? — spytał pobladły Malicé. — Nigdy nie słyszałem tego słowa.

— Wszystko, co widzisz, łącznie z tobą i ze mną — odrzekł major. — A zwłaszcza kapitan Brambilla.

— Czy to jest samo, co pornografia? Bo z tym słowem też się jeszcze nie oswoilem.

— Mniej więcej to samo — odparł Antonio i dał się ponieść entuzjazmowi. — Tylko że słowo pornografia jest ładniejsze i wszechogarniające. Nie ma krótszego a bardziej wzniosłego słowa, które by zawierało tyle treści. Pornografia to, na przykład, życie i miłość, i śmierć. Cóż za słowo! Jeszcze jeden kiełiszek, ale mocniejszej!

Nalewając Malicé trochę się odsunął. Antonio do rozpalonych warg przytknął szyjkę butelki. Odrzucił do tyłu głowę i napił się z lubością. Po czym, marszcząc czoło i ściągając rude brwi, wybelkotał:

— Mam do ciebie olbrzymią słabość, oczywiście pornograficzną. Jesteś mi drogi, i nie chcę pokłócić się z tobą o żaden patriotyzm. Lubię cię tak samo, jak wartownika Paolone przy czołgu. Może trochę inaczej. Bez was obu nie mógłbym urzeczywistnić pew-



bohater na ośle

MIODRAG BULATOVIĆ

Rys. J. Szymański — Glanc

(cdn)

Przełożyła:  
DANUTA  
CIRLIĆ-STRASZYŃSKA

1) Chorazy.  
2) Kochany mój, tej nocy albo nigdy.  
3) Pocałuj się, pocałuj się...  
4) Świństwa.  
5) Jak bardzo cię kocham...  
6) Te słowa miłości...  
7) Prosiaczku, świniaczku.  
8) Trzmieliu.

## ZDARZENIA i ZWIERZENIA

# CHOROMAŃSKI

Właściwie nie wiadomo czemu Michał Choromański nie cenil swoich „Memuarów”. A chyba ich nie cenil, bo przeciez nie zdecydował się za życia na publikację tego fascynującego zbioru wspomnień. To znaczy — ściślej — na publikację książkową. Dopiero teraz, po dziesięciu latach, wyrzucem wycięte z „Przekroju” opowiesci wspomnieniowe Choromańskiego. Ich miejsce zajął książka.

Nie są to jednak pamiętniki w ścisłym znaczeniu tego słowa. Jak zawsze w twórczości tego pisarza jest w nich mgielka tajemnicy, niedopowiedzenia, półaluzje i sugestie, owa nieco nie-realna atmosfera, trochę mroczna i zagadkowa.

Choromański był pisarzem fascynującym. Debiutował małą znaczącą zapewne powieścią „Biali bracia”, której nie znam i której sam pisarz zbyt nie cenil. W każdym razie nie wznowiono jej ani razu i dziś — po prawie pięćdziesięciu latach — jest już trudno dostępna.

W dwa lata po debiucie wydał słynną „Zadrosć i medycyna”, za którą otrzymał Nagrodę Młodych Polskiej Akademii Literatury. Przez następane lata pozostał już tylko autorem tej głośnej powieści. Na hasło „Choromański” możliwy był tylko jeden odzew — „Zadrosć i medycyna”. Tak to trwało przez ćwierć wieku.

Michał Choromański znalazł się w latach wojny na Zachodzie, potem wyemigrował do Ameryki Południowej, następnie do Kanady. Nie wiem czy pisał wówczas, czy wydawał, choć raczej wątpię. Ale musiały wówczas — w tym przerażającym, nostalgicznym oddaleniu — powstawać zamysły jego późniejszych książek, powieści i opowiadań fascynujących nastrojem i siłą ekspresji.

Potem bowiem następuje sytuacja niezwykła. W roku 1958 Michał Choromański wraca do Polski, zamieszkuje w Warszawie, ale żyje na uboczu ówczesnego życia literackiego. W zaciszu swojego gabinetu zaczyna

po dwudziestoparoletniej przerwie pisać na nowo.

I jest to twórczość zdumiewająco konsekwentna. Nie jest to żaden „nowy Choromański”: w każdym zdaniu, w każdej scenie, każdej intrzydze znać styl i mistrzostwo nastroju autora „Zadrosći i medycyny”. A jednocześnie jest to na wskroś oryginalna, ciągle zaskakująca proza. Choromański nie powieła samego siebie, wciąż poszerza obszar swoich pisarskich wizji — wspomnień.

Może dlatego nie chciał za życia zebrać w książkę, pisanych dla „Przekroju” memuarów, że w swojej wielkiej prozie bezustannie eksploatował własne wspomnienia?

W ciągu czterech lat swojej pisarskiej biografii spisywanej w warszawskim mieszkaniu a wydawanej z podziwu godną konsekwencją w jednym tylko wydawnictwie — w Poznaniu — napisał Choromański cztery nacie książki. Z reguły były to opasłe księgi, sięgające rzadko 500 stron. Najgłośniejsze z nich to „Schodami w górę, schodami w dół”, „Słowacki wspaniałokrwisty”, „Koty beethovenowskie”, „Różowe krowy i szare scandale”, „Głównictwo, molitwa i praktykarze...”

Miał Michał Choromański swoich wiernych czytelników, do których zalicza się i niżej podpisany. Oprócz wspomnianych „Białych braci” i tomu dramatów przeczytałem wszystkie jego książki. Krytyka początkowo jakby nie zauważała pisarstwa Choromańskiego. W połowie lat sześćdziesiątych tylko jeden, jedyny krytyk (Wacław Sadowski) zauważył jego wydaną wówczas powieść „Dygresje na temat kaloszy”. Była to recenzja w gazecie codziennej, Prasa literacka milczała.

Ale już na początku lat siedemdziesiątych poszczególne książki Choromańskiego mają obszerną bibliografię krytyczną. Recenzenci musieli uznać i zauważyć to niebawem zjawisko literackie i przyjąć do wiadomości fakt, że Choromański nie tylko wciąż pisze, ale że jest czytany.

Niestety — krótko po tym, dwudziestego piątego maja 1972 roku, Michał Choromański umiera w wieku 68 lat. Nie jeszcze pięknych, poruszających wyobraźnię wizji zabrał ze sobą? Jakże pokłady wzruszeń nie została już nigdy odkryta na skutek tej śmierci?

WIDOK

## LEWYM OKIEM

# KANAPA, ALE NIE TA!

O tym, co się dzieje przy zakupie mebli, pisano już nieraz. O komietach pilnujących porządku w kolejkach, czekających dzień i noc na możliwość zaplania się w kolejce do przedpłaty, która będzie zrealizowana za rok z okładem. O polowaniu na klienta przez pokątnych przewoźników, którzy zresztą czasem są właśnie etatowymi przewoźnikami, wożą meble państwowym wozelem, z państwowym kierowcą, w godzinach oplaconych przez państwo, ale z klientem umawiają się i rozliczają najzupełniej prywatnie. Wiedzą o tym wszyscy i nikt nie widzi sposobu ukroczenia procederu. Owszem, sposób jest: żeby klient nie chciał korzystać z takich usług. Ale klient chce, bo chce mieć meble i to przywiezione do domu.

Czasem się tak szczególnie przydarzy, że oto wchodzi człowiek do sklepu i widzi kilka nowych narynkowych kanap do sprzedania od reki. Wszedłem do „Domusa” i zobaczyłem takie kanapy. Trzeba się zdecydować narynkowo, bo za godzinę już ich nie będzie i to nie wiadomo na jak długo. Ściąga się więc telefonizmie żonę z pieniędzmi, trzymając tymczasem straż przy wybranym egzemplarzu. Wybrany egzemplarz ma kolor, który mi się podoba, jest najmniej u-

szkodzony z tych, których jeszcze nie sprzedano, i obejmuje pełny komplet przynależnych ckwizytów i drobiazgów. Płacimy za mebel i za przewóz, ustalamy datę przewozu. — Ale czy otrzymamy ten właśnie egzemplarz? — pytam młodą domusową sprzedawczynię, która zresztą nawet nie umie mi powiedzieć, co się do czego przykreca, co do czego służy, co do czego pasuje. Wzrusza ramionami i odsyła do kierownika.

— Oczywiście, że pan dostanie właśnie tę kanapę. Przecież kładę na niej rachunek. — Ale rachunek można przelożyć. — Zawsze tak robimy, a pan się boi... Wobec tego podpisałem się wewnątrz obydwóch elementów kanapy i wróciłem do domu na czterdziemio oczekiwaniu. Wezwanie bowiem „portfel złecej przewozowych” był już ponoć wypełniony.

W umówiony dzień pędzę do domu, robimy miejsce na mebel, rezygnujemy z kina, zwalniamy się z jakiegoś posiedzenia, czekamy. O północy stwierdzamy, że chyba już nie przyjadą. Idziemy spać.

Na odwrocie rachunku stol napisane jak byk: „Za każdy dzień zwłoki w odbiorze towaru

kupujący płaci sprzedawcy koszt, wynoszące pół procent wartości towaru”. Przy znanych ogólnie cenach mebli, trzy dni opóźnienia to ładne paręset złotych. Ale to płaci nabywca. Sprzedawca nie nie płaci i do niczego się nie zobowiązuje. Tu się kopie do jednej bramki. Sprzedawca umawia termin dostawy, ale go nie dotrzymuje. — Co mu zrobisz? —

Po dwóch dniach (w środku była niedziela) idę do „Domusa”. Kanapa stoi, leży na niej mój rachunek, tylko że to nie jest moja kanapa: nie ma wewnątrz podpisu, usterek jest więcej, brak jednej poduchy. — Dlatego właśnie nie wystaliśmy, że brak poduchy. — Ale kiedy kupowałem — nie brakowało. — To pan nie bierze? — Nie biorę, bo to nie ta kanapa.

— Widzi pan, jacy ci klienci są! Przekładają rachunki.

— Możliwe, ale to mnie nie nie obchodzi. Zamiast zdawać się na samowole klientów zafundować sobie pieczątkę, stemplując meble od wewnątrz numerem rachunku i zamiana nie będzie możliwa. Prawda, jakie to skomplikowane?

Pieniądże „Domus” zwrócił, dając dobrą radę, żebym sobie poszukiwał kanap na Brukowej.

Przepraszam nie było. Przy tak drogiej towarach ten styl handlowania jest możliwy wyłącznie dopóki, dopóki handel jest absolutnym dyktatorem na rynku w danej branży, a klient nie jest klientem, tylko marniutkim pentem.

W imieniu pewnej szkoły dzwonił do „Domusa” z pytaniem, czy są na składzie lawy.

— Nie wiem, tu dyrektor — pada odpowiedź. — Czy są lawy są sprzedawane także za rachunkiem? — Nie wiem, tu dyrektor. — Ale ile kosztuje taka lawa? — Mówiłem panu, że jestem dyrektorem, więc nie wiem. Proszę dzwonić „bod... Dzwonił pod. — Czy są lawy? Nie ma. A czy w ogóle sprzedaje się lawy za rachunkiem? Nie wiem. A ile kosztują takie lawy? Nie wiem. Proszę dzwonić pod... Dzwonił p o d. No, nareszcie w tym trzecim miejscu wiedza. Trzeci miejsce w tym samym sklepie. Ciekawe, czy jest tam jeszcze czwarty telefon i czy jakieś pytania trzeba powtarzać cztery razy.

Zresztą — co tu się dziwić. Sięją w tym sklepie towary, na których już od stycznia leża kartki, że do końca 1976 roku towary te są wyprzedane i sprzedawanie się ich nie będzie. Przez cały rok można zapomnieć o wszystkim. Nawet i to, że to sklep, a nie muzeum do oglądania „modeli prototypowych”.

CWIEK

## PROPOZYCJE

# KTO LUBI KŁOPOTY?

W Stargardzie na targowisku jest kiosk warzywny. Rzecz zupełnie normalna. Zaden powód, aby się tym zajmować. A jednak. Jest to bowiem kiosk stale oblegany przez klientów, gdyż jest dobrze zaopatrzony i to — na dodatek — w warzywa i owoce dobrej jakości. Fakt taki odnotował „Głos Szczeciński” i to bardzo nie spodobało się miejskiej Wojewódzkiej Spółdzielni Ogrodnictwa-Pszczelarstwa. Spółdzielnia ta złożyła więc protest, gdyż jej zdaniem kiosk jest ordynarny i sprzedaje świństwa. Jest to bowiem kiosk prywatny. Zdaniem tejże spółdzielni dziennikarz, który o nim napisał i zrobił zdjęcie został przekupiony. Słowno spółdzielnia się obrażała uznając, że chwytanie i stawianie za przykład prywatnego kiosku jest godzeniem w społeczny interes. Ale gazeta dała odpór niecnym podejrzeniom.

Jakże to typowy przypadek kiedy przy wszelkich próbach krytyki, wtykania braków i niedociągnięć, próbuje się zwekslować sprawę na zupełnie inne tory, odwracając kota ogonem, czyni sprytnie zmieniając temat. Owocem lat obrodziły i nie praktycznie nie stół na przeszkodzie, aby wszystkie kioski z warzywami i owocami były zaopatrywa-

ne w znakomity sposób. W takich warunkach można byłoby raczej myśleć o silnej konkurencji. Ale przecież znacznie łatwiej jest konkurenta nie dostrześć, wychodząc z założenia, iż skoro jest się monopolistą, to klient i tak musi tu kupić. A tu nagle pojawia się niepożądany konkurent i w dodatku chwali go prasa.

Spółdzielnia niewątpliwie ma ogromne zadania, napięty plan i obiektywne trudności, więc całą swoją uwagę musi przede wszystkim na tym skoncentrować, zadanie rzetelnego obsługiwanie klientów odsuwając na plan dalszy. Taki sposób myślenia cechujący nie tylko tę jedną spółdzielnię, jest o znacznie głębszy i znaczący niż wspomniana ktoś kolejarzom niepunktualność. Słusznie czyni Niepunktualność stała się już cechą naszych kolei. Nawet wysoka cena za bilet na pociąg ekspresowy nie gwarantuje punktualności. Takie są fakty. A co na to kolejarz? Kolejarz powiada, że obecnie przewożymy dwa i pół razy więcej niż kiedyś, że praca kolejarza jest niezwykle trudna, ciężka i odpowiedzialna i że pasażer to wszystko powinien rozumieć i odczepić się ze swolnity pretensjami.

Paradoks polega na tym, że i jedno i drugie jest prawdą. Ale też z tego, że są to dwie prawdy nie nie wynika. Jest jeszcze trzecia prawda. Sprawdza się ona do tego, że kiedy rosy prejadają na trasach kolejowych, nie były one modernizowane i rozbudowywane. Jest jeszcze czwarta prawda o jakości kadr. Można byłoby takich prawd znaleźć kilka, ale co z tego?

Z uporem twierdząc, że krytyka jest po to, aby ujawnić zło i stwarzać możliwości świadomego przewyższania niedomagań. Ale to nie jest łatwe. Prościej jest obrazić się, podejrzewać krytykujących o najgorsze intencje. Daj, loży starsza, aby wyznać, że nie mają racji. Zmienić temat i zacząć mówić o zupełnie czymś innym. Tylko, że pożytku z tego tyle co kot napłakał. Nie.

Przywykliśmy do powszechnego chwaleń. Zbierać pochwały jest rzeczą nad wyraz przyjemną i prozę pokazać mi kokogolwiek, kto nie lubi gdy go chwala, kto jest chwalemy przeciwny. Nawet jeśli się pochwali i zgani jednocześnie, dbając o proporcję między pochwałą a nagana, to i nagane łatwiej się przyjmuje. To chwaleń tak nam weszło w nałóg, że wszelkie wtykanie braków i niedociągnięć wydaje się być zgrzytem i poważnym nietaktem. A przecież każdy w cichoci ducha przyznaje, że bez przewyższania niedociągnięć nie ma postępu. Skoro tak, to należy „brudy prać we własnym domu”, a po co zaraz o tym wsem i wobec rozpowia-

dać. Tylko, że to pranie brudów we własnym domu jest częścią kroć mało skuteczną. Dopiero ujawnione i nazwane po imieniu zmusza do radykalnego przeciwdziałania. I to jest jedyny sposób postępowania. Dobrze, że od czasu do czasu o nim przypominamy sobie i nasza krytyka staje się konkretnie adresowana. Skoro bowiem chwalamy bardzo często publicznie, to i krytykujemy również publicznie, ale konkretnie.

Opowiadano mi niedawno taką historię, kiedy pewna osoba miała trudności z załatwieniem prostej acz bardzo dla niej ważnej sprawy. Chodziła, prosiła, tłumaczyła, błagała. Zawsze były trudności, kłopoty, przeszkody. Kiedyś się zdenerwowała i powiedziała: — To ja już nie mam sił. Pójdę z tym do prasy.

A urzędniczka na to: — Ależ proszę pani! Po co zaraz do prasy. Przecież ja to pani już załatwiam.

I załatwiła. Wecale nie jestem przekonany i nie mam złudzeń, że prasa stanowi taką potęgę. Nie podobno. Po prostu ludzie wola, aby „pranie brudów pozostało w domu”, aby ich niedołęstwo, nieudolność i lenistwo pozostało ich słodka tajemnicą. Wola, aby o tym jak najmniej ludzi wiedziało. Gdyby „Głos Szczeciński” nie napisał o kiosku ze stargardzkiego targowiska, to i stargardzka spółdzielnia miałaby lekkie życie. A tak...

MARCIN RODAK

## „UKRYTY WYMIAR”



Autor „Ukrytego wymiaru”, Edward T. Hall, urodzony w 1914 roku w Webster Groves w stanie Missouri, jest antropologiem. W związku ze swoimi badaniami objechał prawie cały świat. Obecnie jest profesorem antropologii w Northwestern University. Głównym przedmiotem jego badań i zainteresowań są problemy związane ze sposobami i formami komunikowania się ludzi oraz „proksemika”, czyli nowa dyscyplina naukowa zajmująca się sprawami postrzegania przez człowieka przestrzeni społecznej i indywidualnej, pojętej jako wytwór kultury. Temu właśnie zagadnieniu poświęcona jest praca Edwarda T. Halla „Ukryty wymiar”, która ukazała się w roku 1966. W PIW-owskiej „Bibliotece myśli współczesnej” ukazał się teraz polski przekład tej książki.

Praca Halla jest lekturą bardzo atrakcyjną. Autor, korzystając z badań językoznawców, antropologów, biologów, socjologów, psychologów, historyków odwołując się do spostrzeżeń artystów architektów i hodowców stara się pokazać, jak „kamaralna przestrzeń wokół nas staje się źródłem psychologicznego dobrobytu lub psychologicznej cierpienia”, przedstawia najnowsze osiągnięcia badawcze dotyczące przestrzennych zachowań zwierząt i zachowań ludzi żyłowych ograniczonych małą przestrzenią, opisuje wzajemną zależność łączącą zachowanie się ludzi w małych przestrzeniach i wielkie przeobrażenia współczesnej cywilizacji. Trudno w kilku zdaniach przedstawić wszystkie walory pracy Edwarda T. Halla. Jest to lektura, jak już powiedzieliśmy, bardzo atrakcyjna i pożyteczna. I choć z niektórymi wywodami amerykańskiego antropologa można się nie zgodzić, można dyskutować to przecież „Ukryty wymiar” pomoże nam choć w części zrozumieć problemy współczesnego człowieka i naszej cywilizacji.

Edward T. Hall „Ukryty wymiar”, przełożyła T. Hołowska, PIW, W-wa 1976, str. 284, cena zł 30.

## MEKSYK

Wydawnictwo Literackie dostarczyło nam polski przekład „Dawnych Meksykanów”, książki której autorem jest Miguel León Portilla, pracownik Instytutu Badań Historycznych Narodowego Autonomicznego Uniwersytetu Meksyku. Już sam tytuł sugeruje zawartość książki Portilla. Autor pragnie przybliżyć współczesnemu człowiekowi obraz ludzi dawnego Meksyku z epoki prehiszpańskiej. Jego zamierzenia ułatwia fakt, że po dawnych Meksykanach zostało wiele pisanych i ustnych przekazów dotyczących zarówno życia ich samych, jak i dzieł ludzkich. Zostały więc kodeksy i malowane księgi, pieśni ku czci bogów, poezmy refleksyjne, zawartość których widać w najsłynniejszej powieści o życiu i kulturze dawnych Meksykanów Meksyku. A więc do wielu różnorodnych obrazów dawnego Meksyku postawionych przez konkwistadorów, misjonarzy, humanistów, podróżników, historyków, wreszcie filologów i archeologów Portilla dorzuca jeszcze jeden obraz. Jest nim tubylica wizja ich własnej kultury.

Miguel León Portilla „Dawni Meksykanie”, przełożyła M. Sten, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976, str. 199, cena zł 50.

## „PROBLEMY WSPÓŁCZESNEGO OLIMPIZMU”

W „Bibliotece Olimpijczyka”, której patronem jest Wydawnictwo „Sport i Turystyka” ukazała się kolejna pozycja. Jest nią książeczka „Zbiżniewa Chmielewskiego i Andrzeja Jucewicza „Problemy współczesnego olimpizmu”. Autorzy dwaj znani dziennikarze sportowi, mieli okazję śledzić bezpośrednio igrzyska olimpijskie w Tokio, Meksyku i Monachium, uczestniczyli jako sprawozdawcy w sportowych sesjach MKOl i w międzynarodowych konferencjach wspaniałych. Sami tak piszą o swojej publikacji: „O ile przedzielnicy kibic zna doskonale ostatnie rekordy świata, wyniki rozgrywek ligowych potrafi godzinami dyskutować o piłce nożnej, to jego wiedza o najpoważniejszych problemach olimpijskich jest czysto zero. Naszym zadaniem, istniejącemu zapotrzebowaniu na publikację z tej dziedziny. Potrzebne jest krytyczne spojrzenie na historię ruchu olimpijskiego, a także szersze omówienie zmian dokonujących się obecnie w sporcie światowym”. Autorzy przedstawiają więc wybrane, najistotniejsze problemy dzisiejszego sportu, np.: amatorstwo olimpijskie, współpraca MKOl z innymi organizacjami, coraz silniej dające się odczuć wpływy polityczne na działalność sportową i olimpijską. Książka również sylwetki tych, którzy od czasu powstania nowożytnych igrzysk olimpijskich zajmowali się kierowaniem ruchem olimpijskim.

W sumie jest to publikacja, która na pewno warto włączyć do „swoich” zbiorów.

Zbiżniewa Chmielewski, Andrzej Jucewicz „Problemy współczesnego olimpizmu”, Wyd. „Sport i Turystyka”, W-wa 1976, str. 85, cena zł 14.

## „HENRYK III WALEZY W POLSCIE”

Okres krótkiego panowania Henryka III Walezego w Polsce jest na ogół mało znany. Pamiętamy głównie, że wybór Francuza na króla Polski wiązał się głównie z końcem dynastii Jagiellonów, z kwestią elekcyjną, no i jeszcze ten fakt, że Henryk III Walezy nie popisał się u nas i czym prędzej opuścił Polskę. Praca Macieja Serwańskiego „Henryk III Walezy w Polsce” poświęcona jest stosunkom polsko-francuskim w latach 1566-1570, czyli omawia zarówno interesujący nas okres, jak i wydarzenia rozgrywające się na europejskiej arenie politycznej przedarciem Zygmunta Augusta i rozpadem wzajemnych kontaktów polsko-francuskich w pierwszym roku panowania Stefana Batoryego. „Jakkolwiek pobyt Andegaweńczyka w Polsce był epizodem — pisze Maciej Serwański — nie można w tych kategoriach traktować faktu jego elekcyj na tron Rzeczypospolitej. Fakt ten musiał mieć swe źródła w polityce Zygmunta Augusta w ostatnich latach jego życia; istniała bowiem nieprzypadkowa zbieżność zamysłów ostatniego Jagiellona — orientacja na Francję w obawie przed ekspansywnością Habsburgów — i dążeń dyplomatki francuskiej do uzyskania w Polsce antyhabsburskiego przywrócenia na wschodzie Europy”.

Mimo, wydawałoby się trudnego historycznego tematu, zachęcamy wszystkich miłośników historii i nie tylko, do lektury książki o Henryku III Walezym. Poza interesującym tematem ma ona jeszcze jeden, niezaprzeczalny walor. Jest napisana tak, że czyta się ją z przyjemnością.

Maciej Serwański „Henryk III Walezy w Polsce”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976, str. 294, cena zł 40.

## WARTO PRZECZYTAĆ

Heinrich Böll „Utracona część Katarzyny Blum”, Czytelnik, cena zł 20.  
Bernard Clavel „Powrót”, WL, cena zł 22.  
Zofia Ryglar-Nalkowska „Narcyza”, WL, cena zł 40.  
Ota Pavel „Smierć niezłych saren”, PIW, cena zł 35.  
Romain Rolland „Colas Breugnot”, Złote Księgi, cena zł 35.  
Leszek Prorok „Wielki zgiełk”, Czytelnik, cena zł 17.  
Adolf Rudnicki „Niekochana i inne opowiadania”, PIW, cena zł 50.  
„Teatr Pirandella”, w przekładzie, opracowaniu i z przedmową J. Adamskiego WL, cena zł 35.  
Tomasz Weiss „Legenda i prawda Zielonego Balonika”, WL, cena zł 65.  
Malgorzata Lavergne „Udar”, WL, cena zł 10.  
Zbiżniewa Rucińska „Śnieżna lichoźka”, Iskry, cena zł 10.  
Janusz Przymanowski „Rycerze Srebrnej Tarczy”, WL, cena zł 20.

# magazyn

Półki mieszkańcy kolonii Kanterwil brodzili w błocie karczując pnie, na których mogłyby swobodnie machać nogami, uścisnąć szczerzy ludzi, półki byli zajęci zwyczajnym zaspokajaniem głodu, walka z pasożytniczymi elementami kraju i wbijaniem słupów pod fundamentalne zrebry swoich przyszych gniazd — najbardziej surowy zwolennik moralności mógłby ich pomówić jedynie o zbyt energiczny sposób wyrażania się w chwilach podniecenia.

A kiedy już domy były zbudowane, pola zasiane, wywieszono różne napisy typu: „Szkoła”, „Szpital”, „Wieżenie” i temu podobne, i życie popłynęło smętnie — pożytecznym strumieniem, jak niewolnicza woda melioracyjnej rury — zaczęły się wydarzenia. Ere ich zapoczątkował klasycznie skąpy Hlasiń który przegrał z rozrzućnym i lubiacym dobrze żyć Petarciem, wszystko co miał: dom, konie, ubranie, maszynę rolniczą, zostawił tylko w tym, co można było oddać jedynie do prania.

Potem zaczęły się kradzieże, fałszowanie testamentów, barykada na skrzyżowaniu ulic, kiedy trzech szaleńców brońło z karabinami w reku prawa do swych działek; jednego z nich, zabitego, podniesiono z ziemi z mocno ściśniętym między zębami cygarem. Od pewnego meza uciekła żona; do innego, mającego niezwykłą przyjeźność i dwójki niemowląt, przyjechała szukać adresu, z dalskiego zachodu — placaka, bogato ubrana kobieta; miała wspaniałe nowiutkie walizki i ryże włosy. Ostatnią rzeczą, która oburzyła grubokościście kobiety i brodatych mężczyzn Kanterwilu, doświadczywszy, nawiasem mówiąc, w ciągu ośmiu miesięcy życia w koczowniczych namiotach wszystkich płaszczyzn — cudownych uroków ordynarnego flirtu, było nikczemne i niegodne przywołanie człowieka porwanie sympatycznej dziewczyny Daisy Crock.

A była ona bardzo ładna i cicha. Ten kto długo patrzył na nią poczynił się czuć tak, jakby całe jego ciało zaczęło opłacać drząca i jasna pajęczyna. Miała Daisy wielu zalotników, a porwał ją Hoan Gnor, wieczorem, kiedy w zakurzonej perspektywie oświetlonej zachodem ulicy trudno jest rozróżnić czy to boda się wracające od wodopoi byki, czy też, zaciskając reka u sta dziewczyny, ktoś wrzuca na siodło zniewolona. Hoan, prawdę powiedziawszy, zawsze był ujemny, chociaż żył samotnie, co — jak wiadomo — u sposobnia raczej grubaskornie. Tym bardziej nikt nie spodziewał się po nim tak szalęnego wyczynu.

Prawda jest, że tydzień przedtem na jakiejś zabawie Hoan długo i cicho rozmawiał z dziewczyną. Obserwując ich widzieli, że młody mężczyzna stoi z wyrazem twarzy wzbudzałym iłości, błądy i chyba nieswól. „Ja nikogo nie kocham, Hoan, proszę mi wierzyć” — powiedziała dziewczyna. Kobieta, która usłyszała te słowa, była u szczytu euforii przez trzy dni; zdanie to przekazywała różnie intonując i

komentując. A koń Hoana pedząc przez skraj lasu potknął się o wypłuczysko i złamał nogę; porwacz był złapano dokładnie w godzinę po dokonaniu przestępstwa.

Tłum leźdźców, który zebrał się w miejscu upadku konia, słoczył się ciasno, tak, że niczego nie można było dojrzeć w zapalczymym ruchu palców i rak. Wreszcie krąg rozpadł się, dziewczyna leżąca bez czucia odciągnięto w pobliże krzaków. Bracia Daisy, jej ojcice i wólcie milcząc bili przegnęcionego koniem Hoana, a gdy już zmęczeni się i pokryli potem, odeszli, z bluszczacymi oczyma, a z ziemi podniósł się strzeń człowieka plującego gestą krwią. Wielkie śniece pokrywały twarz Hoana, który złośnie wyglądał i strasznie, chwiał się i chrząkał co co przypominało słowa.

ALEKSANDER GRIN

## PRĘGIERZ

Niezbyt doskonały jeszcze system prawny nowo powstałych prowincji, nie mając w tym przypadku żadnego powodu aby pozbawić życia Hoana, pociągnął go jednak do odpowiedzialności za straty moralne, jakich dopuścił się w stosunku do całej rodziny Crocków oraz dziewczyny. Po długich i hataśliwych dysputach przed hoteliem wbito w ziemię drewniany słup i przywiązano do niego Hoana skreślony wazy mu ręce no drugiej stronie słupa; w takim stanie, bez jedzenia i napoju, powinien był stać dwadzieścia cztery godziny, a następnie z własnej woli no do bremu miał się wynosić na cztery wiatry.

Hoan przystał na ten dziwny wyrok poruszając się jedynie jak zatruta mucha. Milcząc. Prowadzili Kanterwilu wraz z resztą gapiów, oddalwszy się na pewną odległość, z zachwytem przyglądali się dziełu swoich rak i wreszcie powoli rozeszli się do domów.

Zrobiło się ciemno. Hoan obliżując przyschnięta do zębów wargi obmyślał plan zemsty. Wszystko wyszło się w nim, nie czuł już ani wstyd, ani wściekłość; w tej pustce wewnętrznej przypomniał sobie jedynie kto i jak go bił, czyje słowa były bardziej złe, czyi głos był głośniejszy. I Hoan stracił na to wiele sił, poczuł się zmęczony; dlatego zaczął myśleć o tym, że chyba nigdy nie zobaczy Daisy. Przypomniał sobie słodki cieślaz jej drzącego ciała, sztywne bicie serca, które w ciągu tych kilku szczęśliwych chwil biło na jego pierści, przypomniał odrzuconą głowę dziewczyny i swój ledwy pocałunek, który złożył w tym miejscu, gdzie na jej pierści rozniatł się kuzik. I wtedy zawył ze smutku niemasyczonego wyszarpując ręce: sznury, sznury! skóre na

przegubach. Jeszcze przed nim noc i dzień!

Hoan stał przestępując z nogi na nogę. Czasami starał się przekonać siebie, że to wszystko jest snem, odchylił głowę do tyłu i walczył w słup usiłował rozbić złudzenia. Z boku, skradając się, zabrzmiły kroki, zamieraly naprzeciwko Hoana i wolno wyciszały się na skrzyżowaniu ulic. W oknach pogasły ognie, mglista sylwetka, często zatrzymująca się w swoim ruchu, zbliżyła się do Hoana i wówczas pokarany wzburzył się nagle, poczerwieniał w ciemności na całej twarzy; żyły na skroniach wypłynęły się krwią wystukując przyspieszony rytm. Głuchy wstyd natchnął umysł Hoana; jęknął zakłamał oczy, ale natychmiast je otworzył. Smutna twarz Daisy z szeroko rozwartymi oczyma zatrzymała się przed nim zupełnie blisko lecz on nie mógł nawet wyciągnąć ręki, aby poprosić o łaskę.

— I pani... popatrz — cicho powiedział Hoan. — Lepiej niech pani odejdzie... I proszę mi przebaczyć!

— Zaraz pójde — cichym głosem szybko powiedziała dziewczyna —

czyna — przecież pan się nie bronił... Dlaczego pan to zrobił? — Ach! — powiedział Hoan. — Słowa skruchy. Za późno już, Daisy. Sprawia mi pani ból, a ja pania kocham. Proszę odejść. Albo nie, niech pani jeszcze nie odchodzi... a może lepiej będzie jeśli pani stać odejdzie.

— Bardzo mi pana żal. — Wyciągnęła rękę i głaszcząc przesunęła przez potargane włosy Hoana szybkim macierzyńskim ruchem. — No, co panu jest, proszę nie płakać. Pan... albo już sobie pójde, bo jeszcze ktoś zobaczy.

Odeszła w ciemność i więcej nie było jej słychać. Drżąc i uśmiechając się Hoan tykał padając z nieruchomymi oczu wielkie słone krole; ogrzewały one policzki i duszę.

W powietrzu ze świstem przecieciał kamień, uderzył w słup, zawiadził Hoana rikoшетem o ucho i padł u nog porwacza.

— To dla ciebie Daisy — powiedział Hoan — tylko dla Ciebie.

II.

Rano, kiedy ruch uliczny zaczął zamierać, bowiem wielu nie spało tej nocy przegnając rankiem spojrzeć na burzyciela spokoiu publicznego, Hoana odwiązano. Grupa nieśpiesznie uśmiechając się chłopańców podszła do słupa z tyłu, za plecami przywiązanego. Brat Daisy, zębaty i długonogi osiłek, przeciął nożem sznur.

— Kazali puścić — wymamrotał kaszając. — Uważaj...nie wólcz się w tutejszej okolicy.

Hoan upadł, podpierając się o ziemię wstał i chwilać się do boku na bok szedł jak gdyby po pokładzie statku w czas burzy. skierował się w stronę domu. Przepuścił go milczący tłum. Po godzinie na drzewach nie-

wielkiego hoanowego domku wisiła kłódka. Na głucha zabite okna, ślady kopyt końskich za ogrodzeniem, cisza ścian — wszystko to wskazywało, że wola kolonii została spełniona. Wiżiano jak Hoan na drugim swoim koniu, białym z rudym ogonem i kłębami, nie oglądając się pojechał od strony podwórza w kierunku skoszonej łaki Crocka. A dalej już zaczynała się leśna ścieżyna, szlak myśliwych i zwierząt.

Hoan jechał stępa, miał strasznie ochotę zawrócić konia i jeszcze raz popatrzeć na dobrze mu znane okno Daisy. Sciągając wodze z wielkim wysiłkiem unosił zdrewniałą rękę. Przy potoku zatrzymał konia spoglądając w jego pobłyskujące strugi; tam w dole natopkał wzrok onucnieciej podciemniałej twarzy. Wybrało miejsce, gdzie mógłby się ośiedlić, nie nastroczając zbyt wielkich kłopotów — przecież ziemia jest wielka.

Przy skrecie w stronę gór, gdzie za błękitną dala lasów prowadziła droga do dużego portowego miasta. Hoan usłyszał jakiś szmer z tyłu odwrócił głowę nie przestając jechać — ponuro rozmyślając o przyszłości.

Stukot kopyt coraz wyraźniej oddzielał się od leśnych odgłosów; Hoan zatrzymał się i wówczas zdyszana dopędziła go Daisy.

Niezwykle zdumienie malujące się na twarzy Hoana szybko rozwiązało jej język. Zażenowana, wysłuchała wszystkich okrzyków. On z kolei myślał, że wie o co chodzi, ale mimo to bał się sobie uwierzyć. Podjechawszy bliżej Daisy powiedziała:

— Hoan, niech mnie oan weźmie z sobą. Już nie mogę żyć jak dawniej. Wszyscy mi dokuczają wmańając, że byłam z panem w zmoiwie. Niektórzy twierdzą, że mam z panem dziecko, które trzymamy w ukryciu. Hoan milczał. Koń na którym siedziała dziewczyna wydał mu się jakby wylany z porannego światła.

— Mój ojciec obraził mnie — mówiła dalej Daisy. — Powiedział, że to wszystko była komedia jaka odegrałiśmy aby ukryć mój grzech. Ale przecież pan wie, że to nieprawda. I tym razem nie musi mnie pan porwać. Zbyt wiele zła i poniżzenia zwallo się na mnie.

— Najdroższa — rzekł Hoan uśmiechając się swoja rozbita twarzą — mężczyźni by teraz prześladowali pania za to, że to nie oni próbowali pania zawiadnąć... a kobiety za to, że to właśnie pania w ten sposób wyróżniono. Ludzie nienawidzą miłości. Proszę się do mnie nie zbliżać, Daisy; przysięgam — nie reze za siebie, nie wytrzymam i zaczne pania całować. Przepraszam...

A gdy ich głowy znalazły się blisko siebie i dwie miłości, jedyna rodzaca się, a druga — dawno rozpromieniona pożarem namietności, polaczyły się jak mała leśna rzeczółka i wielka rzeka.

I żyli oni długo i umarli tego samego dnia.



Fot. W. Paryś

**MAŁE KINO**  
„Najlepsze te male kina”.  
K. I. G.

**SUKCES NA ŚNIEGU**  
Nasi dzielni polarnicy z wdzięczności za zrzucone im z helikoptera ciepłe kalesony, wykonali jeszcze jeden ciekawy eksperyment naukowy. Opowiadają oni, posługując się jedynie tańcem i śpiewem jeden z naszych telewizyjnych programów rozrywkowych. Eksperyment zakończył się bezkrwawo, śmiechu na śniegu było dużo a wzruszenie Eskimosi przyrzekli nie być białych niedźwiedzi.

**KRWAWIE DZIEJE**  
Już wkrótce nakręcony zostanie pierwszy polski dreszczowiec dydaktyczny. Ujrzymy w nim postać Dzedzica, który wysysa krew ze swoich włoscian, nie gardząc również nalewką ziołową. Tak więc ujrzymy na ekranie pierwszych w historii krwiodawców — oraz krwioodbiercę, który w dodatku jest krwio pijąc. Twórcy filmu zapewniają, że moment dydaktyczny uznają za osiągnięty, gdy krew w żyłach widzów żywej zapulsuje.

**ANDRZEJ CZEKALSKI**

## POWIĘKSZENIA

**AWARIA**  
Recenzenci jakby się zmówili i twierdzą, że komedia „Awaria” grana w Teatrze Nowym wcale nie jest śmieszna. Jerzy Fiedosiejew z „Expressu” pisze, że „nie chciał się śmiać w ogóle”, a Henryk Pawlak z „Głosu” notuje tylko „od czasu do czasu jakiś chichot, ni w pięć ni w dziewięć”. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie zastanawiający fakt, że bilety na „Awarię”... wykupiono już na cały październik. Kto tu ma rację — recenzenci czy publiczność?

**KOJARZENIE**  
„Dziennik Popularny” pisze, że słowo „internat” kojarzy się nam z Andrzejem Radkiem z Syzyfowych prac. Jest to dość odległe skojarzenie. Wówczas nazywało się to „stancją”, o czym można się przekonać w bardzo prosty sposób: po prostu przeczytać „Syzyfowe prace”.

**RECENZJA**  
Z recenzji książki Wacława Billińskiego „Los i lut szczęścia” („Głos Robotniczy”) odnotujmy co cenniejsze fragmenty: „Autor nie sili się na przekazywanie historycznych przesłanek — „W masie wyróżniają się jednostki indywidualności, ludzie, którzy reprezentują wartości moralne. Kilku z nich uczestniczy, żeby tak to określić, w tej powieści do dramatycznego zakończenia...” Dowiadujemy się ponadto, że „powieść jest głęboko ludzka i prawdziwa w wydarzenia”.

Przepraszam — po jakimu to jest? Uczestniczyć można w czymś, a nie do czegoś. I co to znaczy „prawdziwa w wydarzenia”?

Na koniec autorka pisze, że jest to „powieść o głębokim wydzwięku dramatycznym”. To prawda. Recenzja natomiast ma wyraźny wydzwięk humorystyczny. Bardzo płytki — niestety.

**ZDARZYŁO SIĘ**  
O grzybiarzach pisze „Express Ilustrowany”. Czytelnik tej gazety znalazł prawdziwka o wadze 80 dkg. W związku z tym „Express” snuje rozważania natury ogólnej: „Jak na razie szczęście dopisuje panom. Może wreszcie któraś z pań trafi na wyjątkowy okaz”.

Coś takiego miało już kiedyś miejsce. Opowiada o tym piosenka: „Zdarzyło się raz Jadwidze — poszła do lasu na rydze...”

## UKWIAŁY

\*\*\*  
Ci co wchodzicie przebojem — pamiętajcie, że jest to szlagier przeważnie na jeden sezon.

\*\*\*  
Gdy już wszystko o sobie wiedzieli, zaczęli się podsluchiwać.

\*\*\*  
Skąd ta wielka luna na niebie? To sponął płomienno mówca!

\*\*\*  
Zaproponował mi zabawę w Kaina i Abła. Sobie powierzając rolę Kaina!

\*\*\*  
O, wszylbym niektórym ustom błyskawiczne zamki!

\*\*\*  
Złudzenie optyczne? Im mu dłużej się przyglądam tym mniej go widze.

MIECZYŚLAW M. SZARGAN

**ZEGAR lub BUDZIK „MERA-POLTIK”  
NAJLEPSZYM UPOMINKIEM**

**DOM TOWAROWY „UNIERSAL”  
PL. NIEPODLEGŁOŚCI 4 czynny w godz. 8-20  
ZAPRASZAMY**

3495/k